

Znakomity kryminał! Czapki z głów.
Pozycja obowiązkowa dla wielbicieli gatunku.
Katarzyna Puzyńska

GRZECH

ALBOWIEM ZAPŁATĄ
ZA GRZECH JEST ŚMIERĆ.

Rz 6,23

MAX CZORNYJ

FILIA

MAX CZORNYJ

GRZECH

FILIA

Rodzicom,

między innymi za to, że nie będąc „entuzjastami

takiej literatury”, w znoju i pocie czytacie,

recenzujecie, radzicie.

Pomęcę Was jeszcze trochę.



Liczy się tylko takie życie, w którym jest miejsce na cierpienie i na radość.
Antoine de Saint-Exupéry

Umiłowany, nie naśladowaj zła, lecz dobro. Ten, kto czyni dobrze, jest z Boga; ten zaś, kto czyni źle, Boga nie widział.
3 List św. Jana 1, 11

20 GRUDNIA

1

Prawą ręką dotykała wilgotnej, zimnej ziemi. Była cała obolała, a wskutek uderzenia o podłoże straciła dech. Starła się złapać powietrze ustami, lecz taśma klejąca nie pozostawiła odrobiny luzu i napięła się, szarpiąc skórę jej warg. Błękitne niebo pokryły wirujące mroczki.

Raz, dwa, trzy...

Odliczyła, z całych sił zaciskając oczy. Ciężar miażdżący klatkę piersiową nagle zelżał, pozwalając na zaczerpnięcie tchu nosem. Natychmiast tego pożałowała. Mdły, słodkawy-gorzki zapach wdarł się do jej płuc, osadzając się wcześniej w jamie nosowej i gardle. Odór był nie do wytrzymania, ale mózg bezwarunkowo domagał się tlenu.

Raz, dwa, trzy...

Ponownie nabrała powietrza, starając się nie myśleć o wypełniającym usta posmaku krwi.

W ogóle nie czuła lewej ręki, a jej obie nogi pulsowały tęnym bólem, przebijającym spod całunu odrętwienia. Spojrzała w niebo. Jego kolor wyostrzył się, a mroczków ubyło. Chciała się zorientować, gdzie jest, choć każdy ruch gałki ocznej wywoływał przeszywające klucie.

Krawędź dołu była poznaczona kolejnymi uderzeniami szpadla. Zaschnięta, uklepana ziemia wskazywała, że został wykopany już jakiś czas temu. Instynktownie wyczuła, że po jej lewej stronie znajduje się pusta przestrzeń. Wysiłkiem wszystkich mięśni postanowiła się obrócić. Umęczone ciało ledwie drgnęło, wbijając się w oplatające je sznury, i na powrót znieruchomiło. Zza rozognionych, nabrzmiątych od krwi powiek wypłynęły łzy. Spłynęły po korytarzach skóry i po chwili zmieszały się z kroplami brudnego potu.

Raz, dwa, trzy...

Tym razem próba przekręcenia się na bok była bardziej owocna. Przynajmniej poruszyła jedną nogą, a część pleców oderwała się od lodowatej ziemi. Wydała z siebie rozpaczliwy pisk, zakończony charczeniem i łkaniem. Ciemne włosy przylepiły się do jej karku, wywołując nie łaskotanie, ale przeszywający dreszcz. Krew, która spływała z czoła, osiadła na starannie przystrzyżonych brwiach, rozpluwając się na obie strony twarzy. Każda linia wyciętego skalpelem pentagramu pulsowała w zawrotnym rytmie uderzeń serca.

Raz, dwa, trzy...

Wyraźnie widziała rozpościerające się szeroko niebo. Błękitne, bezchmurne, przyozdobione już tylko pojedynczymi plamkami mroczków. Pusta przestrzeń dawała nadzieję ucieczki. Musiała się jedynie odwrócić, a wtedy, wijąc się niczym wąż, popełźnie w nieznaną stronę, wprost ku wolności. Centymetr po centymetrze. Choćby miało jej to zająć całą wieczność. Ta myśl, ocierająca się o najgłębsze pokłady ułudy, natychmiast dodała jej sił. Zacisnęła zęby.

Raz, dwa, trzy...

Pisnęła z wysiłku, kiedy sznury opięły się na przegubach jej rąk, ścisnęły w pasie i na kostkach stóp. Mięśnie napięte do granic możliwości zabolowały, jakby zostały złapane milionem obcęgów. Mimo tego nie rozluźniła ich. Drgnęła, spazmatycznie wbijając stopy w ziemię i odpychając się prawą dłonią od grząskiej krawędzi dołu. Oblał ją pot tak zimny, jakby wylano na nią wiadro lodowatej wody. Zaraz za bólem mogła kryć się wolność. Taśma klejąca naprężyła się, wyrrywając drobiny skóry z nabrzmiątych krwią warg. Jeszcze chwila i się uda. Paliły ją wszystkie organy wewnętrzne. Bezwiednie zacisnęła oczy.

Wierzgnęła niczym ryba, która wyrzucona na brzeg opadła już ze wszystkich sił, ale wyczuwa nadlatującego ptaka. Ostatnia próba, ostatnie drgnienie życia.

Wreszcie siła ciężkości zwyciężyła i ciało przekręciło się na bok. Nie do końca tak, jak chciała. Wygięte o niemal sto osiemdziesiąt stopni nadgarstki chrupnęły pod jej ciężarem. Mimo tego do jej mózgu napłynęła fala niepohamowanej radości. Czuła się, jakby właśnie udało się jej wydostać na zewnątrz i uciec. Wtedy otworzyła oczy.

Zamarła.

Nie znajdowała się ani w wąwozie, ani w pozwalającym marzyć o ucieczce wykopie.

Rzeczywiście, po jej lewej stronie było więcej miejsca, jednak tylko dlatego, że dół miał kształt sześcianu, a ona dotychczas leżała przy jego boku. Od przeciwległej krawędzi dzieliły ją co najwyżej dwa metry.

Wszystkie nadzieje rozwiały się w ułamku sekundy. Ich miejsce zajęło przerażenie. Dzikie, bezkresne przerażenie.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, co widzi tuż przed sobą.

Kilkadziesiąt centymetrów od jej twarzy leżało nagie ciało. Było sinoczarne, monstrialnie opuchnięte, lepkie od przesiąkających przez popekaną skórę płynów. Na skrawku gnijącego mięsa, który dawniej był ramieniem, pełzały setki żółtych i białych larw. Jedynie zbrylone kępki krótkich siwych włosów dawały wskazówkę co do płci zmarłego.

Fetor ponownie wdarł się do świadomości kobiety i zapach rozkładu oblepił układ oddechowy. Jej oczy rozwarły się w panice. Od dawna przyspieszony oddech nabrał teraz tempa tłoków rozpedzonej lokomotywy. Poczowała, że razem z odorem wewnątrz jej nosa oblepia gruby, trzeszczący piasek. Jeszcze raz wierzyła ze wszystkich sił.

Kątem oka chciała spojrzeć w stronę nieba, ale niemalże całą przestrzeń nad dołem wypełniła czyjaś sylwetka. Stojąca pod słońce postać wydała jej się ogromna i całkowicie czarna. Dopiero po chwili zobaczyła, że poza jej zarys wystaje nieregularny kształt przypominający...

„O Boże!” – tylko tyle zadudniło jej w głowie.

Zamrugła. Szybko, nerwowo, o wiele razy za dużo, niż było trzeba. Postać zrobiła kolejny krok w stronę wykopu, przez co wydała się jeszcze większa. Czyżby ktoś do niej dołączył? Kobieta rozpaczliwie pokręciła głową, dostrzegając, że nieokreślony dotąd kształt to wielka stalowa łopata.

– Nie opuszczaj mnie.

Słowa wypowiedziane smutnym, wręcz błagalnym tonem przywróciły jej wspomnienia. Przypomniały o wszystkim, co się stało, nim straciła przytomność. Zastygła w bezruchu. Umarła, choć oddychała jeszcze przez chwilę.

Jedynym bodźcem, który odebrały receptory jej ciała, była sypkość okrywającej ją ziemi. Kolejne grudy spadały coraz szybciej. Szufla za szuflą.

Raz, dwa, trzy...

– Napij się – Klara postawiła na szklanym blacie stolika niemal pełną szklankę whisky. – To cię uspokoi.

– Nie chcę być spokojny!

Robert nerwowo splótł dłonie. Siedział w miękkim skórzanym fotelu, ale czuł się, jakby miażdżono go na usłanym gwoździami krzesło tortur.

– Jeszcze nie minęła nawet doba.

– O dobę za długo.

– Może być tysiąc powodów. Może robi głupi dowcip, może chciała po prostu odpocząć, może...

Klara powstrzymała się przed stwierdzeniem, że jej bratowa być może po prostu uciekła z kochankiem. Nigdy jej nie lubiła, uważała, że małżeństwem jedynie skrzywdzi jej ukochanego braciszka. Wiedziała też, że teraz nie powinna dodać ulubionego zwrotu wszystkich kobiet: „A nie mówiłam?”.

Robert Wolski odsunął od siebie szklankę z miodowozłotym płynem i gwałtownie wstał. Zachwiał się, podpierając o bok fotela. Minął siostrę i szybkim krokiem podszedł do okna. Mimo że na zewnątrz zapadła już ciemność, żaluzje wciąż były podniesione. Wnętrze pokoju odbijało się jednak w szybie i aby cokolwiek zobaczyć, musiał niemalże przyłożyć do niej nos. Dopiero po chwili rozróżnił ciemne zarysy rosnących w ogrodzie cyprysów, ostrą linię ogrodzenia i pustkę otwartej bramy. Na zewnątrz nie było jednak nikogo.

– Nigdy by tego nie zrobiła.

Głos mężczyzny wyrażał całkowitą pewność, nie zawierał nawet półtonu dopuszczającego możliwość pomyłki.

Klara podeszła do brata i złapała jego dłoń. Przez chwilę stali bez słowa, patrząc w stronę ogrodu.

– Wróci.

– Nawet kiedy się kłóciliśmy, nigdy nie rzuciliśmy sobie telefonem.

– Może coś ją zatrzymało, a bateria się rozładowała?

– Zatrzymało? Gdzie? – Pewność została zastąpiona przez irytację. – Nie ma jej w pracy, nie ma u żadnego znajomego, rozplynęła się!

– Nie dzwonili też ani z policji, ani z żadnego szpitala.

– I to ma być pocieszenie?

Klara przyciągnęła brata do siebie. Kiedy z niechęcią się odwrócił, zobaczyła w jego oczach pustkę. Odkąd dorośli, nigdy nie widziała, żeby płakał, a teraz nieupilnowane łzy zostawiły skrzące ścieżki na nieogolonych policzkach. Straciła już wszystkie pomysły na to, żeby dodać mu sił. Każdy, który przychodził jej teraz do głowy,

brzmiał albo banalnie, albo zupełnie nieprawdopodobnie. Westchnęła.

– Nic nie poradzimy – odezwała się po chwili. – Musimy czekać, a ty powinieneś odpocząć. Od wczoraj nie spałeś.

– Odpocznę, kiedy Marta wróci do domu i położy się ze mną do łóżka.

– Nie bądź dziecinnie uparty.

Wolski gwałtownie odsunął ją od siebie i przemaszerował przez pokój do szklanego stolika. Bezceremonialnie wychylił całą zawartość szklanki i odwrócił się w stronę siostry.

– Jeżeli masz być pretensjonalna – wycedził, zaciskając palce na grubym szkłe – powinnaś już pójść. Rozumiesz?

– Robert... Po prostu się martwię. O Martę, ale też o ciebie.

Klara rozłożyła z rezygnacją dłonie. Po chwili nerwowym ruchem założyła za uszy krótkie blond włosy. Była kruchą trzydziestosześcioletką, z lekko zadartym nosem, pogodnymi niebieskimi oczami i zarysem małych piersi pod rozciągniętym oliwkowym swetrem. Wolski od lat starał się polepszyć ich długo oziębłe relacje. W tym momencie nie panował jednak nad emocjami.

– Przed chwilą chciałaś, żebym się napił – wymamrotał, ledwie otwierając usta – teraz zachowujesz się, jakbym był gówniarzem pod twoją opieką. Starasz się mnie pocieszyć, a w rzeczywistości tylko mnie wkurwiasz tym pustym gadaniem.

Przerwał mu piskliwy dźwięk dzwonka domofonu. Mężczyzna przez chwilę zastygł w bezruchu, wreszcie przypominając dzikie zwierzę, rzucił się w stronę korytarza. Ślizgając się na terakocie, dopadł do słuchawki i wyszarpał ją z widełek.

– Słucham! – wrzasnął.

Odpowiedziała mu cisza. Umieszczenie domofonu w miejscu, z którego nie było widać podwórza, zawsze uważał za skrajną głupotę. Od pewnego czasu planował zainstalowanie na bramie kamery, ale Marta traktowała to jako fanaberię, na którą szkoda pieniędzy.

– Słucham! – krzyknął jeszcze raz.

Tym razem czekał na odpowiedź jedynie ułamek sekundy. Bezwiednie wypuścił słuchawkę, pozwalając jej opaść na skręconym kablu, i popędził w stronę drzwi. Zamki były otwarte. Nie zwracając uwagi na to, że jest bosy, wybiegł na zewnątrz i skierował się ku bramie. Nie czuł, że jego stopy brną w lodowatej rosie, a po chwili kaleczą się o ostre kamienie podjazdu. W sprinterskim tempie dopadł do skraju ogrodzenia i wybiegł na ulicę.

Głośno dysząc, rozejrzał się po rozświetlonej przez pojedyncze latarnie okolicy. W oddali dostrzegł reflektory oddalającego się samochodu, poza tym dzielnica była całkowicie pusta. Mieszkańcy większości pobliskich domów zapewne już spali, a jedyną oznaką

istniejącego życia było regularne szczekanie okolicznych psów.

Robert Wolski sztywnym krokiem przeszedł wzdłuż chodnika. Starł się przeniknąć wzrokiem ciemność pobliskiego parku, lecz poza drżeniem pojedynczych liści nie dostrzegł najdrobniejszego ruchu.

Zrezygnowany zawrócił w stronę bramy. Dopiero wtedy jego spojrzenie przykuła jasna płaszczyzna przedmiotu wystającego ze skrzynki na listy. Podeszedł do niej i uzmysłowił sobie, że musi to być skraj dużej koperty tkwiącej w środku. Nie mogła zostać wysłana pocztą. Znajomy listonosz na bieżąco informował go o każdej przesyłce i upewniał się, że Robert będzie mógł ją odebrać. Praktycznie nigdy niczego nie zostawiał w skrzynce, poza ulotkami reklamowymi.

Wolski przez chwilę nie mógł się zdecydować, co robić. Jeżeli w kopercie był list od porywaczy, może powinien najpierw zawiadomić policję? Tylko kto mógł chcieć porwać Martę? Na pewno nie dla okupu. Poza tym gdyby to był list na przykład z ZUS-u wrzucony przez pocztowca na zastępstwie, zbłaźniłby się. Nie było rady. Nie było też czasu do stracenia.

Ostrożnie wyjął kopertę, rozerwał ją i drżącymi palcami wyszarpał złożoną na pół kartkę papieru. Rozłożył ją, szukając światła pobliskiej latarni.

Zadrżał na widok szeregu wyciętych z gazet i równo wklejonych liter. Przez chwilę nie mógł się na nich skupić, a jego mózg analizował je jako chaotyczny zapis obrazków.

Z otumanienia wyrwał go odgłos kroków idącej podjazdem Klary. Obrócił się, dopuszczając do kartki więcej światła, i przebiegł po niej wzrokiem. Treść nie pozostawiała żadnych wątpliwości:

Proszę mi wybaczyć. Tak bardzo jak Pan chcę, żeby przy mnie została.

Podpisano: X XXX.

Poznał Martę osiemnaście lat temu. Była sama końcówka lat dziewięćdziesiątych. Zmierch ery Pegasusa, Atari, gum Turbo i kaset wideo. Zmierch czasów, które mógł teraz nazwać beztróską młodością. Mimo wszystko nie czuł do nich ławego sentymentu, który wywoływałby lawinę przyjemnych wspomnień. Wręcz przeciwnie. Dzieciństwo spędzone w podlubelskim miasteczku, które od młodości zasysało w swoje podwórka, krzaki i bramy, jedynie cudem nie zakończyło się katastrofą. W wieku dwunastu lat po raz pierwszy wlał w siebie wódkę, niedługo później wstrzyknął jakiś gówniany narkotyk.

Do szkoły chodził niewiele albo wcale. Co z tego, że wzywali jego matkę, skoro nie mogła sobie z nim poradzić. Ojciec zasuwał w fabryce po czternaście godzin, więc po powrocie nie miał nawet siły go sprać. Teraz wiedział, że w rzeczywistości pracował kilka godzin mniej, a później zwyczajnie chlał, ale to też odbierało mu wychowawczy animusz. Matka sprytnie zakryła alkoholizm pracoholizmem.

Nieszczęśliwy wypadek ojca też zapewne wynikał z umiłowania do trunków. Spadł z platformy podnośnika wyciągniętej na wysokość trzeciego piętra. Mimo lądowania na betonie jakimś cudem przeżył. O kocie powiedziałoby się wtedy, że stracił jedno z żyć. Jego ojciec stracił jedynie czucie od pasa w dół i pracę. Renta w żalosalnej wysokości nie wystarczała na zakup lekarstw i środków pielęgnacyjnych. Mimo wszystko upadek ojca otrzeźwił go i postawił na nogi.

Nie było rady. Matka musiała pójść do pracy. Wieczna kura domowa i zrzędliva plotkara nie mogła jednak przebierać w ofertach. W tych paskudnych latach dziewięćdziesiątych nie miała możliwości żadnego legalnego zarobku, a budżet domowy wołał o pomoc. Co za eufemizm. To ich żołądki wołały o coś lepszego od chleba i salcesonu. A jak wiadomo, głód wymusza zdecydowane działania. Do tego jego siostra miała iść w przyszłym roku na studia, a to był dodatkowy wydatek. Wszelkie ambicje matki skupiły się na niej. Jego przyszłość już dawno uznała za straconą.

Wtedy gdy cały świat mówił o sklonowaniu owcy Dolly, udało im się sprzedać mieszkanie. Zawili stan prawny zakładowego lokum ojca obniżył cenę do poziomu śmieszności. Tyle że dla nich to była fortuna. Pozwoliła wynająć małą kawalerkę na obrzeżach Lublina i wprowadzić do menu kilka nowych produktów. Tak więc era Pegasusa, Atari, gum Turbo i kaset wideo kojarzyła mu się zupełnie inaczej. Dla niego prawdziwy przełom tysiąclecia nadszedł wtedy, gdy poznał Martę. Naiwne i słodkie wspomnienie. Pieprzona melancholia oparta na projekcji kiczowatych scen miłości.

Zanim jednak los zetknął go z Martą, zdążył wymierzyć mu ostre ciosy. Oderwany od dawnych przyjaciół, od zarzyganych podwórek i zaszczanych piwnic, został całkiem sam. Bez pieniędzy, bez alkoholu i bez znajomych, którzy pędziliby narkomański kompot. Na Klarę też nie miał co liczyć. Wyrosła na taką samą cichą świętoszkę jak ich matka i tak samo jak ona miała go za menela.

Przeprowadzka do Lublina zrujnowała poczucie stabilności, ostatnią deskę ratunku staczającego się nastolatka. Zamiast wódki kupionej przez przyjaciela wypijał czteropak piwa wyniesionego pod pazuchą z delikatesów. O wódkę było o wiele trudniej. Zawsze skrzyła się na honorowym miejscu, na półkach za ladą.

W dniu, kiedy zetknęli się po raz pierwszy, był mocno zawiany. W tym czasie poranny cug wynosił go z domu, włókł obok zawodówki, do której się jakimś cudem dostał, i wyrzucał gdzieś w centrum. Czasem zahaczał o dwie, trzy lekcje, ale nie wtedy. Tego dnia przespał właściwy przystanek. Pięć kolejnych też. Obudził się dopiero na Turystycznej. W tamtych czasach była to właściwie zamiejska ulica, prawdziwy limes pomiędzy tym, co można było nazwać Lublinem, a jego dzikimi peryferiami.

Był marzec, od kilku dni w powietrzu dało się wyczuć wiosnę. Ten straszny kicz wspomnień łagodził obraz śnieżycy, która rozpełtała się, kiedy wysiadł z autobusu. Nieoczekiwana, przy dodatniej temperaturze, szybko owiała okolicę mokrym, białym puchem.

Wściekły na siebie postanowił pójść do centrum na piechotę. Nawet gdyby na co dzień komunikacja publiczna działała poprawnie, w taką pogodę nie było sensu czekać. Prędzej zamieniłby się w bałwana. Naciągnął na dłonie rękawy, splótł ręce i ruszył przed siebie. Chodnik był wąski, a śnieg

pokrywał go coraz grubszą warstwą. Zszedł na ulicę, ustępując miejsca idącej z naprzeciwka dziewczynie.

Przez ułamek sekundy zwrócił na nią uwagę. Przytrzymała kaptur, który wiatr i nacierający śnieg ściągały jej z głowy. Kiedy się minęli, miał wrażenie, że się uśmiecha. Nie był ani casanovą, ani nawet dzielnicowym donżuanem, więc pozostawił to bez odzewu. Zresztą co miał zrobić? Odwrócić się, pobiec za nieznajomą i zaoferować jej swoją starą i poplamioną kurtkę? Iść przed nią, torując drogę jak średniowieczny papieski pupilek? Nawet o tym nie pomyślał. Po prostu minął ją i kuląc się z zimna, poszedł dalej.

Wtedy odezwał się Bóg, los lub przeznaczenie.

Usłyszał świst kół ślizgających się na śniegu, trzask uderzenia o chodnik i plaśnięcie upadającego ciała. Kiedy się odwrócił, dziewczyna leżała kilka metrów od przechylonego na bok poloneza. Od razu zauważył, że tak usilnie przytrzymywany kaptur został zerwany z głowy, wokół której zebrała się krew. Czerwona aureola na bieli śniegu.

Jakiś instynkt kazał mu działać. Dobiegł do dziewczyny i bezradnie zaklął. O reanimacji nie miał żadnego pojęcia. Roztrzęsionymi rękami poprawił głowę leżącej i wyczuł, że prawa strona jej twarzy została potrzaskana. Skostniałymi palcami dotykał cieplej, lepkiej krwi. Z trudem oddychał, wściekły, że nie wie, co robić. Wtedy ktoś odsunął go na bok i nachylił się nad dziewczyną. Nie mógł patrzeć na to, jak spasyony mężczyzna miażdży jej żebra, walcząc o akcję serca.

Na sztywnych nogach podszedł do poloneza. W tym momencie drzwi się otworzyły i wyskoczyła z niego drobna blondynka. W szoku dyszała, trzęsła się i przywołując wszystkich świętych, krzyczała, że dopiero dostała prawo jazdy. To były pierwsze słowa, które usłyszał od Marty.

Osiemnaście lat, które minęło od tamtego dnia, składało się na całkiem nową historię. Nie upłynęło ani wolno, ani wyjątkowo szybko. Przemknęło tak, jak przemyka dobry czas w życiu każdego człowieka. Mógłby zażartować, że ich związek stał się pełnoletni. Ale teraz ta myśl zamiast uśmiechu wzbudziła w nim jedynie jeszcze głębszą rozpacz. Ta myśl i myśl o tym, co zrobił.

Nie chciał, żeby te osiemnaście lat okazało się dla nich wiecznością.

Komisarz Deryło był człowiekiem potężnej postury, z wielką głową, zwieńczoną ściętymi na kilka milimetrów włosami, i wyjątkowo wybuchowym charakterem. Od samego początku bluzgał na policjantów, którzy z nim przyjechali, wygrażając niebu i piekłu, że zawraca się mu dupę. Jeszcze siarczyściej zaklął, kiedy dowiedział się, że na komisariacie już przed kilkunastoma godzinami przyjęto zawiadomienie o zaginięciu Marty Wolskiej. Oczywiście nikt go o tym nie powiadomił, a raport póki co utkwiał w odmętach biurokracji.

– Utrzymuje pan, że wyszła z domu wczoraj, po dwudziestej drugiej? – zapytał znużonym tonem.

– Mówiłem już o tym trzy razy – odfuknął zirytowany Wolski.

– I dalej tak pan twierdzi?

– A co się, do cholery, zmieniło?

– Nie choleruj mi pan, składając zeznania!

Wolski z irytacją rąbnął otwartą dłonią w szklany blat stołu. Stojąca na nim szklanka brzęknęła, ale się nie przewróciła.

– Zaginęła moja żona – odezwał się zrezygnowanym tonem. – Zgłaszam się na policję i najpierw zostaję zbyty, a później pan zachowuje się, jakbym był głównym podejrzanym.

– Mąż zawsze jest głównym podejrzanym – przerwał mu komisarz.

– I sam do siebie napisałem jakiś chory list?

– Tego się dowiemy.

– Gdybym nie wiedział, że to gównno warte, napisałbym na pana skargę.

– Może pan pisać, kiedy odpowie na moje pytania.

Komisarz wskazał na pustą szklankę.

– Pił pan?

– Tak. Ale nie znajdziecie w tym resztek cyjanku. Wypiłem niedawno whisky.

– Jedną?

– Jedną.

– Butelkę?

– Chyba pan oszalał. Jedną szklaneczkę.

– A wczoraj?

– Nic. Przez całą noc wydzwaniałem po wszystkich znajomych, plątałem się po okolicy i starałem się dowiedzieć, co z moją żoną.

– Powiedział pan, że żona wyszła z domu po dwudziestej drugiej. – Komisarz poprawił mankiety koszuli. – Zeznał pan, że poszła pobiegać. Zawsze wychodziła o tej porze?

Wolski nie mógł pogodzić się z prawdą. Wyrzuty sumienia zaciskały się na jego gardle, ale niechęć do komisarza nakazywała powstrzymać słabość.

– Jeżeli zapyta mnie pan o to jeszcze pięćdziesiąt razy, odpowiedź nadal będzie ta sama – mruknął, spoglądając na małe oczka osadzone w puciołowatej gębie policjanta. – Biegamy razem co dwa, trzy dni. Potem wracamy, bierzemy prysznic i kładziemy się spać. Wczoraj Marta wyszła pobiegać sama, bo musiałem dokończyć robotę.

– Robotę?

– Dobrze pan wie, że jestem pisarzem. Chciałem dokończyć rozdział.

– I pozwolił pan żonie wyjść w środku nocy?

– Byłem przekonany, że da sobie spokój.

– A kiedy wyszła, nie próbował jej pan zawrócić?

Wolski otarł twarz dłońmi, jakby miało to zmyć z niej zmęczenie. W przeciwnym kącie pomieszczenia drugi policjant przesłuchiwał jego siostrę. Mówiła spokojnie, zastanawiając się nad odpowiedziami, ale nie mógł dosłyszeć jej słów.

– Nie próbował pan?

Powtórzone pytanie uświadomiło mu, że musi na nie odpowiedzieć. Nieważne, jak bardzo był na siebie wściekły i jak bardzo chciałby, żeby była kłamstwem.

– Nie. Biegaliśmy zawsze tą samą drogą, środkiem dzielnicy. Poza tym to bezpieczna okolica...

– Jak widać, nie tak bardzo.

Ironiczne słowa komisarza rozbudziły w Wolskim zwierzęcą wściekłość. Zerwał się z fotela, jednym susem doskoczył do policjanta i chwycił go za klapę marynarki. Ten podniósł się, w ogóle niezaskoczony.

– Nie chce pan... – mruknął.

Policjant przesłuchujący Klarę odwrócił się w ich stronę. Wolski z obrzydzeniem puścił komisarza, wymieniając z nim wściekle, pełne nienawiści spojrzenie. Miał ochotę zdzielić go z całej siły, a potem rozwalić mu łeb o szklaną tafelę stolika.

W tym momencie do pokoju wszedł trzeci policjant. Bez pardonowo w ubłoconych buciorach przeszedł po lśniącej terakocie i głośno sapnął, co miało zastąpić słowa przywitania.

– Panie komisarzu, psy złapały ślad.

Komisarz przeniósł spojrzenie z Wolskiego, poprawił marynarkę i szybkim krokiem ruszył w stronę przedpokoju.

– Niedługo dokończymy tę pogadankę – rzucił, nie odwracając głowy.

Wolski podreptał za komisarzem, ale ten szybko przemknął przez ogród i dołączył do grupy policjantów z pobudzonymi psami. Przy skrzynce na listy uwijało się dwóch techników, a w okolicy krążyło jeszcze kilku funkcjonariuszy. Przy chodniku stały zaparkowane szeregiem radiowozy. Wszystkie z włączonymi stroboskopami, których niebieskie i czerwone światła skrzyły się w wilgotnym powietrzu. Grupka zaniepokojonych sąsiadów żywo dyskutowała kilkanaście metrów dalej. Wolski nie zamierzał do nich podchodzić. Banda dementów nastawiona na sensację, która mogła urozmaicić ich nudne emeryckie życie. Emocjonalne hieny czerpiące z cudzego nieszczęścia.

– Proszę się zatrzymać – wysoka policjantka z upiętymi w kucyk blond włosami zagroziła mu drogę. – Nie widzi pan, że przejścia nie ma?

Wolski posłusznie stanął. Skołowany spojrzął na kwadratową, kościstą twarz funkcjonariuszki i pomyślał, że nawet bez munduru rozpoznałby w niej wojskową

lub policyjną służbistkę. W półmroku podwórza sprawiała posępne wrażenie członkini Waffen SS albo Gestapo. Brak makijażu, króciutkie rzęsy i wąskie usta nie były w stanie odciągnąć uwagi od wielkich, wybaluszonych oczu.

– To służby z całego Lublina? – wskazał w stronę radiowozów.

– Nie docenia pan naszych możliwości.

Głos funkcjonariuszki przypominał apel poległych.

– Czy to standardowe procedury? Parę godzin temu olaliście moje zgłoszenie.

– A czy ja jestem od tego, żeby odpowiadać na pańskie pytania?

Kolejny przejaw urzędniczej usłużności i sympatii dla petentów. W prasie pojawiły się ostatnio wzmianki, że na hasło policji wybrano piękny slogan „Chronią i służą”. Bardziej pasowałoby „Musztrują i zbywają”.

– Myślałem, że bycie na służbie – zaakcentował słowa „na służbie” – właśnie do tego zobowiązuje.

– Pan powinien teraz odpocząć, a nie myśleć.

Wezbrane w nim złość, rozpacz i bezradność już dawno przekroczyły stany alarmowe, a teraz wystąpiły z brzegów, rozlewając się po całym ciele. Komisarza mógł potraktować jak mężczyznę, zdzielić po pysku, dać się skuć i oskarżyć o obrazę funkcjonariusza. Ale policjantka, chociaż praktycznie nie przypominała kobiety, a w jej organizmie więcej było zapewne testosteronu niż progesteronu, to coś innego.

– Do kurwy nędzy – wycedził, zaciskając z całych sił pięści. – Nie wiem, czy nauczyli was myśleć. Nie wiem, czy nauczyli was, że w przeciwieństwie do UB jesteście dla obywatela, a nie przeciw niemu. Ale proszę, cholernie uprzejmie proszę – zniżył głos – nie róbcie ze mnie idioty. Mam iloraz inteligencji wyższy od pantofelka i potrafię zrozumieć, kiedy coś się święci. Domyślam się też, że cały pierdolony hufiec komendy nie przyjeżdża oglądać kartki pocztowej z niezrozumiałym zdaniem, skleconym z liter nieudolnie wyciętych z gazety.

Z każdym jego słowem twarz policjantki nabierała ludzkich rysów. Wreszcie kiedy zamilkł, wydało mu się, że wręcz dostrzega na niej przychylnie mu, szczere współczucie.

– Przepraszam – wydusiła funkcjonariuszka. – Wszyscy jesteśmy podenerwowani.

– Wszyscy? To nie pani żona zaginęła!

– Wystarczy, że siedzimy w tym gównie po uszy i roztrząsamy coś, co nie daje nam spokoju. Myśli pan, że przyjechałam tu dla towarzystwa?

– Sama pani powiedziała, że nie powinienem myśleć.

Policjantka prawie się uśmiechnęła. Zrobiła krok w jego stronę i rozejrzała się konspiracyjnym ruchem. Wokół nich nie było nikogo. Najbliżej znajdowała się dwójka techników, którzy właśnie nachylali się nad odcinkiem trawnika przy skrzynce.

– Wie pan, co oni teraz robią? – zapytała przyciszonym głosem.

– Domyślam się, że nie szukają drobniaków.

– Ściągają potencjalne odciski opon samochodowych i butów, a później będą je całymi dniami analizować i porównywać z innymi próbkami.

– Z jakimi próbkami?

– Zebranymi w innych sprawach.

Wolskiego przeszył zimny dreszcz. Mimo że przed przyjazdem policji narzucił na siebie grubą marynarkę, jej materiał nie chronił przed zimnem grudniowych nocy. Co prawda przez ostatnie dni temperatury były na plusie, ale i tak nie przekraczały ośmiu stopni. Teraz było co najwyżej dwa powyżej zera.

– O jakich innych sprawach pani mówi?

Policjantka jeszcze raz rozejrzała się dokoła.

– Nie pan pierwszy otrzymał tak skonstruowany list i pańska żona nie pierwsza zaginęła. Mówię to oczywiście całkowicie nieoficjalnie.

– W mediach nie wspomnieli o tym nawet słowem!

– Prokurator uważa, że sprawa powinna być prowadzona w atmosferze maksymalnego spokoju. Nie ma potrzeby wzbudzać paniki. Komisarz ma oczywiście zupełnie odmienne zdanie, ale musiał się podporządkować, co go doprowadza do podwójnej furii. Cierpimy na tym wszyscy.

– Czy w tych innych sprawach – Wolski nieумыślnie głośno przełknął ślinę – także zaginęły kobiety?

– Nic więcej panu nie powiem. Proszę mnie zrozumieć.

– Dlaczego więc w ogóle pani zaczęła?

– Odruch humanitaryzmu.

W ustach tej konkretnej policjantki zabrzmiało to jak słowa Marsylianeki śpiewane przez ludożercę. Wolski schował dłoń w mankietach marynarki. W niedawnym wybuchu złości ulotnił się jego gniew, a pozostało przeszywające poczucie bezradności.

– Myśli pani, że te psy coś wytropią?

Policjantka powiodła spojrzeniem w stronę miejsca, z którego przed kilkunastoma minutami wyruszyła obława.

– Na razie zwietryły ślad na podstawie okazanej koperty – wyjaśniła służbowym tonem. – To trop najbardziej niepewny, bo nie pochodzący z próbek osmologicznych.

– Z materiału zapachowego? – dopytał Wolski.

– Dokładnie. Ale już ani słowa. Jak sam pan zauważył, jestem na służbie.

– Proszę mi tylko powiedzieć, czy...

– Jeżeli prasa będzie wiedziała cokolwiek – policjantka nie pozwoliła mu skończyć – zapuszczamy pana za utrudnianie śledztwa.

– Śledztwa? – trzeźwo podłapał Wolski. – O ile wiem, w sprawie zaginięć prowadzi się dochodzenie.

Jego wiedza prawnicza mogła być jednak mocno nieaktualna. Kilka podstawowych pojęć poznał lata temu, kiedy dopracowywał fabułę jednej ze swoich książek.

– Mamy dowody, że te pozostałe kobiety wcale nie zaginęły.

Policjantka odwróciła się i pomaszerowała w stronę bramy, pozwalając Wolskiemu samodzielnie dopowiedzieć sens zdania. Jednak wcale nie była humanitarna.

21 GRUDNIA

Brygada dochodzeniowa skończyła robotę grubo po północy. Psy zgubiły trop kilka kilometrów za dzielnicą domków jednorodzinnych, w której mieszkał Wolski. Właściwie nie było nawet wiadomo, czy podążały prawidłowym śladem, a nie tropem listonosza czy przypadkowego samochodu. W każdym razie poszukiwania na nic się zdały, komisarz wrócił obwieścić Wolskiemu, że przyjedzie koło południa, że ten ma „siedzieć na dupie i czekać”, w przeciwnym razie grożą mu konsekwencje. Wolski przybrał postawę zrezygnowanego obywatela, któremu jest właściwie wszystko jedno, czy władza go nagrodzi, czy ukarze.

Klara postanowiła zostać u niego na noc i za nic w świecie nie mógł jej tego wybić z głowy. Tym razem postanowił być uparty, co oczywiście jedynie wzmogło jej determinację, doprowadziło do scen siostrzanej nadopiekuńczości i braterskiej próby wyzwolenia, a ostatecznie zakończyło się zgodnie z wolą kobiety.

Posłał jej łóżko w pokoju gościnnym, sam wziął butelkę whisky do sypialni na górze i pociągając wprost z gwinta, opadł na złożoną kanapę. Zaraz wstał i wmawiając sobie, że Marta może nagle zadzwonić, a bateria telefonu rozładować się z osiemdziesięciu procent do zera w ciągu kilku godzin, podpiął swojego blackberry do kontaktu. Nie zamierzał jednak spać.

Wypił solidny łyk whisky i zdeterminowany, że będzie czuwał, postanowił zrobić sobie kawę. Albo od razu dwie. Z irytacją odpiął komórkę od ładowarki i schował ją do kieszeni spodni. Ostrożnie, nie zapalając światła, zszedł po schodach na dół. Wyciągniętą ręką wyszukiwał krawędzi ścian i mebli. Po odjeździe policji Klara opuściła rolety przeciwwłamaniowe, przez co w domu panowała całkowita ciemność. Cicha i złowroga.

Starając się odrzucić posępne myśli i opierając się na wewnętrznym GPS-ie, Wolski poczłapał w stronę kuchni. Nagle, kiedy już dostrzegł światełka elektronicznego zegarka wbudowanego w okap kucharki, kopnął stopą w coś twardego. Ciche brzęknięcie zmieszane z wyszeptanym przez niego przekleństwem rozwiało się w mroku pomieszczenia. Przez chwilę usprawiedliwił się tym, że jego orientacja musiała zostać zaburzona przez alkohol. Jednakże kiedy dokuśtykał do zlewu i zapalił lampkę służącą do podświetlania blatu kuchennego, zauważył, że jedno z ciężkich drzwiczek drewnianego kredensu były otwarte. Wywinął w nie pod takim kątem, że nawet nie drgnęły. Jeszcze raz bluzgając pod nosem, wrócił się i zamknął je z jęklwym skrzypnięciem zawiasów. Marta od miesiący nie mogła się doprosić, by je nasmarował.

Marta, Marta, Marta.

Tylko jedna myśl kłębiła mu się w głowie, a wokół niej cała litania własnych przewinień. Nie wyszedł pobiegać, nie naoliwił zawiasów, nie wyjął naczyń ze zmywarki. Wyrzuty sumienia, które potrafiły wszystko zniszczyć, a nie mogły niczego zmienić.

Odechciało mu się kawy. Czuł się wystarczająco rozbudzony, by czuwać choćby do samego rana. Z szuflady pod blatem kuchennym wyciągnął papierosy. Przez chwilę szukał jeszcze zapalniczki, wreszcie zadowolił się paczką rzuconych na okap zapalek.

Zgasił światło i krok za krokiem jak cień zanurzył się w mroku salonu. Przeszedł wzdłuż ściany, słysząc jedynie dobiegające z korytarza tykanie francuskiego zegara.

Tik-tak. Tik-tak.

Nie zwrócił uwagi na ostatnią wybijaną godzinę, ale musiało być już po drugiej. Być może minęła trzecia. Przeszedł obok domofonu i dalej, w stronę lichego światła dobiegającego z westybulu. Znajdujące się w nim dwa okrągłe okienka były niewiele większe od dłoni i nie okrywały ich rolety antywłamaniowe.

Wolski wszedł do niewielkiego pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi. Zanim odpalił, złamał trzy zapalki i był bliski wyrzucenia papierosa.

Wreszcie, głodny nikotyny jak pies miski, zaciągnął się.

Powoli, delikatnie, głęboko.

Wypuścił dym ustami i zerknął w okienko. W rozproszonym świetle latarni podwórze było stąd dość dobrze widoczne. Wolski strzepnął popiół na terakotę, celując w kratki gumowej wycieraczki.

Kiedy podniósł wzrok, niemalże podskoczył. Przy bramie majaczył upiorny cień. Przypominał wysoką, bardzo wysoką postać w szatach sięgających samego chodnika. Była ona zwrócona w stronę domu, stała nieruchomo i nagle, zupełnie jak zjawą, zniknęła za ogrodzeniem.

Komisarz Deryło wrócił do mieszkania, wziął prysznic i się ogolił. Dzięki temu zaoszczędził sobie roboty za kilka godzin. Jego zarost wciąż był gęsty i ciemny, lecz z biegiem lat coraz wolniej odrastał. Jako gówniarz marzył, żeby gładka skóra wieczorami nabierała szorstkości. Później stało się to tylko uciążliwością, nieprzekładającą się na popularność wśród kobiet. Przez jakiś czas nosił krótką brodę, ale z jej pielęgnacją było jeszcze więcej problemów. Poza tym ciągle słyszał, że przez nią jedynie zdzia dzia. Mimo że zdzia dzia wydawało się lepsze od zdziecinnienia, w końcu wrócił do codziennego rytuału. Wąs w typie amerykańskich gliniarzy zupełnie odpadał. Baczki też.

Po nocnych wezwaniach nigdy nie był głodny. Miał raczej ochotę na kieliszek czegoś mocniejszego, ale musiał się powstrzymać. Napił się wody z kranu i w samych slipkach przemaszerował do sypialni. Jego żona, Ewa, jeszcze nie spała. Lampka ustawiona na szafce nocnej była zapalona, a kobieta czytała grubą książkę w mocno

podniszczonej okładce. Kiedy Deryło podszedł do łóżka, odwróciła się w jego stronę i uchyliła kołdrę.

– Wszystko w porządku? – zapytała, zsuwając okulary.

– Nic nie jest w porządku – komisarz parsknął ze złością. – Od prawie dwóch tygodni nic nie jest w porządku.

– Kolejne porwanie?

Wszedł do łóżka i okrył się kołdrą. Położył się na lewym boku, a prawą rękę przełożył przez brzuch żony. Popatrzył na jej duże, pełne wargi, na piegowate policzki i smukłą szyję. O tej porze, choć wszystkie zmarszczki wydawały się głębsze niż w ciągu dnia, i tak wyglądała na mniej niż pięćdziesiąt lat.

– Kolejne porwanie, kolejny list i kolejne zawracanie dupy – jednym tchem wymienił Deryło.

– Nic do przodu? – Ewa utkwiała w nim pytające spojrzenie.

– Nic. Cztery cholerne iksy.

– Mhm...

Komisarz wiedział, że niewinne mruknięcie stanowi tylko prelude do dalszego przesłuchania. Być może sam powinien stosować takie narzędzie śledcze. Zawieszenie głosu, chwila przerwy i pytanie.

– W samym Lublinie czy znów poza? – padło znacznie szybciej, niż się spodziewał.

– Węglin.

– Pierwszy raz właśnie tam.

– Mąż ofiary powiedział mi, że to bezpieczna dzielnica – z sarkazmem mruknął komisarz. – Rozumiesz? On mi to po prostu obwieścił. Tak jakby stwierdzał, że radiowozy są pomalowane na zielono, a mundury różowe. On to wiedział lepiej niż ja. Kretyn.

– Nie bądź obcesowy – wytknęła mu Ewa. – I nie nazywaj jej ofiarą.

– W jaki sposób na to nie patrzeć, to ona jest ofiarą. Nawet jeżeli żyje, w co wątpię, to po prostu jest ofiarą przestępstwa.

– Z góry zakładasz najgorsze.

– Jestem racjonalistą, nie telemarketerem. – Deryło naciągnął prześcieradło. – Nie wciskam ludziom maści na raka.

Kobieta odłożyła książkę i odwróciła się na bok, w stronę męża. Jej długie, pofarbowane na słomkowy kolor włosy opadły na poduszkę. Położyła dłoń na klatce piersiowej komisarza. Przez chwilę wodziła nią w jedną i drugą stronę, przeczesując siwiejące włosy. Często zasypiali właśnie w tej pozycji.

– Naprawdę myślisz, że one nie żyją? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. Chciałbym, żeby odnalazły się jeszcze piękniejsze i jeszcze zdrowsze niż przed zaginięciem, ale wiem, że to niemożliwe.

– Nie możecie dłużej odsuwać od tego prasy. – Ewa podniosła głowę. – Musisz wreszcie zwołać oficjalną konferencję i ostrzec ludzi. Powinni mieć się na baczności, nie włączyć po nocach i...

– Sam nie zbawię świata. – Komisarz wszedł jej w słowo. – Ci idioci z prokuratury wiążą mi ręce i robią z tego problem polityczny. Cholerne urzędasy. Wolą każdy syf zamieść pod dywan, licząc, że nikt nie zauważy. Zachowują się, jakby nie zdawali sobie sprawy z konsekwencji.

– Co masz na myśli?

– Że wybuchnie wielka afera.

– Kiedy?

– Jak znajdą pierwszego trupa. Albo ich całą kolekcję.

Kiedy Maria Ostrowska, nazywana przez przyjaciół Mają, przekręciła klucz w drzwiach stancji, minęła już trzecia nad ranem. Solidnie podpita po świętowaniu pierwszego zdanego egzaminu, weszła do środka bujanym krokiem. Mężczyzna, z którym zaczęła się spotykać dwa tygodnie wcześniej, posłusznie został na zewnątrz.

– Sprawdzę, czy nie ma właścicielki – szepnęła, przykładając palec do ust. – Zaraz wrócę.

Przymknęła drzwi i zanurzyła się w ciemności mieszkania. Rodzina staruszki, od której wynajmowała pokój, miała zabrać swoją protoplastkę na dwa tygodnie do Warszawy. Maria zapaliła światło w łazience, a następnie w półmroku uważnie zlustrowała przedpokój. Nigdzie nie dostrzegła pary ulubionych butów staruszki. Płaszcz również nie było. Musiała mieć jednak pewność.

Podtrzymując się ściany, weszła do kuchni. Tym razem nie zapaliła światła. Krok za krokiem, niemalże na palcach, podeszła do starych drewnianych drzwi z mleczną szybą pośrodku. Z drugiej strony zaklejono ją grubym papierem, przez co Maria nigdy nie wiedziała, czy właścicielka mieszkania już śpi. Zdarzało się, że nie spała o najdziwniejszych porach. Ludzie w pewnym wieku całkowicie fiksują, a ich zegar dobowy przestawia się na czas kambodżański albo jeszcze gorzej. Chyba tylko po to, by drażnić ich samych i otoczenie.

Dziewczyna zatrzymała się przy drzwiach i przyłożyła do nich ucho. Nic. Cisza.

Gdyby nie była pijana, pewnie dawno zrezygnowałaby z tego pomysłu. Być może nie pokazałaby nawet Karolowi, gdzie mieszka. Alkohol prócz pragnienia gasił również obyczaje. I obawy.

Delikatnie zapukała.

Odpowiedziała jej głucha cisza.

Ostrożnie, jakby obawiając się porażenia prądem, pociągnęła za klamkę. Drzwi ustąpiły, a ona otworzyła je zaledwie na kilka centymetrów. Przyłożyła skroń do framugi i wpatrywała się przez szczelinę w głąb pokoju. Poczowała mdłą, owocową woń używanych przez staruszkę w nadmiarze perfum. Minęło kilka sekund, zanim wzrok Marii przyzwyczyił się do ciemności. Po prawej dostrzegła zarys krzesła z rozłożonymi na nim ubraniami, dalej zgaszoną lampkę nocną z wielkim abażurem, wreszcie łóżko. Dziewczyna zmrużyła oczy, ale nie mogła rozpoznać krawędzi odcinających się od skraju kołdry. Zamrugła, lecz ciemna bryła nadal pozostała nieokreślonym konturem pobudzającym wyobraźnię. Z całą pewnością zbyt małym, jak na sylwetkę staruszki.

Maria cicho wypuściła powietrze. Mimo że najwyraźniej mieszkanie pozostawało wyłącznie do jej dyspozycji, ten niezwykle element wzbudził jej niepokój. Alkohol łagodził strach, ale podsuwał fantazje. Nigdy nie buszowała po pokoju właścicielki, lecz nie pamiętała też, by kiedykolwiek coś leżało na łóżku.

Wstrzymała oddech i przełamując *sacrum*, nacisnęła włącznik światła.

Na widok rozłożonej puste torby uśmiechnęła się sama do siebie. Staruszka zapewne nie zmieściła do niej swoich rzeczy i spakowała się do większej walizki.

* * *

– Włącz – otwierając drzwi, już nie szeptała. – Jesteśmy sami.

Karol wsunął do środka swoje toporne, zwaliste ciało. Obtupał buty, zdjął płaszcz i poszedł za dziewczyną w głąb mieszkania.

– Skromne, ciasne i nie własne – Maria zażartowała, wchodząc do kuchni. – W tamtym pokoju mieszka właścicielka. – Wskazała na starannie domknięte drzwi. – Tam jest łazienka, a tam mój pokój.

– Pokaż mi go. – Karol był zupełnie pijany. Dla zachowania równowagi oparł się o framugę drzwi i walczył z odrywającym od ziemi zawrotem głowy.

– Mam straszny bałagan.

- I tak ci nie wierzę.
- Naprawdę musisz wszystko zobaczyć na własne oczy?
- Jasne.

Oderwał się od ściany i zbliżył do Marii. Delikatnie, niby ukradkiem przeciągnął dłonią po jej bluzce na wysokości piersi.

- Jasne, że chcę zobaczyć na własne oczy – dodał, bełkocząc.
- Przestań. – Dziewczyna cofnęła się. – Nawet nie próbuj.
- Co miałbym próbować?

Na pyzatej, kwadratowej twarzy pojawił się rybi uśmiech.

- Dobrze wiesz.
- Pokaż mi tylko ten pokój.
- Jesteś niemożliwy.

Maria pchnęła drzwi i zapaliła stojącą przy wejściu lampkę nocną. Karol przeciągle zagwizdał na widok mnóstwa plakatów, książek wylewających się z każdego zakamarka, a przede wszystkim sporego metalowego łóżka.

– Całkiem fajne wyrko. – Rybi uśmiech jeszcze bardziej się rozszerzył. – Dość miejsca dla dwojga.

- Mogę spać wzdłuż i wszerz.
- Nie chciałabyś spać po prostu obok?

Dziewczyna odwróciła się w jego stronę i poczuła konsternację. Bez wątpienia był bardzo pijany i jeszcze bardziej napalony. Niepotrzebnie go zapraszała. Powinna jeszcze z tym poczekać, a dziś łaskawie pozwolić się tylko odprowadzić. Praktycznie się nie znali. Pierwsze rozmowy dwójki zauroczonych sobą osób zawierają niemal same puste słowa. On – gracz rugby jednego z lubelskich zespołów, którego nazwy nawet nie pamiętała. Ona – studentka pierwszego semestru pierwszego roku medycyny. Wspólnymi zainteresowaniami, które dotąd odkryli, były sport i podróże. Dokładnie jak w najbardziej tandetnych CV. Poza tym prawie nic o nim nie wiedziała.

– Zrobiłam się strasznie śpiąca – powiedziała usprawiedliwiającym głosem. – Chyba wino dopiero uderzyło mi do głowy.

Słowa podziałały niczym płachta na byka.

- Możesz się przecież położyć.
- Tak zaraz zrobię.
- Zostanę z tobą.
- Przepraszam, ale lepiej będzie, jeśli już pójdziesz.

Nieoczekiwanie gwałtownie ją pocałował. Mocno i drapieźnie. Nie był to ich pierwszy pocałunek, ale Maria poczuła wzbierającą odrazę. Do kwaśnego zapachu trawionego alkoholu, a jeszcze bardziej do małostkowości i natarczywości Karola. Oderwała usta od jego języka i znów się cofnęła.

Poszedł za nią.

- Nie podoba ci się?

Przytulił ją, przypierając plecami do boku kredensu. Nim zdążyła zaprotestować, znów ją pocałował. Równocześnie poczuła, jak jego wielka łapa zsuwa się po jej żebrach w stronę brzucha i dalej. Zadrżała. Chciała się wyszarpać z silnego objęcia, ale jej nie pozwolił.

Wyciągnął bluzeczkę z jej spodni i wsunął pod nią dłoń. Z ekscytacją dotknął jej pępka i powędrował w dół. Poczuła, że palcami chwyta za guzik od spodni.

Pisnęła i chciała go ugryźć. Wtedy odskoczył jak oparzony.

- Coś ty! – wrzasnął zaskoczony.

Maria nawet się nie poruszyła.

- Wyjdź już – powiedziała cierpko. – Natychmiast wyjdź.
- Co się stało?
- Wypieprzaj stąd! – tym razem prawie krzyknęła.

Zrobił krok w jej stronę, ale dziewczyna wyprostowała się i wyciągnęła dłonie, jakby chciała go

utrzymać jak najdalej od siebie.

– Maju – powiedział wręcz błagalnym tonem – nie chcę zrobić ci krzywdy.

– Powiedziałam coś!

Odzyskała trzeźwość myślenia. Przeszła obok Karola i skręciła w korytarz. Otworzyła z hukiem drzwi wyjściowe. Mężczyzna, głośno tupiąc o wykładzinę, poszedł za nią. Z irytacją chwycił zostawiony na wieszaku płaszcz i obrzucił ją zdeorientowanym spojrzeniem. Oczekał chwilę. Wreszcie, widząc nieprzejeźdną determinację na twarzy dziewczyny, bez słowa wyszedł na klatkę schodową. Nie odwracając się, zbiegł po schodach.

Maria zamknęła drzwi i głośno wypuściła powietrze. Przez chwilę stała w korytarzu, upewniając się, że zamknęła oba zamki. Zdenerwowana wbiła wzrok w metalowy łańcuszek, czy aby na pewno wczepił się w miejsce blokady i jakimś cudem nie odskoczył.

Wreszcie nieco spokojniejsza poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Mimo że było w niej sporo produktów, uznała, że nie ma ochoty jeść. Kiedy wyciągnęła butelkę schłodzonej wody, w kieszeni poczuła wibrację telefonu. Przed odebraniem nawet nie zerknęła na wyświetlacz, pewna, że wie, kto dzwoni.

– Słucham – odezwała się cierpko.

– Majuuuu – usłyszała w aparacie. – Nie chcę zrobić ci krzywdy.

To nie był głos Karola.

- Halo! Kto mówi?
- Nie chcę zrobić ci krzywdy.
- To ty, Michał? Nie wygłupiajcie się!

Michał Tarski był najlepszym przyjacielem Karola. To właściwie dzięki niemu się poznali. Dawniej grał w rugby, obecnie jako student drugiego roku medycyny zarzucił sport na rzecz nieustannej nauki. Mimo wszystko przyjaźń z boiska utrzymała się i obaj mężczyźni pozostali nierozłączni. Maria pamiętała, jak wyszli całą paczką „lekarskiego” do baru na miasteczku akademickim. Wtedy Michał zaprosił także Karola, który w przeciwieństwie do niego poświęcił naukę dla profesjonalnej gry w rugby. Chociaż na pewno nie było to duże poświęcenie. Od razu spodobały się jej jego wesoły sposób bycia, przeniesiona z boiska bezpośrednio i potężna sylwetka. Każda z tych cech wywoływała w niej teraz obrzydzenie. Dzisiejszego wieczoru spotkali się we trójkę, a Michał podprowadził ich na osiedle. Jedyne on mógł jej teraz robić idiotyczny dowcip.

- Michał?
- Nie znam żadnego Michała – oświadczył głos po drugiej stronie słuchawki.
- W takim razie kto mówi? – spytała zirytowana.
- Obserwowałem cię. Właściwie obserwuję cię od dawna.
- Znamy się?

Poczuła nieprzyjemny dreszcz na plecach.

- Nie sądzę, żebyś mnie kiedyś widziała.
- Jesteś idiotą. Rozłączam się.
- Nie rób tego, moja droga.

Głos był szorstki, stłumiony, jakby rozmówca starał się mówić możliwie cicho.

- Bo co?
- Bo mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego.

Ostatnie promile alkoholu musiały z niej już ulecieć. Znikły rozkojarzenie, zawroty głowy i lekkość nóg. Gwałtownie odpłynęła też senność. Zastąpiło ją dudniące, rozsadzające czaszkę pulsowanie krwi w skroniach.

- Co takiego?
- Przed chwilą nie byłaś taka konkretna.
- Nie rozumiem, co masz na myśli.

Nie rozumiała, ale podświadomość zacisnęła na jej gardle klamrę strachu.

- Doskonale widziałem, że nie chcesz konkretów. – Zdanie zakończył krótki, tłumiony śmiech.
- Czyż nie?
- Rozłączam się, a jeżeli zadzwonisz jeszcze raz, zgłoszę to na policję.
- Nie zrobisz ani jednego, ani drugiego.

Maria szybkim krokiem przeszła do swojego pokoju. Nacisnęła włącznik górnego światła, ale żarówka jedynie mrugnęła i wypaliła się z cichym brzęknięciem. Dziewczyna nerwowo ponownie wcisnęła przycisk. Nic.

Światło lampki nocnej pozostawiało znaczną część pokoju w półmroku. Maria podeszła do biurka i drżącą dłonią otworzyła górną szufladę. Wyciągnęła z niej mały szwajcarski scyzoryk.

- Masz rację – powiedziała, zbierając się na odwagę. – Już teraz cię zgłoszę.
- I nie chcesz się dowiedzieć, co mam ci do powiedzenia?
- Nie interesuje mnie to, ty popaprańcu.
- Powinnaś zasłonić roletę.

Maria w jednej chwili doskoczyła do okna i wyjrzała na ulicę. Nie było na niej nikogo. Popatrzyła uważnie po zaparkowanych przy chodniku autach. Dwa SUV-y, stary porzucony fiat i taksówka ze zdjętym kogutem. Wszystkie wydawały się puste. Serce dziewczyny podchodziło do gardła,

w wybijanym rytmie blokując jej przełyk. Gwałtownie, z podświadomym poczuciem bycia obserwowaną pociągnęła za sznurek rolety.

– Wspaniale, że się mnie słuchasz.

– Jeśli mnie podglądałeś, to też jest to przestępstwo.

– Jak na studentkę medycyny, znasz się wyjątkowo dobrze na prawie.

Maria mocniej ścisnęła słuchawkę telefonu. Chciała się rozłączyć, ale nie mogła. Jej dłoń wręcz przywarła do plastikowej obudowy aparatu.

– Teraz coś ci powiem. Na pewno jesteś tego ciekawa.

Głos urwał się i zamilkł. Dziewczyna słyszała jedynie trzeszczenie i ciche szuranie. W ułamku sekundy zrozumiała, że tylko pierwszy z odgłosów dobiega ze słuchawki. Szuranie słyszała tuż za sobą.

– Nie chciałem zrobić ci krzywdy.

Deryło obudził się w środku nocy. Był zlany potem, a resztki sennego koszmaru kipiały gdzieś w podświadomości. Ostrożnie, żeby nie obudzić Ewy, zwał się z łóżka i poszedł do kuchni. Nie zapalając światła, nalał do szklanki wody. Nie chciało mu się spać. Raz rozbudzony, potrafił godzinami kręcić się w pościeli, licząc minuty do świtu. Nie pomagały mu wtedy ani tabletki nasenne, ani techniki uspokajania oddechu. Przerobił to zbyt wiele razy, aby być nadal naiwnym. Jedyną skuteczną metodą było zajęcie się czymś i odczekanie, aż senność powróci z własnej woli. Czasem nie powracała aż do rana. Dopadała go dopiero w pracy, zmuszając do reanimacji organizmu za pomocą zastrzyków z kofeiny.

Ze szklanką wody przeszedł do gabinetu. Zamknął drzwi i zapalił światło. Przez chwilę stał przy zajmującej całą ścianę bibliotecze i lustrował grzbiety książek. Były ich tysiące. Zabytkowe encyklopedie, eleganckie wydania dzieł rzymskich klasyków, trochę filozofii, a obok nich współczesne poradniki dla śledczych i opasłe tomy słowników. Kiedyś chciał się nauczyć każdego języka obcego, z jakim się zetknął. Angielski, francuski, włoski, arabski, nawet węgierski... Skończyło się na znajomości podstawowych pojęć i zwrotów. Marzenia o zostaniu poliglotą odłożył na emeryturę.

W końcu, bez żadnej książki, usiadł przy biurku. W jednej z przegródek składował kartki giętkiego, chropawego papieru. Były rozmaitych kolorów i wielkości. Wyciągnął czerwoną i gilotyną uciął jej brzeg, tak aby stanowiła idealny kwadrat. Złożył ją kilkoma wprawnymi ruchami.

Kiedy był dzieckiem, ojciec opowiedział mu o Sadako Sasaki, Japonce, która przeżyła wybuch bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę. W jej przypadku eksplozja była tylko początkiem historii. W wieku kilkunastu lat u dziewczynki zdiagnozowano białaczkę, a lekarze dawali jej co najwyżej rok życia. Pełnego cierpienia i wyrzeczeń. To w szpitalu usłyszała legendę mówiącą o tym, że po złożeniu tysiąca żurawi origami spełnia się jedno marzenie. Sadako marzyła o powrocie do normalnego życia. Całymi dniami tworzyła papierowe figurki, gorliwie wierząc w cudowne uzdrowienie. Zmarła kilka miesięcy później, mając upchniętych w szafce ponad sześćset żurawi. Opowieść nie miała ani szczęśliwego zakończenia, ani konkretnego morału. Deryło zastanawiał się, czy miała też jakikolwiek sens.

Mimo tego od wielu lat koił nerwy składaniem origami. Pamiętał, jak razem z bratem biegali za papierowymi samolocikami i puszczali na wodzie statki. Coś mistycznego było w obserwowaniu rozmakających kartek papieru, które tonęły niczym Titanic. Niepotrzebne im były góry lodowe. Przekrzykiwali się podekscytowani, jak daleko dopłyną ich papierowe łajby, po czym wodowali kolejne. Całymi godzinami.

Odkąd Roman zachorował, Deryło nigdy nie złożył już żadnego statku. Ich miejsce zajęły kolorowe żurawie, które chwilę po rozłożeniu skrzydeł lądowały w śmietniku. Nie chciał jak Sadako wypychać nimi szuflad i półek. Z czasem robienie origami stało się jego bezwarunkowym odruchem, tikiem wstrząsającym dłońmi w chwilach zamyślenia.

Uśmiechnął się, patrząc na czerwoną figurkę. Nacisnął tułów żurawia, tak że ten poruszył skrzydłami. Zupełnie jakby miał zaraz poderwać się do lotu.

Gwałtownie zmiął ptaka w papierową kulę i go wyrzucił. Sięgnął po kolejną kartkę.

Przez cały czas zastanawiał się nad zachowaniem Roberta Wolskiego. Statystycznie rzecz biorąc, to właśnie on był głównym podejrzanym. Za niemal dziewięćdziesiąt procent przestępczych zniknięć kobiet odpowiadali ich partnerzy. Mężowie, konkubenci czy kochankowie. Ewentualnie ojcowie. W tym przypadku miał jednak kilka zaginionych i komplet pokręconych listów. Albo w Lublinie popularyzowała się nowa seksualna perwersja, albo miał do czynienia z seryjnym sprawcą. Porywaczem recydywistą. W końcu, co podkreślała Ewa, nie znaleziono jeszcze żadnego ciała.

Z drugiej strony w zachowaniu Wolskiego było coś niepokojącego. Wiele osób w sytuacjach stresowych reagowało nerwowo, ale jego nerwowość była nienaturalna. Zupełnie jakby miała na celu zamaskowanie prawdziwych emocji. Mógł się za tym kryć wypity alkohol, ale też znacznie więcej. Poza

tym Deryło nie lubił pisarzy. Nigdy nie było wiadomo, co siedzi im w głowach, a umiejętność tworzenia upiornych historii musiała nosić znamiona choroby psychicznej. Wystarczyło wziąć takiego Jacka Unterwegera. Austriacki dziennikarz i reportażysta cieszył się opinią mistrza słowa, brylując w prasie na początku lat dziewięćdziesiątych. Zajmował się przede wszystkim sprawami tajemniczych morderstw popełnianych w Wiedniu i okolicach. Kiedy po miesiącach działań śledczy zrozumieli, że w swoich tekstach opisuje szczegóły, które mógł znać jedynie ich sprawca, wniosek był tylko jeden. Po krótkiej rozprawie Unterweger dostał dożywocie i powiesił się w celi.

Deryło nawet na torturach nie przyznałby, że jego niechęć mogła wynikać również z zazdrości. Sam, mimo dozy puryzmu językowego w mowie, miał odwieczne problemy z przelaniem myśli na papier. Nieważne, czy chodziło o napisanie raportu, czy przygotowanie wystąpienia na konferencję. Męczył się nad każdym zdaniem, nie mając pojęcia, jak można tworzyć niemal tysiącstronicowe historie.

Drgnął na odgłos otwierających się drzwi. Ewa weszła do gabinetu i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Znowu? – zapytała.

– Znowu – przytaknął.

Zacisnęła dłonie, rozmasowując mu kark.

– Ostatnio zdarza się to coraz częściej. Może powinieneś pójść do lekarza...

– Żeby dostał kolejne prochy, po których nie będę mógł funkcjonować?

– Żebyś mógł spać.

Nie odpowiedział, rozgniatając kolejnego żurawia. Tym razem nawet na niego nie spojrział.

– Kiedyś zrobię ich tysiąc – mruknął po chwili bardziej do siebie niż do niej.

Ewa popatrzyła na niego, kręcąc z politowaniem głową.

– A skąd to niby będziesz wiedział, skoro je ciągle niszczysz?

– Po prostu – odparł, sięgając po niebieską kartkę. – Poczuję to.

Robert Wolski obudził się w fotelu w salonie. Ledwie otworzył oczy, w panice zaczął szukać komórki. Nie było jej ani na stoliku obok niego, ani w kieszeni spodni. Trzepnął kocem, który miał zarzucony od brzucha w dół. Telefon wysunął się z niewidocznego wełnianego zakamarka i z hukiem uderzył o podłogę.

Cholera.

Mężczyzna natychmiast przełożył rękę przez oparcie fotela i podniósł aparat. Był cały. Żadnych nieodebranych połączeń, siedemdziesiąt jeden procent naładowania baterii, godzina siódma czterdzieści jeden. Kiedy to zaakceptował, pojawiła się jeszcze informacja, że jest dwudziesty pierwszy grudnia, trzy stopnie powyżej zera, pochmurnie.

Wyczuł delikatny zapach smażonej jajecznicy i przypiekającego się boczku. Z kuchni dobiegały stłumione przez drzwi odgłosy krzątania. Wolski z trudem podniósł się z fotela i krokiem człowieka, który spał na madejowym łożu, podreptał do łazienki. Opróżnił pęcherz i spojrzął w lustro. Jak, do cholery, mógł zasnąć? A gdyby Marta wróciła? Gdyby potrzebowała jego pomocy?

Plótl bzdury. Gdyby wróciła, to by go obudziła. Gdyby potrzebowała pomocy, usłyszałby jej krzyk. Stercząc całą noc w westybulu, mógł się jedynie nabawić przeziębienia i dodatkowo oszaleć. Szklanka szkockiej wystarczyła, żeby miał zwidy.

Rozpaczliwy gniew powracał w tempie wybudzającego się umysłu. Smutek, zdenerwowanie, zniecierpliwienie.

Z całej siły uderzył pięścią o marmurowy brzeg umywalki. Plastikowy kubeczek zachwiało się i przewrócił, rozsypując szczoteczki do zębów. Jego i jej.

Wolski, plując i charcząc, obmył twarz lodowatą wodą. Następnie wytarł ją z całych sił w szorstki materiał ręcznika. Nie chciał, żeby została choć jedna kropla. Chciał, żeby bolało.

Z zaczerwioną od szorowania twarzą wyszedł z łazienki i skierował się do kuchni. Przeciągnął się. Zapach jajecznicy i bekonu wzmógł się, ale nie pobudził w nim apetytu.

– Cześć, Robi.

Nie lubił, jak jego siostra zwracała się do niego w ten sposób. Była w tym samym rozciągniętym swetrze co ubiegłego wieczoru, ale miała jeszcze mokre, umyte włosy. Wyglądała na pewno znacznie świeżej niż on.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

– Musiałem zasnąć tylko na chwilę – okłamał sam siebie.

– Okryłam cię kocem.

– Dziękuję.

– Kawy? – Wskazała na stojącą na elektrycznej płycie kawiarkę.

– Poproszę.

Usiadł przy narożnym stoliku pod oknem i sięgnął po pilot od telewizora. Wycelował go w zawieszony przy okapie ekran. Pokazywano właśnie reklamę serka waniliowego, którym głośno mlaszcząc, zajadała się cała wesoła rodzina. Na twarzy dzieci pojawił się uśmiech ekscytacji, ojciec perwersyjnie posmarował serkiem nos żony, nawet pies pomachał ogonem. Pieprzona perwersja.

Klara, brzękając, wyciągnęła z szafki filiżankę i naląła do niej czarnego płynu. Postawiła ją przed Robertem.

– Zrobiłam jajecznicę i tosty.

– Nie mam ochoty na jedzenie.

– Musisz jeść.

– Nie rozpoczynaj dnia od protekcyjnego tonu – zachnął się, upijając łyk kawy. – Nie mów mi o ósmej rano, co mam robić, a czego nie. A przede wszystkim nie mów do mnie jak do jakiegoś pieprzonego dziecka z downem.

Kobieta spojrzała na niego zatroskanym wzrokiem. Zsunęła jajecznicę z patelni do miski i z

wymownym szurnięciem odsunęła ją na bok.

Wolski upił kolejny łyk kawy.

– Przepraszam – wydusił z siebie. – Wiem, że chcesz dobrze, i naprawdę dziękuję za twoją troskę.

Klara skinęła głową na znak, że przyjęła to do wiadomości. Bez słowa usiadła po drugiej stronie stołu i postawiła przed sobą wielki kubek herbaty.

Rozpoczęło się poranne wydanie informacji.

– Niedługo będę musiała pojechać do domu – powiedziała to, każdym ruchem pokazując, że wcale tego nie chce. – Muszę przygotować się powoli do świąt...

– Nie przejmuj się mną.

– Myślałam, że może...

– Cii!

Przerwał jej i podgłośnił telewizor. Prezenterka zniknęła, a kamera pokazywała teraz stację paliw przy rondzie Krwiodawców. Stały przy niej szereg zaparkowanych radiowozów, karetka i spory tłum ludzi.

Okolo godziny szóstej trzydzieści policja otrzymała zgłoszenie od przypadkowego przechodnia, który zauważył leżące w pobliskich zaroślach ciało. Policja, która przyjechała na miejsce, potwierdziła tę informację, ale odmawia na razie jakiegokolwiek komentarza. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że zmarła jest okolo trzydziestoletnia kobieta. Nie znaleziono przy niej żadnych dokumentów ani rzeczy pomocnych w ustaleniu tożsamości. Obecnie na miejscu trwają prace w celu zabezpieczenia ewentualnych dowodów i ustalenia, jaka była przyczyna jej zgonu. Nie wiemy, czy rozważany jest udział osób trzecich.

Pobliski teren monitorowany jest przez kamery przemysłowe stacji benzynowej, ale najprawdopodobniej ich zasięg nie obejmuje samego miejsca znalezienia zwłok. Więcej informacji już w kolejnym wydaniu...

Robert Wolski jeszcze przez chwilę tępo wpatrywał się w ekran telewizora. Nagle zerwał się jak rażony piorunem i nie zważając na zaklinania siostry, pobiegł do samochodu.

Powiedzieć, że komisarz Deryło był zły, znaczyło tyle co mówić, że Hitler był judeosceptykiem, a Kuba Rozpruwacz szowinistą. Wyrwany ze snu, wręcz kipiał z wściekłości. Udało mu się zasnąć dopiero nad ranem, co tylko potęgowało wkurwienie. Na miejscu zbrodni pojawił się o siódmej dwadzieścia, a wcześniej zdążył jedynie się ubrać i pospiesznie umyć zęby. Kolejny dzień zaczynał hekatombą.

Raport składany przez sierżanta Banacha był tak nieskładny, że musiał się powstrzymać, aby nie dać mu w pysk. Z pełną satysfakcją chwyciłby jego szczupłą buźkę i wywinął tak, żeby wydusiła jedynie konkrety. Opanowując się, machnął ręką i przeszedł pomiędzy policjantami w stronę okrytego czarnym workiem ciała. Leżało na asfaltowej ścieżce przebiegającej przez niezagospodarowany skrawek terenu. W pobliżu pustką okien zionęła stara rudera i wznosiły się chmary ogołoconych z liści drzew i chaszczy. Typowa śródmiejska dżungla. Komisarz kucnął i bez zbędnych ceremonii odchylił folię.

– Cholera... – syknął, wypuszczając powietrze.

W czasie blisko trzydziestoletniej kariery widział już sporo zwłok, ale te przyprawiły go o zawrót głowy. Młoda, zgrabna kobieta leżała na plecach, a jej dłonie złożono na brzuchu. Była naga od pasa w górę, a kształtne niegdyś piersi pokrywała cała litania nacięć. Pomiedzy nimi a szyją z idealną precyzją usunięty został spory płat skóry. Czerwona powierzchnia, spod której przebijała biel ścięgien i kości, miała kształt pięcioramiennej gwiazdy. Krew została najwyraźniej starannie obmyta, bo jej skrzepy nie zaburzały idealnej symetrii wyciętych linii.

Komisarz powiódł spojrzeniem ku splecionym poniżej dłoniom. Były nienaturalnie wygięte, zastygłe w geście wykpiwającym modlitwę. Dopiero przyglądając się uważnie, można było dostrzec, że spleciono je niewiele grubszą od nici metalową linką, a między połamanymi palcami zebrał się nieokreślony gęsty płyn.

Jedynie ubranie kobiety stanowiły ciemnogrnatowe dresy i sportowe adidas. Dokładnie takie same, o jakich poprzedniego dnia mówił Wolski.

Komisarzowi zrobiło się przykro. Mimo ciągłego bezdennego wkurwienia poczuł coś, co na lekcjach katechezy ksiądz nazywał współczuciem. Solidaryzowanie się z inną osobą, którego nie można pomylić z o wiele bardziej niebezpieczną empatią.

Bezwiednie sięgnął do kieszeni. Zawsze nosił przy sobie srebrną monetę, zastępującą mu zajęcze łapki i inne amulety. Patrząc na ciało, obrócił ją pomiędzy palcami. Wreszcie podniósł się i zerknął na stojącego o krok dalej sierżanta Banacha.

– Ruszaliście ją?

– Nie, czekaliśmy na pana komisarza.

Wreszcie konkretna odpowiedź.

– Prokurator już ją oglądał?

– Ciągłe nie przyjechał. Dziś dyżur ma sam, ekscelencja Malczewski. Pewnie właśnie siedzi w kiblu i przegląda poranne wydanie „Faktu”, licząc, że znajdzie swoje zdjęcie.

Zadziwiająco, że Banach miał przebłyski poczucia humoru.

– Pogońcie stąd tych cholernych gapiów. – Komisarz skinął w stronę kilkunastu osób stojących przy stacji. – Żadnych mediów, żadnych wywiadów, żadnego pieprzenia o dupie Maryni. Do roboty. Chcę mieć tu zaraz techników, pięćdziesiąt metrów wolnego miejsca i sterylność okolicy. Jeżeli któryś zadcpe choćby jakąś cholerną mrówkę, osobiście uduszę.

Sierżant Banach uważnie słuchał i potwierdzając, że zrozumiał słowa komisarza, strzelił butami. Deryło popatrzył na niego z politowaniem.

– Skończ z tym kankanem i zasuwasz – wycedził. – Po pierwsze, przynieście mi kawę.

Jeszcze raz zerknął na ciało. Przyjrzał się regularnym rysom twarzy, niemalże doskonale zamkniętym oczom i rozrzuconym wokół głowy blond włosom. Wąskie, ale eleganckie usta musiały za życia być całkiem seksowne. Mocne kości policzkowe na pewno przyciągały niejedno zalotne

spojrzenie. Poza wyciętym fragmentem skóry nie było żadnych śladów tortur. Na szyi nie dostrzegł sińców, jama brzuszna i piersi także wydawały się całe. Nawet jeżeli pentagram został wycięty, jeszcze kiedy kobieta żyła, zapewne cholernie bolało, ale nie sądził, żeby przez taką ranę mogła umrzeć.

Komisarz mimowolnie przeżegnał się nad zwłokami.

– Zasłońcie ją – rozkazał.

Wjazd na stację został zamknięty, więc Robert Wolski pojechał dalej, skręcił w Nałęczowską i zaparkował pod budką z kebabem. Na rozdygotanych nogach, ledwie utrzymując równowagę, popędził w stronę nieuporządkowanego parczku. Ślizgał się na błotnistej ścieżce, którą pokrywała warstwa opadłych jesienią liści.

W głowie huczały mu najgorsze myśli. Przełyk palił, wypełniając się cofaną żółcią, a zęby bolały od zaciskania szczęk.

– Stać! Przejścia nie ma!

Barczysty policjant zagroził mu drogę, ale Robert się nie zatrzymał.

– Głuchy pan?

Chciał skręcić w prawo, w górę ścieżki, ale funkcjonariusz rzucił się na niego i powalił na ziemię. Przez chwilę się kotłowali, wreszcie, kiedy już prawie udało mu się wyszarpnąć, dopadł do nich kolejny policjant.

Cios wymierzony pałką tylko go pobudził. Zrzucił z barków pierwszego służbistę i kiedy już myślał, że uda mu się pognać dalej, otrzymał kolejny cios. Tym razem znacznie bardziej precyzyjny.

Solidne uderzenie w bok szyi zadziało jak naciśnięcie guzika w dziecięcej zabawce. W ułamku sekundy odebrało mu dech i daremnie szukając powietrza, grzmotnął o ziemię. Ostatnim przejawem świadomości zamortyzował upadek, wyciągając przed siebie dłonie. Chwilę później otrzymał kilka solidnych kopniaków w żebra i jeszcze raz dostał pałką w kark. Zamglonym wzrokiem spojrzał w głąb ścieżki, gdzie uwijała się grupa osób w śnieżnobiałych kombinezonach. Kilka metrów dalej dostrzegł zarys okrytego czarną folią ciała.

* * *

– Powinienem pana w tej chwili zamknąć – wysyczał Deryło. – Powinienem być pana zamknąć już wczoraj, to może dzisiaj nie odstawiałby pan tych cholernych cyrków. Nie byłby pan teraz w tym bandażu na głowie, jak bojownik cholernego Talibanu.

Wolski siedział w tyle radiowozu. Do policzka miał przyciśniętą gazę z lodem, a na czole wielki opatrunek. Czuł się, jakby właśnie zszedł z ringu po pojedynku z Mikiem Tysonem. Dygotał z zimna, bólu i nerwów.

– Tylko dzięki naiwnej łagodności mojego serca jeszcze pan tu siedzi. I dlatego, że domyślam się, co panem kierowało.

– Szlag by was.

– Gdybym nie miał od cholery roboty, właśnie pod eskortą robiliby panu prześwietlenie. Ale zaraz pojawiłyby się media, zaraz byłaby kolejna afera. Więc jesteśmy kwita.

Wolski z trudem obrócił głowę i spojrzał na komisarza.

– Chcę zobaczyć ciało.

Deryło przybrał łagodniejszy wyraz twarzy. Przez chwilę ulotniła się jego poza klasycznego choleryka.

– Zostało zabrane na sekcję.

– Czy to może być...

Wolski nie był w stanie wypowiedzieć imienia swojej żony w tym kontekście. Komisarz głośno wypuścił powietrze i spojrzał za okno. Technicy kończyli już pracę, policjanci trzymali na dystans ekipy telewizyjne, a pracownicy stacji niecierpliwie wyczekiwali przywrócenia ruchu.

– Nie wiem. Są pewne cechy zbieżne, ale...

– Cechy zbieżne?

– Ta sama płęć, podobny wiek, fizjonomia, wie pan, ale równie dobrze to mógł być właściwie

każdy.

Wolski zapadł się bezwładnie w fotelu. Przypominał kukłę, którą można by wyrzucić na płonący stos ogniska, a ona nawet by nie drgnęła. Komisarz nie wspomniał o dresach i adidasach. Postanowił oszczędzić tego szczegółu, który i tak musiał wypłynąć później.

– Jak zmarła? – wydusił Robert.

– Już powiedziałem, że ciało zabrano na sekcję.

– Kiedy coś będzie wiadomo?

– Najszybciej około południa. Wtedy zabiorę pana osobiście ze sobą.

Wolski oparł głowę na zagłówek. Zamknął oczy i nie odezwał się, powstrzymując drżenie ust. Nie mógł skupić myśli. Jego mózg bombardowały miliony pytań, które chciał zadać komisarzowi, ale wiedział, że i tak nie otrzyma na nie odpowiedzi.

– Proszę zaczekać w środku.

Deryło, nie czekając na jego reakcję, otworzył drzwi i wyszedł z radiowozu. Wolski podniósł głowę i powiódł za nim spojrzeniem. Komisarz giętkim krokiem przeszedł między policjantami, ominął kałużę i skierował się na stację. Po chwili wyszedł z niej, niosąc dwa wielkie kubki kawy. Po drodze zatrzymał się przy grupce funkcjonariuszy i z jednym z nich ruszył z powrotem do radiowozu. Dopiero po chwili Robert Wolski zdał sobie sprawę, że obok komisarza marszowym krokiem defiluje znana mu policjantka rodem z Gestapo.

– Starsza posterunkowa Nowak będzie protokołowała – powiedział Deryło, otwierając drzwi.

Jakie piękne aryjskie nazwisko – z kpiną zauważył Wolski. W pewnym momencie emocje rzeczywiście nakazują obrócić wszystko w ironię. W innym wypadku człowiek zapewne by zwariował.

Cechy zbieżne. Tak nazwał to komisarz. Nie oznacza to, że są identyczne. Od zbieżności do tożsamości jeszcze daleka droga i w ogóle nie powinien się teraz tym przejmować. Powinien zaczerpnąć tchu, uspokoić oddech i pohamować drżenie dłoni. Marta zaginęła, ale żyje. Ta kobieta to na pewno ktoś inny. Boże, mój Boże, niech to będzie ktoś inny...

– Proszę kawę.

Wolski otworzył oczy i zobaczył, że funkcjonariuszka podsunęła mu pod nos kubek.

– Nie, dziękuję. Już dzisiaj piłem.

Deryło wychylił swój napój niemalże duszkiem.

– Wiem, że to nie najlepsza chwila – odezwał się, mnąc opakowanie – ale mam do pana kilka pytań, których nie zadałem wczoraj.

Wolski ze zdziwieniem zauważył, że komisarza stać na łagodny ton głosu. Do tego wręcz kurtuazyjny i przeprasający. Obojętnie wruszył ramionami.

Opowiedział o całym wieczorze. O tym, że od szesnastej niemalże bez przerwy pisał, że kiedy pisze, nie znosi się rozpraszać, że miał wene i nie zwracał na nic uwagi. Nie byli pokłóceni. Marta może była lekko poirytowana tym, że nie ma dla niej czasu, ale rozumiała to. Zajmowała się swoimi sprawami, oglądała telewizję, czytała książkę, a później rozmawiała z kimś przez telefon. Pamiętał to całkiem dobrze, bo nic tak jak odgłos rozmów nie wybijało go z rytmu pisania.

Deryło zaznaczył w notesie, żeby sprawdzić, z kim Marta Wolska odbyła swoją być może ostatnią rozmowę.

– Rozumiem, że później wszystko potoczyło się tak, jak już pan zeznawał?

– Dziękuję za wyrozumiałość i niepytanie mnie o to po raz setny.

Komisarz zbył tę uwagę machnięciem dłoni.

– Czy pańska żona miała jakichś znajomych, u których mogłaby przenocować?

Bezmyślnie użył formy przeszłej, ale na szczęście Wolski nie zwrócił na to uwagi.

– Jej rodzice mieszkają w Lubartowie...

– Rodzinę już sprawdzamy, miałem na myśli przyjaciół albo znajomych.

– Obdzwoniłem każdego z nich. Proszę mi wierzyć, komisarzu, dzwoniłem do nich w środku nocy i wypytywałem o Martę. Kiedy nie odbierali, dzwoniłem raz za razem, aż wreszcie podnieśli słuchawkę, żeby mnie opieprzyć i powiedzieć, że jest czwarta czy piąta nad ranem.

– Mimo wszystko poproszę o ich dane.

Wolski podał kilka nazwisk i adresów, które pamiętał.

– Nikt więcej?

– To i tak za wiele. Marta nigdy by mnie nie opuściła.

Komisarz popatrzył na niego tak, jak się patrzy na dziecko opowiadające o kosmosie. Wolski mówił jednak z pełnym przekonaniem. Pomimo zdenerwowania był całkowicie pewny siebie. Kolejne pytanie musiał mu zadać ostrożnie, żeby nie wywołać oburzenia. Musiał je postawić w najbardziej delikatny sposób, a przede wszystkim pamiętać o zachowaniu czasu teraźniejszego.

– Długo jesteście małżeństwem?

– W maju będzie dziewięć lat. Spotykamy się od osiemnastu.

– I układa się wam cały czas dobrze?

– Jak to w małżeństwie. Czasem się kłócimy, ale nigdy nie doszło do większej awantury. Nigdy nie byliśmy na siebie źli dłużej niż kilka godzin. A to i tak siedząc obok siebie w salonie i zajmując się swoimi sprawami.

Wolski chciał powiedzieć coś jeszcze, ale jego gardło się zacisnęło. Wydał z siebie rozpaczliwy, żalony charkot.

Posterunkowa Nowak podała mu paczkę chusteczek. Wyciągnęła przy tym rękę, zupełnie jakby karykaturując nazistowskie pozdrowienie. Deryło tymczasem odwrócił się w stronę kierownicy i zabębnił o nią palcami. Ledwo minęła dziesiąta, a on miał wrażenie, jakby był na nogach od kilku dni. Do tego nic nie wskazywało, że będzie lepiej.

Robert Wolski wysmarkał nos i otarł oczy. Z wszystkich sił zebrał się do kupy i starał się ponownie nie rozkleić.

– Marta jest wspaniałą osobą. – Mówienie pozwalało nie myśleć. – Nigdy nikomu nie zrobiłaby krzywdy, nigdy nikomu nie podpadła, ona się nawet nie potrafi kłócić. Po kilku ostrzejszych słowach zaraz się uspokaja i choćby nie ponosiła winy, zaraz przeprasza. To taka osoba... – Wolski pociągnął nosem. – Jak już pan pewnie zauważył, nie mamy zbyt wielu znajomych, ale wszyscy to porządni ludzie. Obracamy się w zupełnie normalnym, ułożonym towarzystwie... Marta w tym doskonale się sprawdza. Lubi kontakt z ludźmi. Ja jestem aspołeczny. Ta cała otoczka utrzymywania kontaktów to zawracanie głowy. Ale ona to lubiła. Dlatego dość regularnie organizowaliśmy przyjęcia, tematyczne wieczorki, imieniny, urodziny... Nie mam pojęcia, kto mógłby chcieć ją porwać. Jakim trzeba być pieprzonym

psychopatą? Gdybym siedział jeszcze na worku pieniędzy i podcierał sobie nimi tyłek, to widziałbym motyw. Ale nie, kiedy dostaję od popieprzonego wariata popieprzony list, z którego treści nic nie wynika.

Robert Wolski poczuł na sobie spojrzenie obojga policjantów. Przestał mówić, zmiął w dłoniach chusteczkę i zacisnął pięści.

– Przepraszam za ten monolog – mruknął, opanowując drżenie głosu. – Przyrzekam, że jeśli wy go nie znajdziecie, sam dorwę skurwysyna.

Tego posterunkowa Nowak nie zaprotokołowała.

Komisarz Deryło przemierzał korytarz zakładu medycyny szybkim, nerwowym krokiem. Nakazał Robertowi Wolskiemu przyjechać niedługo później, dając sobie czas na rozmowę z patomorfologiem. Jak zwykle doktor Gawiński odwalił swoją robotę w błyskawicznym tempie. Nie było w niej jednak nigdy bezmyślnego pośpiechu mogącego spowodować błędy lub przeoczenia. Był świetnym fachowcem i porządnym człowiekiem. Komisarz naprawdę go lubił. Raz za fachowość, dwa za bezkonfliktowość, trzy za cięty język.

Korytarz był pomalowany obskurną zieloną farbą, której barwa dawała niechybny znak, że prosektorium jest niedaleko. Nawet w drżącym świetle jarzeniówek z daleka widać było jej pęknięcia i zacieki. Wokół czuć było środkami czyszczącymi i stęchlizną. Gabinet Gawińskiego, oznakowany małym szyldem, znajdował się na samym końcu. Komisarz zapukał w drzwi, które niegdyś były zapewne białe, a obecnie przybrały barwę

szarozółtą. Nie czekając na pozwolenie, pociągnął za klamkę i wszedł do środka.

Lekarz siedział przy małym drewnianym biurku i pochylał się nad książką. Przytrzymał ją lewą dłonią, w prawej miał odpalonego papierosa, a przed sobą jeszcze kubek z parującym napojem i popielniczkę. Dopiero kiedy Deryło chrząknął, oderwał się od lektury i wymierzył w niego bystre spojrzenie powiększonych przez okulary oczek. Miał sześćdziesiąt kilka lat, chudą, szurzącą twarz i był idealnie łysy. – Jak zawsze na czas!

Za każdym razem witał w ten sposób komisarza, choć nigdy nie umawiali się na konkretną godzinę. Wymienili uścisk dłoni nad biurkiem.

– Proszę, siadaj.

Deryło przyciągnął spod ściany krzesło i ciężko na nim spoczął. Rozpiął kurtkę i zatarł skostniałe z zimna dłonie.

– Ciasteczko? – Lekarz postawił na blacie napoczęte opakowanie Delicji.

– Dziękuję. Nie mam ochoty na słodkie.

– I słusznie. Więcej zostanie dla mnie. Kawy, herbaty? Tego mam pod dostatkiem.

– Nie, nie. – Komisarz niecierpliwie poruszył się na krześle. – Nie traćmy czasu, nie mam ochoty na głędzenie.

Patomorfolog przybrał pozę skoncentrowanego chomika, dopalił papierosa i pedantycznie zgasił go o rant popielniczki. Smród dymu przez chwilę się nasilił.

– Będę mówił tylko o tym, co sam ustaliłem. Bez prognozowania wyników próbek i bez innych bajek.

– Tylko tego oczekuję. I daruj sobie nomenklaturę z wykładów akademickich.

– Szła dziewczeczka do laseczka – zanucił lekarz.

Deryło popatrzył na niego z poirytowaniem, ale się nie odezwał. Gawiński poprawił okulary i oparł się łokciami o blat biurka.

– Wiek trzydzieści lat, plus minus dwa. Czas zgonu będę znał najwcześniej po południu. Brak patologicznych śladów na organach wewnętrznych. Przynajmniej takich, o których warto by wspominać. Ogólnie zdrowizna. Nacięcia na piersiach, które zapewne widziałeś, to tak naprawdę ślady rozdartej skóry. Musiała mieć je przebite czymś ostrym, a następnie w wyniku nadmiernego napięcia powłok rozerwały się.

– Zaraz, zaraz. – Komisarz przymknął oczy, przypominając sobie wygląd zwłok. – Sugerujesz, że była zawieszona na jakichś linkach przebitych przez jej cycy, a potem się z nich zerwała?

– Niczego nie sugeruję. Ustalanie, czy występowała w filmie porno, to twoja rola.

– Ale mniej więcej tak to mogło wyglądać?

– Nie fascynują mnie takie perwersje, ale być może. Jeżeli w ogóle mam coś sugerować, to to, że użyto takich samych metalowych linek jak ta, którą miała związane ręce.

– A ten skalp?

– Mówisz o powłoce skórnej wyciętej z chirurgiczną precyzją znad mostka? Oskalpować można jedynie czyjaś głowę.

– Czy kiedy to się stało – komisarz otworzył oczy i zbywając uwagę lekarza, popatrzył gdzieś ponad nim – była jeszcze żywa?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Choć niektóre wnioski może zaburzać fakt, że po śmierci jej ciało czymś starannie zdezynfekowano. Nie wiem czym, ale to musiał być jakiś związek...

Deryło zrobił krzywą minę. Nie podobało mu się to, co słyszał.

– Czyli moi ludzie od mikrośladów są w dupie? – zapytał krótko.

– Nie wiem, gdzie są, ale mogą mieć mało roboty.

– Ubranie nie było mokre, nie czułem od niego żadnego zapachu chemicznego.

– To jest właśnie ciekawe, że spodnie, skarpetki i buty musiały zostać zdjęte, a później nałożone ponownie. Być może jakieś ślady znajdziecie właśnie na nich. Trzymam wszystko na dole, żeby przekazać twoim ludziom. Zanim zapytasz, z góry mówię, że nie wiem, jakie cholerstwo ta kobieta miała na dłoniach, ale to coś robiło za klej. Oprócz tego, że związanej nadgarstki drutem i połamano palce, żeby mogła mieć splecione dłonie, to jeszcze je zaklejono. Komuś cholernie zależało, żeby była właśnie w tej modlitewnej pozycji.

Komisarz miał chwilowo dość kolejnych informacji. Gestem uciął rozmowę i wstał z krzesła. Podeszedł do okna i spojrzął na zewnątrz. Gabinet znajdował się na tak zwanym poziomie zerowym, więc zobaczył jedynie ujścia szpitalnych wentylatorów i nogi przechodzącej chodnikiem kobiety. W lecie widok byłby nieco przyjemniejszy.

– Zaczynam się wypalać – stwierdził beznamiętnie. – Zaczynam mieć serdecznie dość tej roboty. A w chwili, kiedy myślę na poważnie o emeryturze, takie coś.

– Mogłeś już dawno odejść.

– Nie chciałem. Wiesz, że ciągle miałem nadzieję na lepszą kasę. Poza tym jeszcze niedawno najgorszym, co się działo, był trup w alkoholowej melinie, na którym zasypiał z nożem w ręku jego kumpel od kieliszka. A teraz w ciągu ostatnich tygodni mam tu Sajgon.

Patolog wstał i podeszedł do komisarza. Stał obok niego i również popatrzył na zwieńczenie wentylatora. Właściwie nigdy mu się nie przyglądał.

– Wiesz, dlaczego na drzwiach gabinetu mam taką małą plakietkę? – spytał, zdrapując z szyby zacieki farby.

– Nie mam pojęcia. Ale oświeć mnie.

– Żeby jak najmniej osób zawracało mi głowę. Z każdych dziesięciu niech choćby jedna ją przeoczy i dzięki temu mam więcej spokoju.

– Jakby waliły do ciebie tłumy. Nie wiem, czy pamiętasz, ale twoi pacjenci są w znacznej większości martwi.

– Dlatego jem Delicje, a nie pijam Chateau Arnauld z Haut-Medoc. I z moich kieszeni nie wypadają koperty.

– A ja co, mam przestać odbierać telefony? Przestać chodzić do roboty? A może odpruć pagony i zgrywać na starość szeregowego krawężnika? – Deryło odwrócił się od okna i wrócił na krzesło. – Dobra, ostatnie pytanie i zabieram zabawki.

Zawsze zostawiał je sobie na koniec. Gawiński przez lata poznał jego obsesję i umyślnie nie dawał wcześniej żadnych wskazówek. Omijał temat i odgrywał szopkę.

– Przyczyna zgonu?

Dwa słowa były tym rytualnym pytaniem.

Patolog zmarszczył łysinę, wzmagając jedynie panujące napięcie. Sztywnym krokiem podszedł do biurka i nie siadając, oparł się o blat. Przez chwilę zastygł w tej pozycji, wreszcie się wyprostował i założył ręce za plecy.

Komisarz parsknął zirytowany.

– Przestań odgrywać Hamleta i mów wreszcie.

– Rzeczywiście zrobiłeś się nerwowy.

– Jestem lekko poirytowany. Nerwowy będę, jeżeli zaraz nie odpowiesz na moje pytanie.

Lekarz zatrzymał się pośrodku gabinetu.

– Zawał mięśnia sercowego – obwieścił krótko.

– Zawał mięśnia sercowego? – ze zdziwieniem powtórzył za nim komisarz.

– Zawał mięśnia sercowego.

– Mówiłeś, że nie miała żadnych zmian wewnętrznych.

– Tę jedną ciekawostkę postanowiłem zachować na koniec. Tym bardziej że poza tym szczególnie naprawdę była okazem zdrowia.

– Zawał kojarzy mi się z miażdżycą, objadaniem się tłustym żarciem i brakiem kwasów omega trzy.

Patolog pokręcił z dezaprobatą głową.

– Zawał to martwica spowodowana stanem niedokrwienia – wyjaśnił fachowym tonem. – Dochodzi do niego poprzez zwężenie bądź całkowite zamknięcie naczyń wieńcowych doprowadzających krew do mięśnia sercowego. Najczęstszą przyczyną są zmiany miażdżycowe, ale groźny skurcz naczyń wieńcowych może nastąpić również z innych przyczyn.

– Jakie to mogą być przyczyny?

Lekarz przygryzł wargę, zastanawiając się, czy powinien mówić o czymś, co nie jest diagnozą medyczną. Właściwie czemu nie? Ze względów czysto naukowych, nawet nie teoretycznych, ale praktycznych, było to możliwe.

– Na przykład gwałtowny, niepohamowany stres. Bezgraniczny strach...

* * *

Gawiński poprowadził komisarza piętro niżej, do chłodni. Kiedy byli na klatce schodowej, sierżant Banach poinformował go telefonicznie, że właśnie przyjechał Robert Wolski.

– Każcie mu zaczekać przed chłodnią – rozkazał oschle Deryło. – Jak będę gotowy, to go wezwę.

– Zrozumiane.

Komisarz był przekonany, że Banach strzelił właśnie obcasami. Podążył za patologiem i cierpliwie czekał, aż ten wygrzebie z kieszeni fartucha klucze. Nigdy nie lubił tego miejsca. Mimo że w rzeczywistości pachniało w nim środkami czyszczącymi, czuł mdłości. Zupełnie jakby podświadomie wyczuwał zapach śmierci.

Zamek zgrzytnął i patolog pchnął metalowe drzwi.

Kiedy weszli do środka, światło po kilku mrugnięciach zapaliło się automatycznie. Jarzeniówki wydawały z siebie nieprzyjemne bzyczenie.

Pomieszczenie miało kilkanaście metrów kwadratowych. Na jego dłuższej ścianie umieszczono otwory do szuflad chłodniczych, a przy krótszej stał wysoki metalowy regał. Patolog podszedł do niego, przez chwilę lustrował szereg tabliczek, wreszcie wysunął jedną z głębokich szuflad. Wyjął z niej duże tekturowe pudełko.

– To jej rzeczy.

Postawił karton na krześle przy regale. Wyciągnął z niego zawinięte w przezroczystą folię

adidasy, sportowe skarpetki, dresy Nike i czarne majtki. Komisarz ostrożnie wziął każdy z pakunków i uważnie im się przyjrzał. Ubrania nie były na pierwszy rzut oka zakrwawione, ale będą musieli je dokładnie zbadać specjaliści. Miał nadzieję, że znajdą jakiegokolwiek ślady tego świra.

– To wszystko? – zapytał, zerkając w stronę pudełka.

– Niezupełnie. – Lekarz pochylił się, wyciągając z niego jeszcze jedno foliowe zawiniątko. – Jak zawsze najlepsze zostawiłem na koniec.

– Co takiego?

– Miała to wciśnięte w dłoń. Między innymi dlatego połamał jej palce.

Komisarz popatrzył na pokazany przedmiot i dopiero po chwili zrozumiał, co to jest.

– Cholera jasna!

Robert Wolski czekał na korytarzu. Widząc go, Deryło pomyślał, że jest idealnym przykładem obrazującym, co znaczy być kłębkiem nerwów. Wolski mimo pobliskiej ławki dreptał w miejscu, obgryzał paznokcie i płakał. Wszystko jednocześnie. Kiedy zobaczył komisarza, natychmiast otarł policzki, ale nie zmieniło to wyrazu jego twarzy. Był blady, wręcz trupioblady, miał czerwone oczy i smarki roztrarte pod nosem. Komisarz nie spodziewał się, że akurat ten mężczyzna całkowicie się rozklei. Nie zmieniało to faktu, że go rozumiał.

– Jest pan gotowy? – zapytał służbowo.

Wolski jedynie skinął głową.

– Możemy chwilę zaczekać.

– Nie trzeba.

– Jak pan woli... – Komisarz otworzył drzwi chłodni i wpuścił Wolskiego przodem. – Najpierw pokażę panu kilka rzeczy.

Znowu skinięcie głową.

– To doktor Gawiński – przedstawił patologa.

Lekarz wyciągnął dłoń do Wolskiego, a ten jedynie ją smagnął.

– Proszę tutaj.

Deryło sięgnął do tekturowego pudełka i wyciągnął folię z butami. Przez chwilę obracał nimi przed Wolskim. Następnie pokazał mu zabezpieczone dresy. Skarpetki i majtki sobie darował.

– Czy pańska żona miała podobne?

Wolski ledwie stał. Jego oczy niemalże wypłynęły, a zaciśnięte usta wyglądały, jakby posmarowano je białą pomadką. Zrobił krok do tyłu i mocno pociągnął nosem.

– Tak – odpowiedział krótko, nim głos zdążył się załamać.

Komisarz smutno pokiwał głową. Z jednej strony współczuł Wolskiemu, ale z drugiej był zadowolony, że udało się zidentyfikować ofiarę. Niewiele to wносиło do śledztwa, ale wprowadzało pewien porządek. Można było połączyć konkretną osobę, konkretny list i konkretny czas zaginięcia.

– Zanim obejrzy pan ciało... – Wyciągnął z pudełka woreczek, który patolog pokazał mu jako ostatni. – Czy widział pan już gdzieś tę rzecz?

Wolski obtarł wierzchem dłoni nos i chwycił róg folii. Przez kilka sekund oglądał znajdujący się w nim przedmiot, złożony z kilkudziesięciu drewnianych kulek i krzyżyka.

– To różaniec? – zapytał bezwiednie.

– Tak sędzę. – Deryło skinął głową. – Doktor Gawiński znalazł go... powiedzmy, że obok ciała.

– Nigdy go nie widziałem. – Wolski oddał woreczek komisarzowi. – Marta nie była specjalnie wierzącą osobą.

– I nie trzymała tego jako pamiątki po babci, prezentu od kolędników czy czegoś takiego?

– Pierwsze widzę.

Deryło odłożył folię do pudełka i wymienił spojrzenie z patologiem. Ten, oparty o ścianę obok regału, niemo przysłuchiwał się rozmowie.

– Chce pan zobaczyć ciało?

Komisarz traktował to już jako formalność. Do tego najbardziej przykra. Wolski pokiwał głową i wyrażając gotowość, odwrócił się w stronę szuflad chłodniczych.

Patolog bez słowa podszedł do jednej z nich, przekręcił zasuwę i otworzył metalowe drzwiczki. Chwycił za lśniący, stalowy blat stołu. Najpierw pokazały się gołe stopy z przyczepioną, jeszcze niewypełnioną do końca karteczką. Następnie dostrzegli sine łydki, ponad którymi rozłożone zostało białe prześcieradło. Wolski cały drżał i łapał powietrze tak głośno, jakby się miał zaraz udusić. Ze zgrzytem zębów zacisnął szczękę.

Szuflada powoli się wysuwała, skrzypiąc nienasmarowanymi łożyskami. Talia, widoczne wypukłości piersi, szyja osłonięta tak, by nie było widać rany

nad mostkiem, a wreszcie blada, ale spokojna twarz. Zamknięte powieki, sine wargi, cienki, zapadnięty nos i zebrane do tyłu blond włosy.

Wolski głośno wypuścił powietrze, podpierając się dłonią o brzeg stołu. Każdy oddech palił go, a serce obijało się o żebra.

– To nie jest Marta – wyszeptał.

Komisarz Deryło kręcił się w skórzanym fotelu prezesa. Na biurku przed sobą miał uruchomionego laptopa, telefon, kolejną kawę i stos dokumentów. Bloczek z kartkami do origami leżał schowany w szufladzie. Tym razem miał jednak większą ochotę go rozszarpać, niż składać figurki.

W gabinecie było jeszcze troje policjantów, którym jak zwykle nie zaproponował, aby usiedli. Formalnie była to odprawa, w rzeczywistości komisarz od kilku minut jedynie kurwiał pod nosem. Wreszcie wyartykułował swoje emocje pierwszym pełnym zdaniem.

– Co za dewiant przebrał ją w ubranie innej kobiety? – Oczywiście odpowiedziała mu cisza. – Do tego z jednej strony wykrawa jej skórę w satanistyczny wzór, a z drugiej wciska w dłonie różaniec.

Dalej cisza.

Pytania, na razie retoryczne, musiał zostawić dla siebie. Pytania techniczne powinny mieć już odpowiedzi.

– Co mamy nowego? – zadał najszersze z możliwych.

Sierżant Banach poruszył się nerwowo, sugerując, że może udzielić na nie odpowiedzi.

– Tak? – Komisarz wycelował w niego ołówkiem. – Mów śmiało.

– Dzwonili z zakładu. Według nich tą kobietę zamordowano wczoraj wieczorem. Najwcześniej wczoraj po południu.

Deryło nie cierpiał, kiedy ktoś zamiast „tę” mówił „tą”. Do tego nie cierpiał, kiedy o czymś, o czym powinien zostać poinformowany niezwłocznie, dowiadywał się dopiero wtedy, gdy o to zapytał.

– I tyle czasu zajęło ci zebranie dupy i przekazanie tego? Stoisz tu od kwadransa i przewracasz oczami, zamiast się odezwać?

Starsza posterunkowa Nowak odsunęła się od Banacha niczym od trędowatego. Policjant stojący po jego drugiej stronie zrobił to samo.

– Nie chciałem przerywać panu komisarzowi.

– Przerywać czego? Co ja takiego robiłem, żebyś mi przerywał? Gdybyś chwilę pomyślał, doszedłbyś do wniosku, że to nawet dobrze przerwać komuś, kto właśnie cię opierdala. Ale nie pomyślałeś!

Deryło zatrzymał fotel i przysunął się do biurka. Popatrzył ze złością po całej trójce.

– Co nam daje ta tak wyczekiwana informacja? – zapytał, odkładając z trzaskiem ołówek.

– Wiemy, że sprawca miał wczoraj bardzo pracowity dzień – skwitowała Nowak. – Nie tylko zamordował tę kobietę, ale także stworzył i doręczył list do Wolskiego. A później jeszcze zawiózł i rozłożył tam ciało.

Plus za „tę”, minus za pustosłowie.

– Mordowanie i przygotowywanie zwłok także nie trwało chwilę.

– A ile trwa chwila?

Po tej złośliwej uwadze posterunkowa zamilkła, a komisarz przeniósł spojrzenie na trzeciego policjanta. Był to Andrzej Brzeski, wysoki, przesadnie szczupły mężczyzna z pociągłą, sympatyczną twarzą typowego blondyna. Przed rokiem został mianowany na stopień aspiranta, a niedługo później trafił do zespołu Deryły. Swoją sumienną pracą zasłużył na opinię rzetelnego i dociekliwego.

– Dzwoniłem męczyć laboratorium – zaraportował dźwięcznym głosem. – Skład substancji, którą sklejoną dłonie, oraz wyniki analizy różańca i ubrań będą jutro rano.

– Pieprzone lenie.

– Naturalnie prosiłem o pośpiech, ale złali mnie. Zagroziłem, że prześlę im do analizy każdą bryłę ziemi, jaką znajdziemy w promieniu kilometra, ale nie zrobiło to na nich wrażenia.

Deryło wziął filiżankę kawy, sprawdzając czubkiem języka, czy wystygła.

– Byliby zadowoleni, że mają tyle roboty. Nie przyjęliby nic przez najbliższe dwa lata.

– Jeszcze jedno, panie komisarzu.

– Słucham?

– Deszcz splukał większość śladów, ale badania traseologiczne wyodrębniły te najświeższe.

– I co?

– To informacja niepewna i wstępna. – Brzeski najwyraźniej flirtował z którąś z pańienek z kryminalistycznego. – Otrzymałem ją zupełnie nieoficjalnie.

– Ale wydusisz ją z siebie?

– Ślady najprawdopodobniej pochodzą od dwóch osób. I jak wiemy, żadne nie należały do ofiary.

– Ty też chciałeś to trzymać w tajemnicy do jutra?

Aspirant zmieszał się, ale nie pozwolił komisarzowi przejść do ofensywy.

– Nie chciałem wyrywać się z czymś, co może być nieprawdą.

– Ale i tak to powiedziałeś.

– Podkreślając, że to nieoficjalne.

Nabierając tempa wymianę zdań przerwał dzwonek telefonu. Komisarz odebrał i przez chwilę z zainteresowaniem słuchał rozmówcy. Wyraz jego twarzy z każdą sekundą wyrażał większe zdziwienie. Oczy rozszerzyły się, a wargi zacisnęły. Kiedy w końcu się rozłączył i odłożył słuchawkę, głośno westchnął. Wszyscy w pomieszczeniu nerwowo oczekiwali, aż się odezwie.

– No to mamy sprawę religijnego zwyrodnialca.

Krótkie oświadczenie wzbudziło jeszcze większe zainteresowanie.

– Różaniec i pentagram mogły na to wskazywać – mruknął sierżant Banach.

– Dłonie złożone w geście modlitwy też – dorzuciła posterunkowa Nowak.

Komisarz dopił jednym łykiem kawę. Była to już szósta albo siódma tego dnia, lecz ciągle czuł kofeinowy niedosyt.

– To teraz dochodzi nam jeszcze analiza listu do Wolskiego – mruknął, odstawiając filiżankę. – Ustalono, że litery zostały wycięte nie z jednego, ale z kilku czasopism. Oczywiście przy założeniu, że nie użyto prasy niszowej, na podstawie barwy papieru, jego gramatury, włóknistości, użytej czcionki i miliona innych czynników, które właśnie mi wymieniono, a których już nie pamiętam, ustalono, że pochodzą z... – zawiesił na chwilę głos – „Gościa Niedzielnego”, „Źródła” i „Naszego Dziennika”.

Sierżant Banach przestąpił z nogi na nogę.

– To jakaś perwersja. Gdybym się tego naczytał, też bym pewnie mordował.

Posterunkowa Nowak obrzuciła go surowym spojrzeniem.

– W tym kraju katolickie gazety czyta pewnie kilka milionów osób.

– My musimy wytypować jedną. – Deryło upewnił się, że na dnie filiżanki nie został choćby łyk kawy. – Albo dwie, jeżeli potwierdzą się informacje aspiranta Brzeskiego.

– Szukanie igły w stogu siana.

– Też znam kilka związków frazeologicznych. Nie posuwa nas to jednak do przodu. Bardziej interesują mnie słowa... – Komisarz zerknął na kartkę papieru leżącą na biurku, po czym odczytał: – *Proszę mi wybaczyć. Tak bardzo jak Pan chcę, żeby przy mnie została.*

– Napisane w liczbie pojedynczej – zauważył Banach.

– To na razie zostawmy. Jakies pomysły co do samego sensu?

– Może to maniak seksualny?

– I satanista w jednym?

– Dwa wcześniejsze listy kończył prośbą o wybaczenie. Teraz zaczął się jeszcze tłumaczyć.

Komisarz kiwnął głową.

– Niech przebadają je jeszcze raz, również pod kątem użytego papieru. Ostatnim razem zaprzestali na samym sprawdzeniu odcisków palców i śladów biologicznych.

– Zaraz zadzwonię do laboratorium.

– Posterunkowa ustali, gdzie w Lublinie i okolicach można kupić te gazety. Nie w każdym kiosku na wystawie jest „Gość Niedzielnny”. A o tym „Źródle” chyba nawet nie słyszałem. Istotne też, czy są to tygodniki, dzienniki, czy co.

Policjantka zapisała to w notatniku. Komisarz podrapał się w zadumie po brodzie.

– A pan, aspirancie Brzeski – powiedział po chwili – dowie się wszystkiego o lubelskich

satanistach. Czy są, czy byli, ilu ich jest, wszystko. Nawet jeżeli ktoś raz w życiu przypalił kota albo podarł Biblię, chcę mieć o nim raport na biurku. Zrozumiano?

Cała trójka przytaknęła.

– W takim razie jeszcze raz zapytam. Czemu mogła służyć ta afera ze zmienianiem ubrania?

– Jakieś zboczenie? – zaryzykował Banach.

– Sprawdźcie, czy można coś z tym powiązać.

– Może to rytuał – wtrącił Brzeski. – Tak jak czarownice, które przed złożeniem na stosie przebierano w pokutne stroje.

– Ale nie w strój drugiej więdźmy.

– Nie odgadniemy, jak to interpretuje chory mózg. Równie dobrze mógł je traktować jak lalki, które przebiera...

Deryło mlasnął.

– Profiler ma już dość materiału, żeby się wypowiedzieć. Zagońcie go do roboty.

– A może... – zaczęła nieśmiało Nowak – a może jemu chodziło właśnie o to, żeby wzbudzić strach? Żeby Wolski myślał, że zginęła właśnie jego żona? A potem ten psychol dał mu ulgę.

Robert Wolski wrócił do domu wczesnym popołudniem. Zaparkował samochód przed wjazdem do garażu i z ulgą zauważył, że w domu nie ma jego siostry. Wcześniej nie zgodził się, by towarzyszyła mu przy identyfikacji zwłok, a kiedy okazało się, że zamordowaną nie jest Marta, odesłał ją z kwitkiem do domu. Nie chciał, żeby widziała go w tym stanie. Potrzebował samotności. Dzięki niej mógł się w całości poddać biegowi wydarzeń. Oddać cierpieniu, samoudręczeniu, a do tego kontemplacji jedynej, co mu pozostało – nadziei.

Postanowił biernie czekać i zobaczyć, co się stanie. W ciągu kilku ostatnich godzin przeżył zaraz po sobie szok, żalobę i odprężenie. To ostatnie może zupełnie nieracjonalne, może głupie i naiwne, ale przyszło mimochodem. Spłynęło na niego jak łaska niebios i pozwoliło zebrać się w miarę do kupy. Może jest jakaś nadzieja? Kolejna myśl była taka, że łudzenie się happy endami zaboli go jeszcze bardziej, ale jakie to miało znaczenie?

Zdjął płaszcz, zsunął buty i poszedł do kuchni. Do drzwi lodówki przypięta była kolorowa kartka od Klary. Zapewniała na niej, że jest pod telefonem, czeka w każdej chwili, a jej dom jest dla niego zawsze otwarty. Siostrzane frazesy. Na pewno marzyła o tym, żeby zwałił się do niej na święta i rozpaczął, mówiąc tylko o żonie, której ta nie znosiła. Może dociągnęliby tak do Wigilii, a potem wszyscy by się pozabijali. Najlepiej przy otwieraniu prezentów. Chociaż jak miałyby wysiedzieć przy wspólnym stole? Jak miałyby udawać, że nie myśli?

Chciał być sam.

Zmiał kartkę i wyrzucił ją do śmietnika. Otworzył szafkę, ale nie było w niej whisky. Musiał zostawić butelkę gdzieś indziej poprzedniego wieczoru. Przezornie zerknął jeszcze do lodówki, ale tam także jej nie było. Zirytowany popatrzył na parapiecie, pod stołem i ciężko sapiąc, wrócił do salonu. Obok fotela, w którym zasnął, również nie było butelki. Zajrzał nawet pod złożony przez Klarę koc, za poduszkę na wersalce i za telewizor. Dopiero wtedy coś błysnęło mu obok stolika. No tak, nie popatrzył pod szklany, matowy blat.

Niemalże podbiegł, chwycił flaszkę i jednym ruchem ją odkręcił. Nie zamierzał szukać szklanki. Wlał w siebie co najmniej pięćdziesiątkę, wypuścił powietrze

i znowu pociągnął prosto z gwinta. Odstawił whisky na stolik i z plaśnięciem opadł na fotel. Robiło się już ciemno, ale nie chciał zapalać światła.

Siedział od kilku minut całkowicie bez ruchu, gdy usłyszał dzwonek telefonu. Wyszarpnął go z kieszeni spodni i zerknął na wyświetlacz.

Klara.

Zapewne po raz setny chciała go pocieszyć, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, i na koniec zaprosić do siebie. Gdyby odmówił, być może zaoferowałyby, że przyjedzie do niego. Wtedy musiałby odmówić po raz kolejny, a ona namawiałaby go nadal. Byłaby gorsza od bandy jehowych, zawracających dupę zasadami swojej wiary. Ostatecznie stwierdziłaby, że zrobiła już, co miała zrobić, i że zaraz będzie, całusy, pa, pa.

Potrzymał chwilę telefon w dłoni, przyglądając się zdjęciu siostry. Zrobił je dwa lata temu, kiedy spędzali razem wakacje nad morzem. On, Marta, ona i jej mąż. Klara miała wtedy nieco dłuższe włosy, była oczywiście szeroko roześmiana i coś mówiła. Lubił to zdjęcie. To wtedy, po latach problemów, zaczęli prostować swoje relacje.

Nacisnął przycisk rozłączenia.

Sięgnął po raz kolejny po butelkę, pociągnął łyk i otarł usta wierzchem dłoni. Z trudem podniósł się z fotela i na lekko zmięczonych nogach skierował się w stronę schodów. Podciągając się za poręcz, wszedł na górę i poczłapał do gabinetu. Podszedł do biurka, ale mimo że jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, nie mógł przez chwilę znaleźć szuflady. Przebiegł palcami po drewnianym rancie, wyczuł opuszkami szczelinę i dopiero wtedy trafił na metalowy kluczyk. Pociągnął za niego, wyciągając szufladę. Przez chwilę przebierał w niej po omacku, wreszcie znalazł to, czego szukał.

W gwałtownym, gniewnym tiku lewą dłonią strącił stertę leżących na blacie kartek. Starannie ułożona kupka rozpadła się i z szelestem sfrunęła na podłogę wokół biurka. To, co napisał, nie miało już żadnego znaczenia. Historie, które wymyślał, wiedząc, że Marta jest tuż obok, nie były warte opowiedzenia.

W prawej ręce ścisnął wielki sportowy nóż. Czuł szorstkość jego idealnie wyważonej rękojeści i cieszył się znacznym ciężarem. Dotknął ostrzem policzka. Poczł, że rozcina mu skórę, a wtedy przycisnął jeszcze mocniej. Na tyle mocno, że ostrze drasnęło kość.

Nie bolało. A chciał czuć ból.

Zszedł na dół i wewnętrznymi drzwiami dostał się do garażu. Tym razem musiał zapalić światło, bo ze względu na brak okien w środku panowała całkowita ciemność. Blask wiszącej tuż nad nim setki na chwilę go oślepił. Miał ochotę z całej siły rąbnąć pięścią w żarówkę, ale się opanował.

Przeszedł przy ścianie i nachylił się nad wielkim tekturowym pudłem. O wiele większym od tego, w którym trzymali rzeczy tej nieszczęsnej ofiary. O wiele większym, o wiele brudniejszym, a do tego śmierdzącym smarem i farbą. Jednym ruchem wyszarpnął je,

wyrzucając na cementową podłogę śrubokręty, klucze i puszki. Tę, która potoczyła mu się pod nogę, kopnął z całej siły wprost w bramę wjazdową. Sięgnął po leżącą za pudłem grubą deskę. Z zadowoleniem ustawił ją pionowo pod ścianą i zataczając się, odszedł na drugi koniec garażu.

Wyprostował się, lekko wygiął do tyłu i rzucił.

Nóż zanurzył się w drewnie jak w maśle.

Komisarz Deryło usiadł na kanapie i włączył telewizor. Jego żona właśnie wyjęła z mikrofalówki talerz spaghetti i obficie posypała je serem w proszku. W żadnym z okolicznych sklepów nie mogli znaleźć parmezanu, o grana padano nawet nie wspominając.

– Otworzyć wino? – zapytał.

– Jeśli masz ochotę.

Nacisnął guzik na pilocie telewizyjnym. Wstał i wyciągnął z barku czerwone Chianti Riserva, obracając przez chwilę butelkę w dłoniach. Wreszcie odkorkował ją i nalał wina do kryształowych kieliszków. Postawił je na stole i poczekał, aż Ewa przyniesie oba talerze. Kurtuazyjnie odsunął jej krzesło i zerkając w stronę telewizora, podsunął, kiedy usiadła.

– Dostałeś awans, że robisz tu kolację w Wersalu?

– Raczej ostatni posiłek na Titanicu.

– Ciągle zmierzasz w stronę góry lodowej?

– Gorzej. W stronę Trójkąta Bermudzkiego. Chciałbym wyparować razem z tymi wszystkimi problemami. Marzę o odpoczynku. Ale na zdrowie!

Stuknęli się kieliszkami.

Przez chwilę jedli w milczeniu, nawijając co chwilę makaron na widelce. Odkąd Deryło dowiedział się, że Włosi nie używają do tego łyżki, również odrzucili ten pogański obyczaj.

– To jedna z zaginionych? – zapytała Ewa, zgarniając ostatni kawałek mięsa.

– Nie. – Komisarz upił wina. – Nie została oficjalnie zgłoszona, a do tego pomyliłem ją z kimś zupełnie innym. Zafundowałem człowiekowi identyfikację nieznanego zwłok.

Kobieta popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Były cholernie podobne – wyjaśnił. – Do tego miała na sobie ubranie tej drugiej.

Zdawał sobie sprawę, że mówi całkowicie nieskładnie.

– Przynajmniej masz pewność, że to ta sama sprawa.

– Jesteś przerażająco praktyczna.

– Jestem twoją żoną od prawie trzydziestu lat. A to, że masz do czynienia z psycholem, było wiadomo od samego początku.

Deryło wstał, zebrał talerze i włożył je do zlewu. Kiedy wrócił, uzupełnił wino w kieliszkach. Przez chwilę zastanawiał się, czy powiedzieć żonie o kawałku wyciętej skóry i różańcu wplecionym w dłoń. Ostatecznie zdecydował się zmienić temat.

– Dzwoniła może Wiki?

Wiktorija była ich jedynym dzieckiem. W wieku dwudziestu jeden lat, wbrew sugestiom ojca, postanowiła studiować architekturę w Mediolanie. Kiedy podjęła decyzję, nie przyjmowała żadnych argumentów przeciwnych i od blisko pół roku mieszkała we Włoszech.

– Wykupiła lot na pojutrze.

– Do Lublina?

– Nie było już miejsc. Ląduje na Okęciu.

– Mówiłem jej, żeby zajęła się tym wcześniej. – Deryło ponownie dołał wina. – O której przylatuje?

– Po południu, chyba około piętnastej. Nie martw się wszystkim, to naprawdę dojrzała dziewczyna.

– Chciałem ją odebrać z lotniska.

– Warszawa nie jest oddzielona od nas Rowem Mariańskim. Z całą pewnością nie będzie też musiała przedzierać się przez obsadzone przez Wehrmacht Bory Tucholskie.

– Wiesz, że zawsze jak mam te popieprzone sprawy, to jestem podwójnie zmartwiony.

Zamilkli. Ewa obracała kieliszek w dłoni, patrząc, jak wino obmywa szkło.

– Dzwoniła też twoja matka – odezwała się po chwili.

Deryło zerknął na nią uważnie.

– Czego chciała?

– Nie wiem. Zapytała, czy jesteś w domu, a kiedy powiedziałam, że nie, rozłączyła się. Standardowo.

– Przecież ma moją komórkę.

Ewa jedynie wzruszyła ramionami. Dopiła wino i odsunęła od siebie kieliszek. Deryło nachylił się nad stołem i sięgnął po butelkę.

– Napijesz się jeszcze?

– Nie, dziękuję.

Komisarz wstał od stołu, schował resztkę wina do barku i poszedł do swojego gabinetu. Był piekielnie zmęczony. A mimo wszystko wiedział, że szybko nie zaśnie. Usiadł w głębokim fotelu i sięgnął po ramię stojącego na biurku gramofonu. To była jedna z jego fiksacji. Nie znosił słuchać muzyki z nowoczesnych wież, laptopów czy komputerów. Dźwięk przedwojennego sprzętu nie był doskonały, ale pozwalał przenieść się w inny świat. Odpocząć. Włączył wybór koncertów Corellego i sięgnął po czarną kartkę.

Jak zawsze, kiedy pojawiała się skomplikowana sprawa, potrzebował azylu. Od lat maskował sam przed sobą strzępiące się nerwy, ale było to coraz trudniejsze. Teraz musiał po prostu się odprężyć. Nie chciał wybuchnąć z byle powodu na kobietę, którą kochał. Nie chciał potraktować jej tak jak Bogu ducha winnego Roberta Wolskiego.

Zmiał żurawia i wyrzucił go do kosza, prawie po brzeg wypełnionego kolorowymi kulkami.

Deryło zastanowił się, czego mogła chcieć jego matka. Złożyć życzenia świąteczne? Na to było za wcześnie. Od lat niemalże nie utrzymywał z rodzicami kontaktu. Dzwonili do siebie kilka razy w roku, żeby wymienić uwagi o pogodzie i zdrowiu. Zawsze wszyscy byli zdrowi i nie mieli żadnych problemów. Jedyny temat, który wybiegał poza te ramy, dotyczył Wiktorii. Była ich jedyną wnuczką. Dopóki się nie wyprowadziła, Deryło oddawał jej telefon, aby zamieniła parę słów z dziadkami. Mimo wszystko chciał, żeby utrzymywali jakiegokolwiek relacje. Nie dziwił się jednak, że jego córka rozmawiała z nimi, zachowując oschły dystans. Po raz ostatni widziała ich cztery czy pięć lat temu.

Nieważne. Oddzwoni do matki w Wigilię. Z tym postanowieniem, naśladowując ruchy dyrygenta, wsłuchał się w partię skrzypcową. Co za ironia, że Corelli do końca życia był bardziej znany właśnie jako skrzypek niż kompozytor. Prawdopodobnie z tego powodu popadł w głęboką depresję, która wpędziła go do grobu. Melancholię, tak wtedy mówiono. Niezrealizowane marzenia i niedocenienie zniszczyły wspaniałą osobowość.

Deryło wysłuchał do końca koncertu i zatrzymał płytę. Zastanowił się, czy nie włączyć kolejnej, ale jedyną, na którą miał ochotę, było *Requiem*. Wolał powstrzymać się od depresji. Pardon, melancholii. Nie zawsze dopasowywanie muzyki do nastroju było dobrym pomysłem. Wystarczająco wielu melancholików zakończyło ziemską przygodę przy tonach *Gloomy Sunday* Rezső Seressa. Wolał nie ryzykować.

Poszedł do salonu, gdzie Ewa oglądała telewizję, i pocałował żonę w czoło. Delikatnie i bez słowa. Ściskając się za dłonie, wymienili serdeczne uśmiechy.

– Nie posiedzisz ze mną? – zapytała, robiąc mu miejsce na sofie.

– Marzę o ciepłej pościeli.

– Oglądam debatę sejmową. – Poklepała dłonią w materiał. – Na tym nie zaśniesz.

– Tym bardziej podziękuję.

– Dzisiaj uchwalili budżet. Słyszałeś, jaka była awantura?

– Dzięki Bogu nie.

– Popatrz na ten cyrk.

– Obawiam się, że przez te gęby będę miał koszmary.

– Lepsze koszmary niż brak snu.

Deryło uśmiechnął się blade.

– Zaczekam w łóżku.

Tym razem pocałował ją w czubek głowy i poszedł do łazienki. Nie miał nawet zamiaru spojrzeć na siebie w lustrze. To właśnie przez tę podstarzałą gębę mógł śnić największe koszmary. Będzie coraz gorzej, pomyślał melancholijnie. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Wziął długi, gorący prysznic, umył zęby i rzucił się na łóżko. Słuchał, jak jego żona krząta się jeszcze w salonie, a później nalewa wodę do wanny.

Sprawdził, czy budzik jest dobrze nastawiony, i zgasił światło.

Gdzieś w głębi siebie czuł niepokój. Przeszywający niepokój.

Marta Wolska wiała się na krawędzi świadomości i omamu. Nie rozróżniała, kiedy wpadała w sen, a kiedy się z niego wybudzała. Wciąż panowała ciemność, było jej przeraźliwie zimno, a ból paraliżował skrępowane ciało. Co jakiś czas przed jej oczami pojawiały się chaotycznie pulsujące kolory, zupełnie jakby do pomieszczenia wdzierала się zamglona tęcza. Wiedziała, że to wytwór poszukującego bodźców umysłu. Człowiek nie był stworzony do tkwienia w mrocznym odosobnieniu i sam wytwarzał szalone wizje. Starala się podejść do tego czysto praktycznie. Mimo wszelkich wysiłków nie mogła skupić myśli. Rwały się i uciekały. Najwyraźniej została nafaszerowana jakimiś środkami. Gdzie była? Co się stało? Na te dwa wciąż powtarzane pytania nie znalazła odpowiedzi.

Bała się. Pierwotny, instynktowny lęk starał się ją otrzeźwić. Nagle jej myśli znowu zaczęły odpływać i wyszukiwać radosne wspomnienia. To również był znany jej mechanizm umysłu...

Na pierwszą randkę poszli zaraz po rozprawie w sądzie. Potrącona przez nią dziewczyna wydobrzała, a jedynym śladem zdarzenia było kilka blizn na policzku. Prawdziwy cud. Grzywna i zakaz prowadzenia pojazdów też stanowiły łagodny wymiar kary. Tym bardziej że do auta nie zamierzała już wsiadać. Przynajmniej jako kierowca. Ulga, którą poczuła, od razu wyidealizowała Roberta. Zakryła jego pijackie ekscesy i gówniarskie wybryki. Zanim dostrzegła prawdziwe oblicze, udało jej się go zmienić na tyle, że zaczął funkcjonować w społeczeństwie. Receptura rodem z brazylijskiej telenoweli okazała się skuteczna. Po prostu została jego najlepszym kumplem i dziewczyną. Najprawdopodobniej właśnie w tej kolejności.

Kiedy dostał się na politechnikę, jego matka uznała Martę za cudotwórcę. Ojciec nie zdążył, bo zmarł kilka miesięcy wcześniej. Natomiast dla Klary, z niezrozumiałych względów, stała się największym wrogiem. Obiektem patologicznej zazdrości i nienawiści.

Mimo całej euforii Robert nie skończył studiów. W jakimś podświadomym impulsie wziął się do pisania. Chyba właśnie w ten sposób chciał komentować rzeczywistość, której na trzeźwo doświadczał podwójnie. Kilka opowiadań trafiło na podatny grunt. Później ktoś komuś go polecił – i się zaczęło. Dzięki felietonom pisany do jednego z największych tygodników mógł się utrzymać. Dzięki pierwszej książce mógł myśleć o wspólnej przyszłości. W tym samym czasie Marta skończyła psychologię i rozpoczęła własną praktykę. Ta połączona z pracą na etacie też przynosiła stabilny dochód...

Przebłysk radosnych wspomnień zaczął się rozmywać. Wydawało jej się, że coś słyszy, ale było to jedynie złudzenie. Otaczała ją martwa cisza. Nadal leżała na kamiennej, zimnej podłodze. A więc ten koszmar działał się naprawdę. Dotknęła skrępowanego nadgarstka i poczuła, że jest lepki od zasychającej krwi. Musiała obetrzeć go o kajdanki. Tępy ból rozsadał jej szczękę, a język przypominał wyschnięty kołek. Knebel wsunięty do ust najdotkliwiej przywoływał ją do rzeczywistości.

Pomyślała o ostatnich godzinach. Zlewały się w jedną całość, przeplatały chaotycznymi obrazami i urywkami wspomnień. Ostatnie, co pamiętała, to jadący wolno obok niej samochód. Automatyczna szyba otworzyła się i zobaczyła...

To niemożliwe!

Mózg zapewne podsuwał jej wypaczone wizje. Musiała to uporządkować. Musiała skupić się na czymś, co pozwoli jej uchwycić się świadomości. Nie wiedziała, że wkrótce będzie marzyła o jej utracie.

Leżała na kanapie w salonie. Z rozłożonymi pod głową poduszkami, naciągniętym na siebie kocem i kubkiem gorącej herbaty na stoliku rozmawiała przez telefon. Od czasu do czasu zerknęła na program leżący w telewizji. Przyrodnicze ciekawostki dotyczące owadów z całego świata. Wieczorny zapychacz czasu. Zaraz po tym, jak skończyła rozmawiać, do salonu wszedł Robert. Zwyczajowo, pisząc ostatnie rozdziały książki, był wstawiony. Najwyraźniej potrzeba wykrzywiania rzeczywistości tkwiła w nim gdzieś głęboko i tylko w ten sposób znajdowała ujście. Zatrzymał się przy stoliku i założył ręce na klatce piersiowej. Spojrzał na nią, lekko się chwiejąc.

– Z kim rozmawiałas?

– Z Różyckim – odparła zgodnie z prawdą. – Konsultowałam pewien przypadek.

– Konsultowałaś pewien przypadek – przedrzeźnił ją. – O nazwie „poromansujmy”.

– O czym ty mówisz!

– Skupiam się, pracuję, a ty godzinami nawijasz przez telefon! Do tego z jakimś pieprzonym bufonem, który stał się dla ciebie pierdolonym guru. Jeździsz do niego, spotykasz się z nim w pracy, przed pracą. Z najdrobniejszą sprawą wydzwaniasz, jakby mógł rozwiązać wszystkie problemy ludzkości.

– To po prostu dobry specjalista. A ty masz nie po kolei. Rozumiesz? Odbija ci!

Wstała z kanapy i głośno wypuściła powietrze. Sceny zazdrości powtarzały się, kiedy wypił o kieliszek za dużo. Z Różyckim musiała spędzać wiele czasu, bo pracowali nad wspólnym projektem, ale nigdy do niczego nie doszło. Tak przynajmniej sobie wmawiała.

– Wiem, co słyszałam.

– Gównie słyszałaś.

– Teraz pokaż, jaka jesteś elokwentna.

Bez błędnie umiał ją sprowokować.

– Pieprz się.

– O, właśnie. To chciałem usłyszeć.

– Kiedy piszesz, zawsze stajesz się pokręcony.

– Może zakwalifikuj mi jednostkę chorobową? Tak to się nazywa? – Uśmiechnął się sarkastycznie. – Chociaż nie, ty powinnaś to skonsultować z tym tępym gnojem.

– Zamknij się!

– Najlepiej zadzwoń do niego za chwilę. Może jeszcze nie dyma swojej żony po namiętnej pogadance z tobą.

– Proszę cię, przestań!

– Jesteś dziwką!

– Nie jestem dziwką. – Zaczęła płakać, starając się wyjść z pokoju.

– Wszystkie jesteście dziwkami. Ty i twoja matka, mająca mnie za wieczne zero. Nawet moja siostra, chcąc odpokutować lata, przez które miała mnie w dupie.

Zatoczył się i zatarasował jej drogę.

– Ale ty jesteś najgorsza. – Wycelował w nią palcem. – Ty jedna się puszczasz, kiedy ja staram się pracować.

Chciała wymierzyć mu policzek, ale złapał jej dłoń. Z całej siły ścisnął ją i wygiął do tyłu. A więc to nie tylko od kajdanek palił ją nadgarstek. Teraz już pamiętała... Krzyczał, wciąż szarpiąc jej rękę, a ona nie mogła nic zrobić.

Wściekła i bezsilna splunęła mu w twarz. Wtedy ją uderzył. Mocno. Prosto w żołądek, tak że zgięła się i upadła bez tchu na podłogę. Przez chwilę zwijała się u jego stóp, a on nie wiedział, co zrobić. Stał tak samo przerażony, jak kiedyś nad potrąconą przez nią dziewczyną. Chwycił ją za rękę i chciał podnieść. Przepraszał, zaklinał się, ale nie pozwoliła sobie pomóc. Kiedy odzyskała oddech, wstała, minęła go bez słowa i poszła do sypialni. Była wściekła. Jego słowa zlewały się w litanię dźwięków

wzbudzających największą odrazę. Zamknęła drzwi i przekręciła klucz.

Aby rozładować emocje, przebrała się w strój do joggingu i rozciągnęła mięśnie. Ćwicząc, spoglądała na swoją smukłą sylwetkę odbijającą się w lustrze. Jak na tyle lat, trzymała się całkiem dobrze. Zarysowane, ale nieprzesadnie mięśnie, ładna, zdrowa cera i jędrna skóra. Może właśnie zyskała ostateczny dowód, że czas na nowy etap w życiu?

Otworzyła drzwi i ruszyła w stronę wyjścia. Robert siedział w salonie, popijając whisky. Na odgłos jej kroków odwrócił się, ale nie odezwał nawet słowem. Beznamiętnie patrzył, jak wychodzi. Wydawało jej się, że kiedy zamknęła drzwi, coś krzyknął. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Przyspieszyła kroku, myśląc tylko o bieganiu.

Do rzeczywistości przywrócił ją odgłos upiornie skrzypiącej podłogi. Odgłos rozlegający się tuż obok.

Otworzył drzwi. Ucieszyło go skrzypnięcie drewnianej podłogi. Przez chwilę stał w progu, spoglądając na tonący w mroku zarys ludzkiej sylwetki. Uśmiechnął się, choć nie mogła tego zauważyć. Przeniósł ciężar z nogi na nogę, umyślnie wywołując ponowne przeciągłe skrzypnięcie. Delektował się tym odgłosem.

Musiała się ocknąć, bo usłyszała jej stłumiony szloch. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Boisz się? – zapytał łagodnie, podchodząc.

Odpowiedziało mu głośniejsze łkanie.

– Boisz się? – zapytał ponownie, tym razem podnosząc głos.

Kobieta skulona w rogu pomieszczenia poruszyła się, dociskając swoje ciało niemalże do ściany. Łańcuch, do którego przyczepiono kajdanki krępujące jej ręce, brzęknął o wbite w podłogę i sufit bloczki.

– Nie boisz?

Błyskawicznie, zwierzęcymi ruchami doskoczył do niej. Zatrzymał się tuż obok, tak aby mogła poczuć jego zapach. Mdły, obrzydliwy zapach potu i ziół. Był wściekły. Uderzył pięścią w ścianę tuż koło niej. Chwytał ją za włosy i szybkim ruchem oplótł je wokół dłoni. Przyciągnął ją w swoją stronę, z przyspieszonym oddechem wsłuchując się w ciche łkanie. Pociągnął jeszcze mocniej, czując, że jednym szarpnięciem mógłby wyrwać cały pukiel. Wiedział, że skóra jej głowy napina się i piecze niczym smagana płomieniami. Wiedział, że jest bezgranicznie przerażona.

Wydał z siebie okrzyk zadowolenia.

– Rozsmaruję na tych ścianach twoje flaki – wyszeptał wprost do jej ucha. – Zrobię z nich najpiękniejszą tapetę, jaką widział ten pieprzony budynek. Twoją delikatną skórę wygarbuję i przerobię, żeby był z niej jakiś pożytek, a mięso zeżrę, popijając świeżo spuszczonej krwi. I przysięgam ci, że jak będę cię kawałkował, to będziesz jeszcze żyła. Aż do ostatniego ścięgna, które ci wytnę. Aż do ostatniego paznokcia, który ci będę wyrывał. Dopiero wtedy zrozumiesz, co to jest ból.

Gwałtownie wstał i puścił jej włosy. Głośno roześmiał się, patrząc, jak w panicznym strachu wije się obok ściany.

– Wiem, dlaczego nic nie mówisz. Gdybyś się tak nie darła, nie musiałbym ci wsadzać tego do gęby.

Bezszelestnie odwrócił się i otworzył drzwi do drugiego pomieszczenia. Po chwili znów usłyszała jego szorstki głos.

– Boisz się? Będziesz następna.

22 GRUDNIA

Komisarz Deryło długo nie mógł wyrwać się ze snu, słysząc dźwięk budzika, a nie dzwonek telefonu. To znaczyło, że przespał ponad osiem godzin. Do tego przez te osiem godzin albo nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, albo został odsunięty od śledztwa. Jedna i druga możliwość były równie przyjemne. Prawdziwy fenomen.

Wstał z łóżka, zjadł przygotowane przez żonę śniadanie i wypił kwaśną, czarną jak węgiel kawę. Tego ranka nieco słabszą niż zwykle. Nie spieszył się, ale z drugiej strony chciał być jak najszybciej w komendzie. Część raportów powinna już spłynąć, dając odpowiedź na przynajmniej niektóre pytania. Miał złe przeczucie. Skoro nikt nie wydzwaniał, to albo raportów nie było, albo były nic niewarte.

Zerknął na przyklejoną do lodówki kartkę.

Spałeś jak dziecko. Miłego dnia. Całusy!

Dziwne, że mówi się o spaniu jak dziecko. O ile zdołał się przekonać, dzieci prawie nie sypiają, a jeśli w ogóle, to w promieniu kilometra trzeba chodzić na palcach. Fakt faktem, że Ewa nie obudziła go, zbierając się, susząc włosy czy krzątając w kuchni. Bez wątpienia robił się starym ramolem, którego nie obudzi trzęsienie ziemi. A może zaczynał głuchnąć? Nad tym nie zamierzał się nawet zastanawiać. Szybko ubrał się i wyszedł.

Stojąc w porannym korku, nerwowo zmieniał stacje radiowe. Reklamy, reklamy, wywiad z politykiem, który na pewno kłamał, rap i znowu reklamy. Akurat kiedy dojeżdżał do komisariatu, zaczęły się wiadomości.

Ta sprawa spędza sen z powiek śledczym w Lublinie. W ciągu ostatnich dwóch tygodni doszło tam do porwań kilku kobiet, a wczoraj znaleziono zbezczeszczone ciało jednej z uprowadzonych. Czy w mieście grasuje seryjny zabójca, który najpierw porywa kobiety, a potem z zimną krwią je zabija? Policja i prokuratura konsekwentnie odmawiają w tej sprawie jakiegokolwiek komentarza, usprawiedliwiając się dobrem śledztwa. Mimo wszystko nawołują do zachowania rozwagi i szczególnej ostrożności, szczególnie po zapadnięciu zmroku.

No tak, cała sprawa nie mogła się utrzymać w tajemnicy. Te parę dni spokoju i niesiania fermentu to i tak był spory sukces. Urzędasy z prokuratury musieli mieć teraz ciepło w majtkach. Medialna machina szykowała się do wybrania brudów spod dywanu. A było co wybierać. Społeczeństwo zawsze lubi być informowane i ostrzegane. Tymczasem prokurator Malczewski czekał na to, by ze swoim gwiazdorskim uśmiechem obwieścić światu sukces. Najlepiej jedną ręką trzymając mikrofon, a drugą kark kryminalisty. Deryło wyłączył silnik i żwawym krokiem pomaszerował do komendy. Był naprawdę ciekaw, co udało się ustalić jego ludziom. Nie zamierzał zadowolnić się półsłówkami. Machnął dłonią do strażnika i ruszył w stronę schodów.

Ledwie wszedł na piętro, zobaczył Brzeskiego.

– Co mamy? – zapytał bez przywitania.

Skinieniem głowy nakazał, aby aspirant poszedł za nim. Zauważył, że ma worki pod czerwonymi jak mysz oczami i potargane włosy.

– Przeszukałem cały internet, naszą bazę danych, obdzwoniłem specjalistów, zbałem nawet elektroniczny katalog doktoratów na KUL-u, ale rezultat nie jest do tego, lekko mówiąc, adekwatny.

Komisarz otworzył drzwi do gabinetu i przepuścił podwładnego w progę. Przeszedł obok biurka i z zadowoleniem rzucił się na skórzany fotel. Przed nim leżała tylko jedna teczka, ale jej zawartość postanowił zostawić sobie na później.

– Mówcie dalej – ponaglił aspiranta. – Co znaczny „nieadekwatny”?

– W skrócie ujmując, znalazłem całe gówno.

Ta wulgarność nie pasowała do jego delikatnej, chłopięcej urody. Jednak komisarz cenił te przejawy dobitnej samokrytyki.

– Sam to ocenię – przybrał służbowy ton. – Nawijaj.

Brzeski wbił wzrok w sufit, porządkując zdobyte informacje.

– W Lublinie nie mieliśmy od dwudziestu kilku lat zbrodni popełnionej z motywów religijnych – odezwał się po chwili. – Oczywiście pomijając kwestie związane z Majdankiem, Żydami i kilkoma wybrykami przeciwko studentom z ciepłych krajów. Tych tak zwanych zbrodni nienawiści. Ale bodajże od dwudziestu jeden lat żadnego trupa. Tamten zresztą też był dość wątpliwy.

– Sprawdziłeś sprawę? Przejrzałeś akta? Cholerni psychopaci potrafią się uaktywnić po latach... Albo po latach znaleźć naśladowców.

– Przewertowałem akt oskarżenia i wyrok. Jacyś debile uprowadzili kilkunastolatka i zawieźli go do lasu pod miasto. Tam zrobili coś w stylu ołtarza ofiarnego. Parę desek, jakaś pochodnia, cały ten bzdurny syf. Przywiązali do niego chłopaka i zrobili sobie noc Walpurgi albo inny sabat. Właściwie nie wiadomo.

– A potem go zamordowali?

– Nie. Chłopak zmarł z wymęczenia organizmu i wychłodzenia. Był zakneblowany, a miejsce nieuczęszczane.

– Co ze sprawcami?

– Starsi znajomi ofiary. Twierdzili, że chcieli zrobić mu dowcip, a później byli przekonani, że się sam uwolni, więc nie wrócili do lasu. Zrobioną przez siebie konstrukcję nazywali rekwizytem i oficjalnie wyparli się motywów religijnych. Zapewne po perswazji adwokata. W związku z tym nie wiadomo, czy było to przestępstwo związane z satanizmem, wyznawcami Sziwy, czy Hare Kriszny. Równie dobrze mógł to być rzeczywiście nieudany dowcip. W każdym razie jeden ze sprawców został skazany na dwanaście lat, a dwóch pozostałych chyba na sześć.

– Były jakieś symbole?

Brzeski pokręcił głową.

– Nic o tym nie znalazłem.

– Poszukaj dokładniej. I ustal mi ich adresy.

Komisarz popatrzył na wielką mapę Lublina wiszącą na ścianie. Domyślał się, że wydarzenia przedstawione przez aspiranta miały miejsce w Starym Gaju, który stanowił zieloną plamę na południowy zachód od miasta. Jeszcze kilkanaście lat wcześniej był jednym z najbardziej niebezpiecznych obszarów Lublina. Co kilka dni zdarzały się tam rozboje, co parę tygodni łapano dilerów. Było też kilka morderstw. Z biegiem lat zła sława okolicy przygasła i poza kibolską ustawką sprzed parunastu miesięcy nie działo się nic nadzwyczajnego. Poza tym nowo powstałe osiedla stykały się niemal ze ścianą lasu. Cywilizacja cywilizowała naturę. Również tę ludzką.

Pukanie do drzwi wyrwało Deryłę z zamyślenia.

– Kawy? – Nowa sekretarka wściubiła do środka jedynie głowę.

– Poproszę. Dużą, mocną.

Mimo wielu godzin snu odezwał się w nim głód kofeinowy. Kobieta zerknęła na Brzeskiego. Aspirant podziękował i oplecioną długimi, ciemnymi włosami twarz zniknęła za drzwiami. Komisarz poprawił się na fotelu.

– Czego jeszcze się dowiedziałeś?

– W Lublinie i okolicach działa jedno jedyne stowarzyszenie, które można by powiązać z satanistami. – Brzeski wyciągnął z kieszeni pomietaną kartkę i przeleciał po niej wzrokiem. – Imienia Antona LaVeya. Należy do niego kilkanaście osób, ale to raczej kółko filozoficzne niż krwiożercza sekta. Mają siedzibę na Lipowej.

– To zawsze jakiś punkt zaczepienia...

– Pojechać na miejsce?

– Zrobimy sobie wycieczkę we dwóch. W kilka miejsc.

– Gdzie?

– Dowiesz się w swoim czasie. Możesz odejść.

Brzeski schował karteczkę z powrotem do kieszeni i wyszedł z gabinetu. Komisarz przez chwilę przypatrywał się niepodpisanej pustej okładce teczek, w której spodziewał się znaleźć raporty. Chciał wezwać do siebie posterunkową Nowak i sierżanta Banacha, jednak zdecydował, że woli ciszę. Otworzył szufladę i wyjął czerwoną kartkę. W gabinecie nie miał gilotyny, więc ręcznie oderwał jej brzeg. Powinien kupić bloczek z kwadratowymi stronami.

Zanim zabrał się do akt, sekretarka przyniosła kawę. Postawiła przed nim na biurku filiżankę i talerzyk z ciasteczkami. Miły gest, ale jeszcze nie wiedziała, że nie przepadał za słodkim. Kiedy wychodziła, powiódł za nią spojrzeniem. Była kształtna, choć cały efekt psuły lśniące czarne legginsy. Czy kobiety nie mogły chodzić w spódnicach? Albo w czymś, co nie robiło z nich żeńskich kopii Micka Jaggera?

Odłożył niedokończony żurawia, upił łyk kawy i przysunął teczkę do siebie. Otworzył ją, czując narastającą ciekawość.

Na pierwszy rzut podsunęto mu notatki sporządzone bazgrołami Banacha. Zanim je rozszyfrował, był już wystarczająco wkurwiony, żeby przejmować się treścią. Traseolodzy twierdzili, że na miejscu zbrodni były dwie osoby, ale ze względu na warunki pogodowe nie byli w stanie określić ich płci. Ślady opon również niewiele wносиły. Wokół technicy nie zabezpieczyli żadnych innych dowodów. Słowem: kicha.

Kolejna kartka stanowiła uporządkowaną, wydrukowaną listę punktów, w których można kupić „Gościa Niedzielnego”, „Źródło” i „Nasz Dziennik”. Kilkadziesiąt sklepów przyparafialnych, kiosków i przybytków z dewocjonaliami. Odręcznie dopisano, że przedstawione zestawienie może być niekompletne. Posterunkowa Nowak mogłaby prowadzić spisy jeńców wojennych.

Dwie następne notatki informowały, że listy porywacza nie zostały jeszcze przebadane, a opinia profilerki będzie najwcześniej jutro po południu. Pierwsze nie było mu szczególnie potrzebne, drugie uważał za wróżenie z fusów.

Na samym dniu znalazł plik kartek z wynikami i raportem z laboratorium. Nic pokaźnego, ale zawsze. Wyciągnął go z teczek i uważnie przeczytał.

Jego serce biło szybciej z każdym kolejnym wyrazem.

Sprawa była bardziej pokręcona, niż myślał, chociaż wyjaśniło się przynajmniej jedno. Ofiara została zamordowana. Nie tylko zbezczeszczono zwłoki, nie tylko zrobiono z niej satanistyczny atrybut, ale popełniono morderstwo. Przeczytał jeszcze raz.

Wskutek dożylnego zaaplikowania znacznej dawki (prawdopodobnie około 3 mg) epinefryny wystąpiła silna tachykardia komorowa, co w konsekwencji doprowadziło do zawału mięśnia sercowego i zgonu.

Raczej nie zaaplikowała sobie tego sama, a potem nie zakleiła sobie rąk i nie spętała ich linką. Ciekawe.

Spodziewał się, że znajdzie jeszcze informację o zidentyfikowaniu ofiary, ale w teczce nic więcej nie było. Zastanawiając się nad systematyką działania, uprzątnął wszystkie papiery i zawiązał wstążeczkę. W takich momentach poczucie zawodowego wypalenia mijało. Na jego miejsce powoli wkraczały podekscytowanie i ciekawość. Jego analityczny umysł miał do rozwiązania zagadkę. A on cholernie lubił zagadki. Całkowicie zapomniał o niedokończonym origami.

Wyciągnął z szuflady notes i przekartkował go, aż znalazł wreszcie szukaną stronę. Sięgnął po słuchawkę telefonu i wybrał numer. Jeden sygnał, drugi, trzeci... Po siedmiu albo ośmiu usłyszał przeciągłe piszczenie. Roberta Wolskiego najwyraźniej nie było w domu. Chwilowo postanowił nie dzwonić na komórkę.

W tym momencie rozległo się pukanie.

– Proszę!

Do gabinetu wszedł sierżant Banach. W dłoni trzymał plik kolorowych wydruków.

– Dzień dobry, panie komisarzu.

Stuknięcie obcasami. On był w wojsku czy co?

Deryło bąknął pod nosem niezrozumiałe hasło powitania. Widząc, że Banach w milczeniu oczekuje na zachęcenie do rozmowy, uśmiechnął się. Miał dość dobry humor. Mógł poczekać.

Jego cierpliwość jednak bez względu na nastrój miała granice. Po kilkudziesięciu sekundach ciszy i kilkukrotnym przełożeniu przez Banacha akt z ręki do ręki komisarz nie wytrzymał.

– Gramy w głuchy telefon?

Sierżant nie rozumiał dowcipu i jedynie się zmieszał. Mimo wszystko przestał udawać ślup soli.

– Wczoraj przeglądałem dokumenty jeszcze – zaczął jak zwykle nieskładnie. – I panie komisarzu, trafiłem na coś.

– Na co trafiłeś, mój drogi?

– Proszę zobaczyć.

Sierżant położył na biurku kilka kartek. Deryło wziął je do ręki i uważnie przejrzał. Były to wydruki zdjęć różańca znalezione przy ofercie, zrobionych z różnych perspektyw i w odniesieniu do miarki na brązowej linijce. Nie widział w nim niczego nadzwyczajnego. Drewniane koraliki, srebrny krzyżyk, całość najprawdopodobniej na skórzanym rzemieniu. Jednak Banach spoglądał na niego z wyczekiwaniem, jakby na różańcu znalazł podpis mordercy.

– Co w tym niezwykłego? – Komisarz odłożył kartki.

– Liczył pan paciorki?

– Nie. A ma to jakieś znaczenie?

Chyba nigdy w życiu nie odmówił różańca. No, może kiedy przygotowywał się do komunii, ale było to tak dawno, że już nie pamiętał. W każdym razie nigdy nie wiedział, ile paciorków powinien mieć różaniec. Trzydzieści trzy? Taka liczba mu pasowała.

– Jest ich sześćdziesiąt – Banach powiedział to, jakby tłumaczył dziecku. – A powinno być pięćdziesiąt dziewięć. Ojciec Nasz, trzy razy Zdrowaś Maryjo, potem raz Chwała Ojcu i pięć razy po

dziesięć Zdrowaś Maryjo, pomiędzy którymi...

– Daj spokój – komisarz przerwał ten wywód. – Może jakiś wyrobnik różańców pogubił się i dodał jeden za dużo. Albo to wersja z bonusem, dla dewotek.

Sierżant stał bez ruchu z kamienną miną. Deryło nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że jest świeckim zakonnikiem albo ministrantem seniorem. Bo kto inny zwróciłby uwagę na liczbę paciorków w różańcu? Wydawało się to nieważnym szczegółem.

Mimo wszystko czuł, że akurat w tej sprawie liczba mogła mieć znaczenie.

Musiał to sprawdzić.

Brzeski ustalił, że z trzech mężczyzn skazanych w procesie, o którym wspominał, jeden wyjechał do Anglii, jeden zginął trzy lata temu w wypadku samochodowym pod Olsztynem, a jedynie jeden pozostał w Lublinie. Mieszkał razem z matką na Porębie i delektował się słodkim wsparciem zasiłku socjalnego. Typowy przypadek podwórkowej kariery od skazanego do bezrobotnego. Kiedy Deryło dowiedział się, że do tego mowa o skazanym na najdłuższą odsiadkę, nie miał już żadnych wątpliwości. Dwanaście lat, z czego w więzieniu spędził pewnie sześć czy siedem, to był wyrok, którym mógł budzić uznanie. Z drugiej strony jako sprawca takiego przestępstwa w więzieniu na pewno nie miał lekko. No, chyba że znał się na czarach, rzucał uroki i czuwał nad nim sam Szatan. Pieprzenie.

– Pojedź przez Trzeciego Maja – rzucił do Brzeskiego.

Samochód wszedł w ostry zakręt i z warkotem silnika wspiął się w górę ulicy.

Sierżant Banach zasiał w nim ziarno niepewności. Dlatego w pierwszej kolejności nie jechali ani do siedziby satanistów imienia LaVeya, ani na Porębę, ale do kamienicy przy Zamojskiej. Brzeski przy okazji swoich poszukiwań dowiedział się, że mieszka tam słynny ksiądz egzorcysta. Na dodatek był znawcą sekt neopogańskich i kultów satanistycznych. Duchowny w krótkiej rozmowie telefonicznej wyraził zgodę na spotkanie i zadeklarował, że będzie ich oczekiwał. Komisarz postanowił nie nadużywać jego cierpliwości, więc kwadrans po odłożeniu słuchawki dojeżdżali już pod wskazany adres.

– Obraz nędzy i rozpaczy – mruknął, wysiadając z radiowozu.

– Przynajmniej blisko do katedry i biskupa – zauważył Brzeski.

Rzeczywiście zarówno katedra, jak i pałac biskupi były w zasięgu kilkudziesięciu metrów. Fronton jednopiętrowej neoklasycystycznej kamienicy przypominał układankę puzzli, z których większość do siebie nie pasowała. Pomiędzy poszczególnymi kawałkami brakowało tynku i wystawały spleśniałe krawędzie pooblupiwanych cegieł.

Weszli na klatkę schodową. Pachniała tak jak wszystkie klatki schodowe starych kamienic. Pleśnią, wilgocią i starym drewnem.

– Na drugim piętrze?

– Tak mi się zdaje.

Weszli po schodach i stanęli przed pomalowanymi brązową farbą drzwiami. Brzeski nacisnął dzwonek. Usłyszeli stłumione „bim-bom”. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich przygarbiony sześćdziesięciokilkulatek. Miał krótkie, siwe włosy, okrągłe okulary intelektualisty i szczupłą, gładko ogoloną twarz. Pod granatową kamizelką nosił czarną koszulę i koloratkę.

– Zapraszam.

Odsunął się na bok, pozwalając im wejść do środka. Komisarz zastanawiał się nad formą powitania.

– Szczęść Boże – wyręczył go Brzeski, do którego przyłączył się jedynie mruknięciem.

– Bóg zapłać.

Ksiądz powolnym, dostojnym krokiem poprowadził ich do maleńkiego salonu. Mieszkanie było w znacznie lepszym stanie niż fronton i klatka schodowa kamienicy. Znajdowało się w nim niewiele mebli, ale wszystkie dobrano z gustem. Komisarz określił je w myślach przykładem skromnej elegancji, dobrze świadczącej o gospodarzu. Liczba krzyży i innych dewocjonaliów także mieściła się w rozsądnej normie przeciętnego polskiego domu. Co ważne, w większości były to przedmioty zabytkowe. Żadnych Matek Boskich z podświetlanymi oczami albo zegarów z podobizną Jana Pawła II.

Usiedli przy okrągłym stoliku, na którym stał flakon z ciętymi różami.

– Herbaty? Wody? Kawy niestety nie mam.

Policjanci podziękowali. Komisarz nie zamierzał tracić czasu na gotowanie wody, parzenie naparu i przynoszenie filiżanek. Przechodząc do celu rozmowy, wyciągnął z aktówki zdjęcia różańca i podał je księdzu. Ten oglądał je uważnie, poprawiając co chwilę okulary. Wreszcie odłożył kartki na stół i spojrzał na funkcjonariuszy w oczekiwaniu na pytania.

– Ponoć różaniec powinien mieć pięćdziesiąt dziewięć, a nie sześćdziesiąt paciorków – zaczął komisarz. – Nie wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie.

Ksiądz położył dłonie na kolanach.

– To intencyjna koronka różańcowa – odezwał się monotonnym tonem. – Celem modlitwy jest zazwyczaj rozważanie tajemnic z życia, czynów, męki i chwały Pana Jezusa Chrystusa i Maryi Panny. W tym przypadku dodatkowy paciorek daje czas na modlitwę w konkretnej intencji.

– Czyli to nic niezwykłego?

– Nic, co mogłoby stanowić konkretną wskazówkę co do jego posiadacza.

Komisarz wymienił z Brzeskim zawiedzione spojrzenie.

– Wykonany został jednak z drzewa różanego – dodał ksiądz. – I przypomina te rozdawane kilka lat temu na pielgrzymkach w Watykanie. Jednak nie mogę nic powiedzieć ze stuprocentową pewnością.

– Czyli równie dobrze mógł być kupiony na odpuszczenie w Częstochowie?

– Zapewne tak.

– Po czym można rozpoznać te z Watykanu?

– Obawiam się, że po niczym. – Duchowny zrobił zasmuconą minę. – Przykro mi to mówić, ale to jedno z najpopularniejszych przedmiotów związanych z religią chrześcijańską. I to właściwie z każdym z jej nurtów...

Komisarz schował zdjęcia do aktówki i wyciągnął drugą teczkę. Przez chwilę się wahał, wreszcie podał księdzu fotografię pokazującą w zbliżeniu pozbawiony skóry fragment ciała kobiety.

– To jest oczywiście objęte tajemnicą śledztwa – rzucił Brzeski.

– Ja jestem objęty tajemnicą spowiedzi nie tylko w konfesjonale – odparł cierpko duchowny. – Proszę się o to nie martwić.

Z wyraźną niechęcią obejrzał zdjęcie.

– Gwiazda pitagorejska – powiedział, tym razem nie czekając na pytanie. – Znana też jako gwiazda Isztar lub Izydy. W starożytności uważana za symbol doskonałości, a dla pierwszych chrześcijan obrazowała pięć ran Chrystusa. Na pewno nie chcecie panowie herbaty?

Znów odmówili. Ksiądz wstał i podszedł do stojącej w rogu biblioteczki. Opuszką palców pogładził grzbiety książek i po chwili westchnął rozczarowany.

– Mieszkam tu od niedawna – powiedział tonem usprawiedliwienia. – To kamienica należąca do kościoła, a ja zbieram fundusze na jej remont. Niestety większość księgozbioru mam na starej plebanii. Chciałem panom podarować pozycję, która mogłaby pomóc...

Zrezygnowany wrócił do stolika. Ciężko usiadł na krześle i założył dłonie pod pachy.

– Teraz pentagram kojarzy się z satanistami. – Komisarz nie zamierzał dopuścić do rozmycia się tematu rozmowy.

– Oczywiście. Rozróżniamy jednak dwa rodzaje, jak je pan nazwał, pentagramów. Ten zwrócony jednym wierzchołkiem do góry, zwany białym, stanowi odzwierciedlenie siły boskiej. Jest zobrazowaniem *sacrum*, używanym nawet w sztuce kościelnej. Może stanowić alegorię pięciu zmysłów człowieka albo pięciu żywiołów...

– A odwrócony?

Ksiądz spojrział uważnie na policjantów.

– Zwany jest pentagramem Bafometa lub czarnym – powiedział cierpko. – Stanowi alegorię wyższości żądz i pokus nad ludzkim rozumem. Osoby opętane, wpadając w trans, często wykorzystują właśnie ten symbol. To, co w nich siedzi, każe im go malować, wydrapywać sobie na skórze, wypalać. Nie wyobrażacie sobie panowie, jakie męczarnie mogą przeżywać biedne ludzkie ciała, kiedy wpuszczają do swoich dusz diabła. Łamanie kości kończyn, odgryzanie języka, wydłubywanie oczu to tylko przykłady tortur, które wymierzali sobie ci, komu miałem łaskę pomóc. Tak się jednak dzieje, kiedy...

Deryło pograżył się w myślach, gubiąc wątek egzorcyisty. Fotografia, którą wziął ze sobą, została na tyle przybliżona, że nie mógłby na jej podstawie ustalić, w jaką stronę skierowano pentagram na ciele kobiety. Mimo wszystko był przekonany, że pojedynczy wierzchołek znajdował się na górze, wycelowany w jej podbródek. Dziewięćdziesiąt i dziewięć dziesiątych procent pewności.

– Skóra wycięta z tej kobiety – Brzeski ubrał jego myśli w słowa – była chyba w kształcie tego dobrego pentagramu. Wydaje mi się, że miała dwa wierzchołki na dole.

– Też tak myślę.

– To znaczy, że zrobił to jakiś satanistyczny amator, któremu pomieszały się kierunki?

Komisarzowi przyszło coś na myśl. Coś cholernie pokrętnego, czego zupełnie nie rozumiał.

– Chyba że... – wycedził do siebie – chyba że patrzylibyśmy z perspektywy ofiary...

Dalsza rozmowa z księdzem przybrała formę akademickiego wykładu o egzorcyzmach, nawiedzeniach i ich znaczeniu w katolicyzmie. Kolejna próba poczęstowania gości herbatą również spełzła na niczym. Komisarz zaczął się niecierpliwić, nerwowo przebierać nogami, wreszcie uprzejmie podziękował i policjanci wyszli. Ani słowem nie skomentowali rozmowy, zastanawiając się, czy dowiedzieli się czegoś istotnego. Obaj mieli co do tego wątpliwości.

– Gdzie teraz? – Brzeski zapytał, wsiadając do samochodu. – Na Lipową?

– Nie. Pojedźmy na Porębę. Wziąłeś dokładny adres?

– Mhm.

– Tych od LaVeya załatwimy w drodze powrotnej. O ile mają otwarte przez całą dobę, a nie jedynie w okolicach północy. Nie zdziwiłbym się, gdyby w ciągu dnia spali w trumnach.

Brzeski roześmiał się pod nosem.

– Powinniśmy ze sobą wziąć kołki osikowe.

– I czosnek.

Komisarz chciał coś jeszcze dodać, ale poczuł wibrację komórki. Gimnastykując się, wygrzebał telefon z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz. Laboratorium. Natychmiast odebrał, oczekując w końcu dobrych informacji. Limit perfekcji porywacza musiał się wyczerpać. Zamienił kilka zdawkowych zdań i się rozłączył. Zirytowany rzucił telefon do schowka pomiędzy siedzeniami.

– Wycinki we wszystkich listach pochodzą z tych samych katolickich gazet – mruknął do Brzeskiego. – Nie ma na nich żadnych śladów biologicznych, papier użyty jako podkładka pochodzi ze zwykłej ryzy. Różaniec i ciało zdezynfekowano wodą utlenioną zmieszaną z octem. Na nich, jak się domyślasz, również nie znaleziono żadnych mikrośladów.

– Cytując klasyka, chuj, dupa i kamieni kupa.

– Gówno!

Deryło walnęła pięścią w rączkę drzwi. Jego dobry humor ulotnił się w mgnieniu oka. Kończyły mu się pomysły, kolejne tropy urywały się, nie przynosząc nawet fragmentu odpowiedzi na stawiane pytania, a do tego musiał w końcu wystosować jakieś oświadczenie dla mediów. Skoro sprawa wyciekła, prokuratura nie mogła dłużej milczeć. A on razem z nią. Doskonale wiedział, że jeżeli nie będzie miał konkretów, prasa go rozszarpie. Nie chciał nawet o tym myśleć. Wolał zrobić konferencję z prawdziwego zdarzenia, ale na tej główną gwiazdą będzie prokurator Malczewski. Było pewne, że nie odpuści takiej okazji, a teraz zwleka, aby móc nieść jedynie dobrą nowinę.

Kiedy zaparkowali przy bloku z lat osiemdziesiątych, zaczęło padać. Szybko przebiegli do klatki i weszli za mężczyzną taszczącym kilka siat zakupów. Patrząc po numerach mieszkań, wdrapali się na czwarte, przedostanie piętro i stanęli przed drewnianymi drzwiami, na których kredą wypisano K + M + B. Cyfry wskazujące na rok były częściowo rozarte i pozostało jedynie 20...

– Nie wygląda na lokum satanistów – parsknął Brzeski.

Deryło się nie odezwał. Zapukał tak mocno, że poczuł ból kłykcia.

Po chwili drzwi uchyliły się i zza łańcuchowej blokady wyjrzała papierowoszara twarz staruszki. Jedynym przełamaniem jej monochromii były brązowe, pomarszczone wory pod oczami. Oczy zresztą również straciły kolor.

– Dzień dobry. – Komisarz przedstawił się, siłąc się na beztroski, sympatyczny ton. – Jesteśmy z policji, prowadzimy rutynowe dochodzenie i chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. Pani Alicja Waller, jak sądzi?

Twaz staruszki pozostała kamienna. Deryło wyciągnął legitymację, ale nawet na nią nie zerknęła.

– Wpuści nas pani?

Drzwi się zamknęły. Minęło kilka sekund, ale nie usłyszeli odgłosu przekręcanego zamka.

Komisarz zapukał jeszcze mocniej niż za pierwszym razem. Kolejnych kilka sekund ciszy. Nie

mieli nakazu ani żadnego uzasadnienia, żeby tu być. Mógł jedynie zapukać jeszcze raz.

W tym momencie zasuwa szczęknęła i drzwi otworzyły się na oścież. Po drugiej stronie progu stała drobna, zasuszona staruszka.

– Musiałam zarzucić sweter – zachrypięła grobowo. – Zapraszam panów.

Kiedy weszli do środka, przez chwilę lustrowała ich świdrującym spojrzeniem. W mieszkaniu panował straszny zaduch. Ściany były wyłożone drewnianą wykładziną, a w salonie naprzeciwko lśniła lakierowana meblościanka. Staruszka oderwała wzrok od mężczyzn i poszurała korytarzykiem do kuchni.

– Muszę pilnować zupy, proszę tutaj.

Posłusznie poszli za nią.

– Czego panowie chcieliby się dowiedzieć? Proszę siadać.

Kobieta wskazała na drewnianą ławę ustawioną pod ścianą. Na gazowej kuchence stał emaliowany garnek w grochy. Komisarz zwrócił uwagę, że palnik był wyłączony. Dopiero w tym momencie staruszka ukradkiem go przekręciła.

Nie zamierzał zwlekać. Jego instynkt wzmógł czujność.

– Czy zastaliśmy pani syna?

Komisarz miał wrażenie, że usłyszał odgłos dobiegający z pokoju obok. Spojrzał na Brzeskiego, ale ten najwyraźniej nie zarejestrował stłumionego trzasku. Tymczasem staruszka nerwowo poruszyła garnkiem i brzęknęła łyżką wazową.

Deryło zerwał się z miejsca i przewracając stojące obok krzesło, wypadł z kuchni. Przebiegł krótkim korytarzem i wpadł do salonu. W ostatniej chwili dostrzegł cień przemykający przy drzwiach balkonowych. Były dociśnięte, ale klamkę ustawiono w pozycji otwarcia. Rzucił się pędem w ich stronę.

Kątem oka zobaczył, że Brzeski mknie za nim.

– Klatka schodowa! – wykrzyknął, szarpiąc za drzwi. – Obiegnij budynek!

Nie sprawdzając, czy aspirant zrozumiał polecenie, wypadł na ciasny balkon. Nie było na nim nikogo. Wyrzwał za balustradę, ale również balkony obok były puste. Przechylił się przez barierkę i dostrzegł ruch piętro niżej.

– Stój! Policja!

Oczywiście żadnej reakcji. Postać przemknęła dalej, poza zasięg jego wzroku.

– Cholera.

Przełożył nogę przez metalową poręcz i spojrział w dół. Od klepiska, które niegdyś było trawnikiem, dzieliło go kilkanaście metrów. Jeden nieuważny ruch i w najlepszym razie mógłby się połamać. Stał na zewnętrznej krawędzi, chwytając metalowy szczebelek. Opuścił się jak na drążku. Napiął mięśnie brzucha, wygiął tułów i zwolnił uchwyt.

Serce podeszło mu do gardła.

Jedną nogą uderzył o plastik, który trzasnął pod jego ciężarem. Cholerne puste doniczki. Zarejestrował ruch za firanką, ale nie zwrócił na to uwagi. Wyrzwał ponownie w dół. Tym razem od ziemi dzieliło go jedynie jakieś dziesięć metrów. Na balkonach wokół nie dostrzegł jednak nikogo. Podbiegł do drugiej barierki, ale tam panowała taka sama zimowa pustka.

Trzydziestolatek w bluzie odsunął firankę. Kiedy sięgał do klamki, Deryło przyłożył do szyby legitymację. Mężczyzna po drugiej stronie zatrzymał się w pół ruchu. Nagle komisarz usłyszał głośne trzaśnięcie. Dobiegało ewidentnie z dołu. Wychylił się przez balustradę tak mocno, jak tylko był w stanie. Sylwetka w ciemnym ubraniu mignęła dwa szeregi balkonów dalej i piętro niżej.

– Stój, bo strzelam!

Oczywiście reakcja była taka sama jak poprzednio. Postać zniknęła za rogiem kolejnego balkonu.

Deryło powtórzył czynności sprzed chwili. Przełożył nogę przez barierkę, stanął na krawędzi i złapał się metalowych szczebelków. Szykował się do skoku, kiedy obserwowana kątem oka postać wychyliła się za poręcz. Przez ułamek sekundy zastanowił się nad wyciągnięciem broni, ale wiązałoby się to z koniecznością utrzymania równowagi na czubkach palców. Niewykonalne.

Kolejnym, co zarejestrował jego mózg, był tępy łoskot. Człowiek, który uciekał, najwyraźniej poślizgnął się i spadł z dobrych kilku metrów na ziemię.

Ciemna sylwetka zwinęła się w kłębek.

Aspirant Brzeski gwałtownie zawrócił. Przebiegł przez korytarz i wypadł na klatkę schodową. Cztery piętra w dół pokonał w tempie rakiety kosmicznej. Pchnął z całej siły drzwi wejściowe i wystrzelił wzdłuż budynku. Długimi susami dopadł do jego skraju i zaklął.

Przejście zagradzał mu gęsty, blisko dwumetrowy żywopłot. Ogołoczone z liści gałązki uwidaczniały rozmiar kolców.

Brzeski spojrzał za siebie. Obieganie budynku dookoła trwałoby zbyt długo. Cztery wejścia na klatki, chodnik, a za kolejnym rogiem też mógł być żywopłot. Rozejrzał się, szukając przerzedzenia. Lokalni gówniarze musieli tędy jakoś przełazić, zamiast chodzić naokoło. Ściana kolców nie miała jednak żadnych luk.

Nie zastanawiając się, osłonił twarz połą płaszcza i z rozpędem wbiegł w krzak. Niektóre gałązki połamały się, ale wyhamowały też jego impet. Poczul, że kolce drą mu ubranie i przebijają materiał, dotykając ciała. Gdyby był w letnim stroju, przypominałby właśnie jeża.

Nie zważając na ból, chwycił otaczające go gałęzie i oparł się na żywopłocie całym ciężarem ciała. Tym razem kolce dosięgły odsłoniętej twarzy. Brzeski poczul, jak ciernie haratają mu policzek i czoło tuż ponad brwią. Na szczęście krzak przełamał się i po chwili policjant wypadł na drugą stronę. Nie wyjmując znaczących go szpikulców i drzazg, popędził dalej.

Najpierw dostrzegł wychylonego zza balustrady komisarza. Stał na skraju balkonu na trzecim piętrze i spoglądał gdzieś w dół. Dopiero po chwili zauważył, że na ziemi porusza się czyjaś sylwetka.

Ignorując pieczenie ran i ściekającą na powiekę krew, rzucił się w jej stronę.

Dzieliło ich kilkadziesiąt metrów.

Postać poruszyła się i najwyraźniej go dostrzegła. Podniosła się na czworaka i zrobiła chwiejny krok.

Dwadzieścia metrów lub mniej.

Brzeski, nie zatrzymując się, odgiął połą płaszcza i sięgnął do kabury. Taśma blokady była odpięta.

Dziesięć metrów.

Palcami przeciął pustą przestrzeń. Broń musiała mu wypaść, kiedy forsował krzak. Cholera.

Pięć metrów.

Zobaczył twarz. Nie widział jej wcześniej, bo opadały na nią długie, prawie czarne włosy. Czterdziestokilkuletni mężczyzna patrzył na niego z nienawiścią. Nie zamierzał się poddać i właśnie podnosił się z klęczek.

Brzeski nie zauważył, że chowa za sobą gruby stalowy pręt.

Kiedy dopadł do nieznanego, powaliło go uderzenie wymierzone prosto w skroń. Spłynęła na niego ciemność.

* * *

Komisarz zaklął. Przeskoczył z powrotem na balkon i sięgnął do kabury. Kiedy wydobył broń, sylwetka oddalała się w stronę linii drzew.

Przyjął pozycję strzelecką i wycelował. Prosto w nogi. Tym razem nie silił się już na ostrzegawcze krzyki. Z tej odległości nie mógł chybić.

Nacisnął spust.

W tym momencie w skraj balustrady obok niego uderzył emaliowany garnek, ochlapując go wrzątkiem. Pocisk przeorał ziemię kilka metrów od uciekającej postaci.

Nim Deryło zdążył powtórnie wycelować, drzewa zasłoniły linię strzału.

Spojrzał w górę i zetknął się wzrokiem z mętym spojrzeniem staruchy. W tym momencie nie

miał czasu się nią zajmować. Uderzył pięścią w drzwi balkonowe i nie wypuszczając broni, wskazał, żeby mu otworzono. Przemknął obok mężczyzny w dresie, przeskoczył płaczącego się między nogami pekińczyka i dopadł do drzwi wejściowych. Nie czekając na gospodarza, przekręcił zamek i ruszył na korytarz. Przeskakując po kilka schodków, zbiegł na dół, a następnie popędził śladami Brzeskiego. Zrobiona przez aspiranta wyrwa w żywopłocie umożliwiła mu przedarcie się niemalże bez zadrapań. Tuż za nią zobaczył leżący w zmarzniętej trawie pistolet. Mały glock 26 bez wątplenia należał do Brzeskiego. A więc dlatego zamierzał wdać się w bijatykę, zamiast z odległości usidlić uciekającego.

Podniósł broń i truchtem dobiegł do aspiranta. Ten, ciężko oddychając, właśnie starał się podnieść.

– Nie ruszaj się, zaraz zadzwonię po pomoc.

Wyciągnął komórkę i kucnął obok policjanta. Zerknął jeszcze w stronę linii drzew, ale nikogo już tam nie było.

– Proszę, nie. – Brzeski z trudem usiadł. – Nic mi nie jest. Wyjdę na totalnego debila.

Nie wyglądał zbyt dobrze. Poszarpany płaszcz, spuchnięta prawa strona twarzy, krew zbierająca się na lewej brwi i ściekająca wokół oka.

Deryło wybrał numer alarmowy.

– Jeżeli pan zadzwoni, komisarzu... – aspirant próbował się podnieść – będę pośmiewiskiem.

– Wyglądasz jak kupa gówna.

– Mam twarde kości.

Ktoś odebrał.

– Dyspozycja ratunkowa, słucham?

Deryło popatrzył na Brzeskiego. Policjant z wyzywającym spojrzeniem stanął na nogi. Jego dziecięca twarz kipiała determinacją. Usta zacisnął mu ból, ale trzymał się pewnie na nogach.

– Dyspozycja ratunkowa, słucham?

Komisarz się rozłączył.

– Jesteś dużym chłopcem.

Pięć stów to była dla niej prawdziwa góra forsy. Na kacu myślała całkiem sprawnie i mogła sobie wyobrazić ich prawdziwą wartość. Za pięćset złotych kupiłaby co najmniej dwadzieścia dużych flaszek. Prawdziwej czystej, której nie piła od kilku tygodni. Jakby się dobrze postarała, stać by ją było na kilkadziesiąt tanich win lub ponad sto browarów. Ponad dwieście, jeżeli dobrze liczyła. Dobry miesiąc picia. Za tysiąc złotych mogłaby kupić dwa razy tyle. Połowę tej sumy miała już w kieszeni. Obietnica drugiej części nie pozwalała się zastanowić dwa razy.

Sięgnęła po starą kanciastą komórkę i wybrała pole wiadomości tekstowej. Wyciągnęła z kieszeni kartkę z poprzyklejanymi fragmentami gazet i uważnie ją przeczytała. Zdania układały się w jakąś chaotyczną konstrukcję, z której niewiele rozumiała. Ale wcale nie zamierzała rozumieć. Chciała tylko zarobić na miesiąc chlania, a do tego miało posłużyć przepisanie tekstu.

Nieprzyzwyczajonymi do szybkiego pisania palcami wstukiwiała po kolei literki. Nie mogła się pomylić. Całą uwagę skupiła na małym ekranie. Dwa razy przeczytała napisaną wiadomość i uśmiechnęła się zadowolona.

Mam wiadomość o Marcie. Zawiadomisz policję nie dowiesz się niczego. Spotkajmy się o 15.00 pod kebabem na Nałęczowskiej. Przyjdź z różą po tym cię poznam.

Cholera. Dwie wiadomości, czyli zje pięćdziesiąt groszy.

Nie wiedziała, czy powinna dodać jakieś przecinki. Na kartce nie było żadnych, więc wpisała podany numer i nacisnęła przycisk wysyłania.

* * *

Dwie i pół godziny później stała pod budką z kebabami. Dodatkowa premia na taksówkę pozwoliła jej po raz pierwszy w życiu przejechać się z osobistym szoferem. Czuła się niczym celebrytka z okładek czasopism, które widziała w witrynach kiosków. Z przesadną kurtuazją podała taksówkarzowi pięćdziesięciozłotowy banknot i kazała na siebie zaczekać. Teraz wyglądała mężczyzny z różą.

Kazał jej umyć włosy i założyć najlepsze ubranie. Miała wyglądać seksownie. Kiedyś uważała się za całkiem ładną, ale teraz, w wieku trzydziestu lat, z czego prawie dwie trzecie przepiła, nie zwracała na to uwagi. Mimo wszystko założyła krótką spódniczkę, w końcu miała dość zgrabne nogi. Puchowa kurtka też była niczego sobie, poza śladami rzygania na mankiecie. Postanowiła wywinąć rękaw, aby ukryć ohydne plamy. Prawie się udało. Największym problemem były buty – jedyne, które miała, to znoszone trampki. Trudno. Mnóstwo wypizdrzonych nastolatek, które widywała wychodzące ze szkół, też takie nosiło.

Wyciągnęła telefon. Po raz pierwszy od dawna sprawdziła na nim godzinę. Czternasta pięćdziesiąt sześć.

Taksówkarz posłusznie czekał dwadzieścia metrów dalej.

Przeszła kilka kroków wzdłuż rzędu ruder i zaczerpnęła powietrza. To, co miała zrobić, było całkowicie bezsensowne. Wiedziała jednak, że nie ma wyjścia. Kolejne pięć stów. Sama myśl o takiej kasie wywoływała w niej dreszcz radości. Są przecież dziwki, które puszczają się za drobny ułamek tej kwoty. Jaki to był ułamek, nie potrafiła obliczyć.

Zastanowiła się, czy o niczym nie zapomniała. Polecenie było jednak całkiem proste i nawet na kacu nie mogła tego pomieszać.

Odwróciła się na dźwięk wjeżdżającego na podjazd samochodu. Biały SUV, chrzęszcząc na żwirze, wyhamował pod budką z kebabami. Po chwili wysiadł z niego wysoki, dość postawny mężczyzna z kilkunastym zarostem na twarzy. Kiedy zobaczyła, że wyciąga z auta pojedynczą

czerwoną różę, wiedziała, co ma robić.

Zdecydowanym krokiem ruszyła w jego stronę. Przyjrzała się jego smutnym, zmęczonym oczom i niezgrabnym ruchom. Miała wrażenie, że jest pijany. Nachlanego faceta potrafiła bezbłędnie poznać z każdej odległości.

Robert Wolski szybko zwrócił na nią uwagę. Wokół nie było nikogo innego. Budka z kebabem, pod którym parkował poprzedniego dnia, była najwyraźniej zamknięta. Kilka osób kręciło się przy ulicy dobrych kilkadziesiąt metrów od nich. Stado wron w całkowitej ciszy przeszukiwało pobliski trawnik.

Kobieta podeszła do Wolskiego i od razu sięgnęła po różę, niemalże wyrywając mu ją z dłoni.

– Cześć – powiedziała lekko spiętym głosem.

Nim zdążył się odezwać, przytuliła się do niego i pocałowała go prosto w usta. Mocno, namiętnie, do czasu aż zdążył się otrząsnąć i ją odepchnąć.

– Co jest! – warknął zdezorientowany.

Kobieta nie zamierzała czekać. Wyrzuciła różę i puściła się biegiem w stronę taksówki. Myślała o kolejnych banknotach, na które właśnie zasłużyła. W końcu zrobiła wszystko dokładnie tak, jak jej kazano.

Słyszała, że Wolski ją goni, ale był dobrych kilkanaście metrów w tyle i nie miał już szans. Dobrze, że rano nie piła, bo pewnie by się porzygała.

Szarpnęła drzwi samochodu i wskoczyła do środka.

– Jedź pan szybko – krzyknęła zgodnie z instrukcją. – Ten facet mnie prześladowuje!

Taksówkarz posłusznie odjechał.

– Pan robisz sobie ze mnie jaja?

Deryło przeczytał treść esemesa. Ledwo zdążył wrócić na komendę, zwinąć po drodze starą matkę zbiega i odstawić do domu Brzeskiego, już zaanonsowali mu wizytę Wolskiego. Przyjechał przed chwilą, z trudem trzymając się na nogach.

Komisarz starał się zapanować nad sytuacją. Wreszcie miał podejrzanego i skierował do prokuratury wnioski o wydanie listu gończego. Złapią skubanego prędzej czy później. Przesłuchanie staruchy rokowało słabo, bo ta konsekwentnie odmawiała złożenia zeznań. Trudno, jako osoba najbliższa miała takie prawo. Będą musieli sobie poradzić bez niej. Były też sposoby, żeby nakłonić ją do mówienia. Tym postanowił się martwić później.

Wolski pokręcił głową na znak, że nie robi sobie jaj. Komisarz czuł od niego zapach alkoholu i potu.

– Mogliśmy wreszcie ruszyć pełną parą – zrugął go. – Ja uganiem się za jedynym podejrzanym, a pan dajesz się przelizać jakiejś wariatce.

– Sądziłem, że...

– Że poda panu adres, gdzie trzymają pańską żonę? Jesteś pan idiotą?

Dopiero kiedy nerwy zaczęły ustępować, zwrócił uwagę na plaster naklejony na policzku Wolskiego. Miał ochotę zapytać o powód zranienia, ale uznał, że i tak dostanie odpowiedź z gatunku „zaciąłem się przy goleniu”.

Wolski, czując jego spojrzenie, spuścił głowę między ramiona.

– Jaka to była taksówka?

– Sedan. Granatowy albo czarny.

– Rozmawiam z babą? Chodzi mi o markę, numer rejestracyjny, nazwę firmy.

– Nie pamiętam. Nie zwróciłem nawet uwagi. Może passat albo octavia?

Siła charakteru Wolskiego całkowicie uleciała w ciągu ostatnich dwóch dni. Z choleryka zmienił się w melancholijnego przyglupa. Niewiele brakowało, a zaraz zacząłby płakać. Komisarz miał wrażenie, że mężczyzna schudł, zmniejszył się i zapadł w swoich ubraniach. Dopiero co rzucał mu się do gardła, a teraz siedział żaloszny jak kupa gówna, kręcąc nerwowo dłońmi ze wzrokiem wbitym w podłogę. Takiej rozpacz nie mógł udawać.

– A pamięta pan chociaż, jak wyglądała ta kobieta?

– Trzydzieści kilka, może czterdzieści lat. Jakaś ciemna kurtka, chyba spódnica.

– Chodzi mi o twarz. Chcę ją znaleźć.

– Ciemne, poskręcane włosy. Do ramion. Mocne kości policzkowe...

Komisarz przeciął powietrze dłonią, dając mu znak, żeby zamilknął.

– Sprowadźcie grafika – warknął w stronę przysłuchującego się rozmowie sierżanta Banacha. – A potem ustalcie telefon, z którego wysłano tego cholernego esemesa, i firmę taksówkarską. Dzwońcie do wszystkich, aż traficie na tę, która wykonywała ten konkretny kurs. Wtedy chcę mieć tu na dywaniku kierowcę.

Banach jak zwykle strzelił obcasami i wyszedł.

Wolski podniósł wzrok, wodząc spojrzeniem gdzieś po ścianie.

– Myśli pan, że ta kobieta jest bezpośrednio zamieszana w porwanie?

– Na pewno będzie jedną z podejrzanych.

– Mogłem ją dorwać i wszystko wydusić, a stałem jak wryty. Kiedy się otrząsałem, prawie dobiegła do taksówki.

– Przede wszystkim mógł pan zadzwonić na policję. Wtedy siedziałaby tu obok pana, wyśpiewując, co ją nakłoniło do tej radosnej twórczości. A tak muszę zaharowywać cały sztab swoich ludzi, żeby przetrząsnęli niebo i ziemię. Zresztą być może bezskutecznie.

Z tym przetrząsaniem nieba i ziemi przesadził, ale dobrze brzmiało. Chciał jeszcze dodać, że

Wolski na własne życzenie spieprzył sprawę poszukiwań własnej żony, ale się powstrzymał. Nie lubił dobijać leżących.

– Proszę chwilę zaczekać.

Wstał zza biurka i wyszedł na korytarz. Na całej jego długości kłębili się funkcjonariusze, trzaskały drzwi, królował zorganizowany chaos. Od razu widać było, że Lublin żyje wielką sprawą.

Komisarz odpędził od siebie młodą policjantkę, która zbombardowała go nalotem niezrozumiałych pytań, i wszedł do łazienki. Zapalił światło i opłukał twarz zimną wodą. Dopiero w lustrze zauważył, że w kołnierz marynarki ma wbity długi kolec. Ostrożnie, aby nie rozerwać materiału, wyciągnął go i wrzucił do umywalki. Pomyślał o Brzeskim. Może powinien był wezwać karetkę? Może powinien go odwieźć do szpitala? Gdyby właśnie rósł mu w mózgu jakiś cholerny krwiak, który eksploduje w najmniej oczekiwanym momencie, będzie to także jego wina. Teraz każdy, kto dostanie w łeb, ma krwiaka. Jak był dzieckiem, wszyscy na podwórku naparzali się kijami, pięściami, spadali z drzew i schodów i nigdy nic nie wybuchalo im w mózgu. Ale stalowy pręt nie był patykiem. Cała nadzieja w tym, że Brzeski, chociaż młodszy od niego prawie o pokolenie, rzeczywiście jest twardym chłopcem.

Jeszcze raz obmył twarz wodą i wytarł ją w papierowy ręcznik.

Popatrzył, jak cierń spływa do dziurki, zatacza koło i znika w czeluści odpływu. Wyszedł na korytarz i skierował się w stronę gabinetu. Kiedy przeszedł kilka kroków, niemalże zderzył się z pędzącym na oślep sierżantem Banachem.

– Grafik będzie za kwadrans. – Policjant zatrzymał się jak wryty. – Telefon już sprawdzają, a zaraz będziemy dzwonić po korporacjach.

Deryło skinął głową.

– Jak skończycie, zabierzcie Wolskiemu kluczyki i odstawcie go do domu. Jest nachlany.

Zdziwiło go własne współczucie.

Kiedy otworzył styropianowe opakowanie i szykował się do spałaszowania frytek oblanych keczupem, zadzwonił telefon. Zerknął na wyświetlacz. Prokurator Malczewski. Chcąc nie chcąc, musiał odebrać. Nawet gdyby odrzucił połączenie, ten dzwoniłby aż do skutku. Zabawę w nieosiągalnych, zawalonych pracą ludzi przerabiali już kilkakrotnie i zawsze kończyło się usprawiedliwieniami. Zanim podniósł słuchawkę, sięgnął po niedokończony żurawia.

– Witam pana, prokuratorze – powiedział z ironiczną sympatią. – Jak to dobrze wreszcie pana usłyszeć.

– Panie komisarzu – odpowiedział mu głos służbisty – już najwyższy czas się zebrać.

– Jak się zebrać? – udał, że nie rozumie.

– No, konferencję zrobić.

– Dopiero razem z całą prokuraturą nakazywaliście milczenie jak w mafii, a akurat teraz chcecie konferencji?

– Opinia publiczna domaga się wyjaśnień.

– Opinia publiczna znajduje mnóstwo wyjaśnień, we wszystkich mediach, bez naszej pomocy.

– Całkowicie zakłamanych historii, komisarzu.

– A ja mam wymyślić alternatywną rzeczywistość? Opowiadać, że jestem tuż-tuż od złapania mordercy, przy ofercie znalazłem chusteczkę z jego inicjałami, a ujęcie to kwestia godzin?

– Oficjalnie wystąpił pan o list gończy.

– Za podejrzanym. Nie skazanym.

– To już się ciągnie zbyt długo. Rozczarowuje mnie pan, komisarzu.

W tym momencie Deryło błogosławił wynalazcę telefonów komórkowych. Gdyby rozmawiał z prokuratorem osobiście, właśnie skończyłby karierę. Dyscyplinarką i sprawą za pobicie funkcjonariusza publicznego. Postarał się opanować. Kolejny żuraw trafił do kosza. Komisarz wziął stygnącą frytkę i pochłonął ją, praktycznie nie przeżuując. W jedzeniu panował marazm taki sam jak w sprawie.

– Jeżeli ma pan jakieś uwagi – wycedził po chwili – może pan zawsze osobiście uczestniczyć w czynnościach. Może pan przesłuchiwać, przeglądać wszystkie, choćby najmniej ważne raporty, analizować...

– Niech mi pan nie mówi, co ja mogę!

Oho, wkurwił się. Komisarz od razu poczuł się lepiej. Wziął dwie frytki naraz i młasnawszy, przełknął je.

– Co pan teraz zamierza, co ze śledztwem?

– Jest za pięć trzecia, za trzydzieści pięć minut kończę służbę, więc nie ma sensu niczego zaczynać. – Kiedy pozował na leniwego, nikt nie narzucił mu dodatkowej roboty. – Jutro się zastanowię.

– Zdziwiał mnie pańska indolencja.

– Moje co?

Skoro miał grać prawdziwego policjanta, a prokurator intelektualistę, niech się z tym dobrze poczuje.

– Nieważne. Jutro chcę mieć od pana osobisty raport.

– Jak się wyrobię...

– Na dwunastą.

– W co wątpię...

– Punkt. A co do konferencji z mediami...

– W prokuraturze macie świetnego rzecznika. – Tym razem komisarz wszedł w słowo prokuratora.

Nie czekając na reakcję, rozłączył się i odłożył telefon. Teraz Malczewski na pewno nie oddzwoni. Pewnie siedzi w gabinecie cały purpurowy i klnie równo, błagając o melisę i tabletki

antydepresyjne.

Przynajmniej taką wizję rzeczywistości snuł komisarz. Wreszcie mógł w spokoju zjeść frytki.

* * *

Godzinę później, zamiast być w domu, siedział w wielkim gabinecie jednej z kamienic przy Lipowej. Z okien rozciągał się uroczy widok na cmentarz po drugiej stronie ulicy. Czy to zbieg okoliczności, czy ironia losu, że satanistyczne stowarzyszenie imienia LaVeya obrało właśnie taką siedzibę? Podejmował go łysiejący pięćdziesięciolatek, z równo przyciętym zarostem i wielkim, kulfoniastym nosem. Zamiast w szaty do czarnej mszy ubrany był w szary golf i granatowe džinsy. Przedstawił się jako Karol Dworski, ale prosił, by zwracać się do niego Karl.

W pomieszczeniu nie paliły się rzędy świec, lecz dwa duże żyrandole. Na ścianach nie było ani pentagramów, ani odwróconych krzyży. Wszędzie walały się książki, czuć było niewywietrzony zapach cygar i ciężkich perfum.

– Mamy w Lublinie całych szesnastu członków. – Karol Dworski vel Karl odpowiedział na pytanie komisarza. – Kiedyś było nas prawie pięćdziesięciu, ale uaktualniliśmy listy.

– Każdy może do was przystąpić?

– W zasadzie tak. Wpisowe dwieście złotych, składka członkowska symboliczne dziesięć co miesiąc.

Komisarz podziwiał jego śnieżnobiałe, idealnie równe zęby.

– Nie trzeba wcześniej spalić kota ani poświęcić dziewicy?

Karl odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

– Panie komisarzu, wiem, jakie jest powszechne mniemanie o satanizmie, ale proszę mi wierzyć, że działamy zgodnie z prawem. Jesteśmy formalnie zarejestrowani, kontrolowani i działamy transparentnie.

Mówił nad wyraz elokwentnie. Sprawiał wrażenie dobrze ułożonego człowieka, który wyrósł w porządnym domu, osiągnął w życiu pewną pozycję, a kryzys wieku średniego pobudził w nim żyłkę ekstrawagancji.

– Propagujemy tak zwany satanizm laveyański – ciągnął. – Nasze zasady nie opierają się na mordowaniu, gwałceniu i składaniu ofiar. Proszę poczytać choćby niektóre z dostępnych publikacji.

Deryło nie miał na to czasu.

– Mógłby mi pan to streścić?

– Policji się nie odmawia. – Znowu szeroki uśmiech. – Co chciałby pan wiedzieć?

– Sam nie wiem. Macie jakieś przykazania? Zasady główne?

Nie chciał powiedzieć, że potrzebuje jakiegokolwiek tropu. O pentagramie już się dowiedział od księdza, ale ten nie był obiektywny w rozmowie o satanistach. Najchętniej przyszedłby tutaj z gaśnicą wypełnioną wodą święconą.

– Chce pan, żebym w paru słowach streścił to, co sam studiuje od lat?

– Dokładnie.

Karl odsunął leżące na biurku papiery i zaczerpnął powietrza. Popatrzył uważnie na komisarza, a potem na swoje idealnie przycięte paznokcie.

– Rys historyczny pewnie pana nie będzie interesował – stwierdził, splatając dłonie. – Zdziwi to pana, ale satanizm polega na tym, by wreszcie zacząć żyć pełnią życia, kochać tych, którzy na to zasługują, zaspokajając swoje pragnienia, w tym seksualne, zamiast je tłumić. I nie, nie chodzi o gwałty. W jednej z zasad ziemi, czyli odpowiedniku chrześcijańskich przykazań, wyraźnie czytamy: *Nie czyni seksualnych anonsów, dopóki nie dostaniesz wyraźnej propozycji współżycia*. Proszę się nie uśmiechać, komisarzu, my naprawdę nie jesteśmy stowarzyszeniem czarownic.

Komisarz założył ręce za głowę.

– Nie śmieję się z tego, co pan mówi – powiedział wesoło. – Uśmiecham się na myśl o waszym

idealnym świecie.

- Możemy pana przyjąć na członka honorowego.
- Jeżeli wycisnę z pana coś ciekawego, może się skuszę.

Karl odpowiedział mu uśmiechem.

– Jesteśmy skrajnymi liberałami, w pozytywnym znaczeniu. Uważamy, że każdy człowiek jest osobą wolną i powinien działać zgodnie z własnym sumieniem, a na podstawie tych działań mamy prawo go oceniać. Wobec innych zachowujemy się tak jak oni wobec nas. Wobec przyjaciół jesteśmy przyjaciółmi, a wobec wrogów wrogami. Domagamy się legalizacji większości używek, dopuszczenia eutanazji, nie potępiamy ani homoseksualistów, ani biseksualistów.

Czyli lewaki, skwitował w myślach komisarz. Dlaczego każde stowarzyszenie, każda sekta i religia zabierały się do spraw seksualności i używek? Jakby nie mogły zostawić ich moralnej oceny wierzącym.

– A aborcja? – Nie mógł się powstrzymać przed zapytaniem.

– To inna sprawa – Karl odparł poważnie. – Dziecko i płód są dla nas wielkim darem i skarbem, więc co do zasady ją wykluczamy. Jednakże propagujemy antykoncepcję i zapobieganie niechcianym ciążom.

Deryło zerknął na zegarek. Dochodziła siedemnasta, a ciągle nie dowiedział się niczego nowego. Chociaż, zaraz, zaraz. Przeanalizował wypowiedziane przed chwilą słowa.

– Powiedział pan, że wobec wrogów jesteście wrogami?

– Dokładnie.

– I dopuszczacie morderstwo?

Karl zatarł dłonie, jakby tylko czekał na to pytanie.

– To jeden z tematów najbardziej burzliwych dyskusji. Nie tylko w obrębie naszego stowarzyszenia, ale ogólnie wśród wszystkich laistów. Literalnie analizując nasze zasady, mordowanie jest wykluczone. Skoro mamy wobec innych działać tak jak oni wobec nas, to martwi nie będziemy w stanie zgładzić naszych zabójców. – Spojrzał na komisarza, sprawdzając, czy ten słucha go uważnie. – Ale z drugiej strony co zrobić z kimś, kto tylko chce nas zabić? Co zrobić z tym, kto zabił naszą żonę, matkę czy kochankę? To oczywiście filozoficzne rozważania – dodał, wyjaśniając. – Proszę je traktować tak samo jak te na szkolnych katechezach.

Czyli każdemu, co mu się należy, jak mawiał już dwa tysiąclecia temu Porcjusz Katon. Żadne nowatorskie teorie, ale raczej zupełnie nijaka mieszanka tego, co było. Gadanie dla gadania. Deryło nie wiedział, co mógłby zrobić z ostatnią informacją. Czuł, że może się do czegoś przydać, że może pomóc zrozumieć sprawcę, ale... No, właśnie. Ciągle były ale.

– Macie jakieś satanistyczne święta? – Pytanie pojawiło się znikąd. – Może właśnie zbliża się jakieś Wpiekłóstąpienie czy coś?

Karl uśmiechnął się drapieżnie.

– Formalnie nie, ale symboliczne znaczenie ma na przykład noc Walpurgi. To oczywiście było ponad pół roku temu.

– A Halloween?

– To akurat medialny wymysł. Znacznie większą uwagę przykładamy choćby do równonocy wiosennej.

– Równonocy?

– Wtedy najmocniej działają siły natury. Rozpoczyna się intensywny cykl roku i tradycyjnie wkraczamy w fazę doskonalenia się.

– Coś jak postanowienia noworoczne?

– Dokładnie.

Kolejna informacja, która wydawała się zupełnie niepotrzebna. Komisarz wstał i poprawił mankiety koszuli.

– Dziękuję panu za poświęcony czas.

– Mam nadzieję, że cokolwiek udało mi się wyjaśnić.

– Przynajmniej tyle, że nie sprawia pan wrażenia osoby składającej ofiary w Halloween i nie zarzyna kotów.

Karl również wstał.

– To właśnie jedno z największych kłamstw – mruknął. – Laveiści mają zwierzęta za święte. Sam LaVey był jednym z najsłynniejszych hodowców kotów...

– Wie pan, że ludzie wolą spiski. W hodowaniu kotów nie ma nic specjalnego. Lepiej się sprzedaje historia, w której mają poobcinane głowy.

Obaj mężczyźni poszli w stronę przedpokoju.

– Właśnie z tym mamy problem. – Karl zapalił kolejny żyrandol. – Proszę sobie wyobrazić, że kilka tygodni temu swoje podania członkowskie złożyło do nas dwóch podrostków. Najpierw pytali, dlaczego w pomieszczeniu nie ma choćby pentagramu, potem rozczarowała ich nasza debata. Akurat mieliśmy spotkanie. O LaVeyu nie mieli zielonego pojęcia. Chcieli chyba jakiegoś tajnego klubu, jak z horroru. Właśnie przez takich ludzi nie możemy trafić do powszechnej świadomości. Przez ludzi i przez stereotypy.

Światło alarmowe w mózgu komisarza rozbłysło na czerwono. Zawyla syrena.

– Kiedy tu przyszły te małolaty?

– Jak powiedziałem, jakieś dwa, trzy tygodnie temu.

– Rozumiem, że ich nie przyjęliście?

– Oczywiście, że nie. To nie jest nastoletni klub dewianta.

– Ma pan te oświadczenia, które przynieśli?

Karl przymknął oczy, starając się sobie przypomnieć.

– Wydaje mi się, że tak – odparł po chwili. – Zaraz poszukam.

Komisarz miał wrażenie, że nie usłyszał całej prawdy.

Kiedy tylko wszedł do samochodu, zadzwonił do niego posterunkowy Niedzielski. Młody policjant, dla którego wszelkie informacje były pilne. Albo jak mówiono w telewizji – gorące. Tym razem Deryło skrzywił się z nadzieją, że usłyszy coś naprawdę błahego. Żadnych nowych trupów, żadnych przełomowych dowodów.

– Właśnie otrzymaliśmy bilingi od operatora Marty Brzeskiej – oznajmił sympatyczny głos. – Chciałem dodzwonić się do aspiranta Brzeskiego, ale nie odbiera.

Nic dziwnego. Pewnie leży w łóżku z głową większą od dojrzałego arbuza.

– Co jest w tych bilingach?

– Ostatnia rozmowa trwała osiemnaście minut. Rozpoczęła się o dwudziestą czterdzieści jeden. Numer, z którym nawiązano połączenie, należy do niejakiego Konrada Różyckiego.

– Coś o nim wiemy?

– Nienotowany.

– Nic więcej?

Chwila ciszy.

– Jeszcze nie przekazałem sprawy dalej – Niedzielski odezwał się zmieszany. – Zadzwoniłem prawie od razu do pana, komisarzu. Ale z ciekawości sprawdziłem go w Google.

Deryło uruchomił silnik i podkręcił maksymalnie grzanie.

– Nie ma chyba osób nienotowanych w internecie?

– Dokładnie. Znalazłem stronę jego poradni. Jest renomowanym psychologiem, prowadzi też wykłady w kilku placówkach. Można poczytać jego artykuły naukowe. Mam przed sobą fragment napisanej przez niego książki o stadiach myślenia postformalnego, czymkolwiek by to było. Sprawia wrażenie rozprawy filozoficznej...

– Dobrze, już starczy – przerwał mu komisarz. – Masz jego adres?

– Makbeta trzy.

– Gdzie to jest, do cholery?

– Na Lipniaku, obok ulicy Parysa, boczna Wertera...

– Dzięki, znajdę.

Rozłączył się i wpisał adres do nawigacji. Mógł to załatwić jutro albo choćby zaraz zwalić na kogoś innego. Przez chwilę patrzył na kolorowy wyświetlacz. W sumie nie musiałyby specjalnie kluczyć, żeby dotrzeć na miejsce. Szacowany czas dojazdu wynosił czternaście minut. Poświęcenie do zaakceptowania. Poza tym coś go w tym wszystkim niepokoiło. Zastanawiające, że Robert Wolski nawet się nie zająknął o tym mężczyźnie. Podał cały katalog nazwisk znajomych, ale nie wspomniał o osobie, z którą jego żona rozmawiała tuż przed zaginięciem.

Deryło powoli wyjechał z parkingu. Pozwolił kierować się nawigacji.

Ulica Makbeta była właściwie kilkudziesięciometrowym zaułkiem, po którego obu stronach wznosiły się nowoczesne wille. Numer trzy znajdował się na samym jej końcu. Rząd dorodnych świerków, biały mur i solidna furtka. Z boku znajdował się utwardzony podjazd do garażu.

Komisarz zaparkował na wąskim chodniku, zastawiając całą jego szerokość. I tak prowadził on tylko do tego jednego domu. Nie wychodząc z samochodu, popatrzył na przeszkloną fasadę poddasza. Zero elegancji, zero domowego ciepła, za to korporacyjna surowość. Że też komuś podobał się taki styl.

W jednym z pokoi na górze paliło się światło. Przynajmniej nie przyjechał na marne. Miał dziwne przeczucie, że nie będzie to miła rozmowa. Wyszedł z auta i nacisnął guzik mosiężnego, eleganckiego domofonu. Zawieszona pod werandą kamera obróciła się bezgłośnie. Deryło, nie spodziewając się efektu, wyjął legitymację i potrząsnął nią w jej kierunku. Pomimo odległości i mroku najwyraźniej poprawnie przetworzyła obraz. Zamek bramki wydał z siebie elektryczny dźwięk. Komisarz pchnął furtkę i wszedł na podwórze.

Szybkim krokiem pokonał kilkanaście metrów w stronę werandy. Akurat kiedy chciał zadzwonić, drzwi się otworzyły. Stał w nich krępy, łysiejący blondyn.

– Dobra kamera. – Deryło nie wiedział, jak zacząć. – Porządny sprzęt.

– Co ma pan na myśli?

– Że wyostrzyła moją legitymację.

– Nie wyostrzyła – odparł blondyn. – Domyśliłem się, że to legitymacja. Kto inny i czym miałby machać przy wejściu?

– Też prawda. Swoją drogą, nie przywitałem się. Komisarz Deryło, policja.

Deryło wyciągnął dłoń, blondyn uściśnął ją, ale nie zaprosił gościa do środka.

– Konrad Różycki, obywatel.

Mało wyrafinowany żart, jak na psychologa.

– Mam kilka pytań dotyczących Marty Wolskiej – komisarz zaczął bez ogródek. – Zna ją pan?

– Martę? Oczywiście, że znam.

– Kiedy się pan z nią widział po raz ostatni?

– Przedwczoraj – bez zastanowienia odparł Różycki. – Coś się stało? Nie mogłem się do niej dodzwonić.

Deryło przyglądał mu się uważnie. Psycholog sprawiał wrażenie lekko zdenerwowanego i zarazem zakłopotanego. Mówił szybko, ale cicho, jakby się bał, że ktoś go podsłucha. Starał się patrzeć w oczy, ale nie był w stanie ukryć napięcia widocznego na twarzy. Do tego był wyraźnie zmarznięty. Stał w progu w koszuli z krótkim rękawem, dżinsach i klapkach.

Komisarz zerknął ponad jego ramieniem. W wysokim holu stała choinka. Przyozdobiono ją jedynie niebieskimi i czerwonymi bombkami oraz złotym łańcuchem. Była tak samo surowa, jak cała bryła domu. Ładniejsze stały w supermarketach.

– Skąd się znacie? – zapytał, przenosząc spojrzenie na psychologa.

– Często razem współpracujemy. Ale czy coś...

Deryło nie pozwolił mu zadać kolejny raz tego samego pytania. Sam zaczynał marznąć, co jedynie zwiększało jego wkurwienie na rozmówcę. A gdyby potraktować to jako szczególny przypadek? W uzasadnionych okolicznościach miał prawo wejść do każdego domu bez stosownego nakazu. Odsapnął, powstrzymując emocje. Mógł to rozegrać inaczej.

– Zgłoszono zaginięcie Marty Wolskiej.

Różycki wydawał się zaskoczony.

– Kiedy?

– Po raz ostatni widziano ją dwiętnastego grudnia wieczorem.

– Ale przecież...

– Wiemy, że niedługo przed zaginięciem rozmawiał z nią pan przez telefon. O czym?

- O projekcie, nad którym pracujemy. Badania statystyczne kilkudziesięciu pacjentów.
- I tylko o tym?

Nim psycholog zdążył się odezwać, Deryło przeszedł do ataku.

– Ukrywanie osoby uznanej za zaginioną jest przestępstwem ściganym z oskarżenia publicznego. Za jego popełnienie grozi kara pozbawienia wolności do lat czterech.

Wierutna bzdura. Doskonale wiedział, że taki czyn nie podpada pod żadne paragrafy. Ważne, że Różycki najwyraźniej uwierzył mu i zrozumiał sugestię. Lekko cofnął się i otworzył szerzej drzwi.

- Nie myśli pan chyba, że Marta jest u mnie?
- Ja tylko cytuję przepisy.
- Jeżeli pan chce, proszę samemu zobaczyć i...

Przerwał mu stukot kroków po terakocie. Nie ukrywając zdenerwowania, odwrócił się w stronę głębi domu.

– Moja żona... – szepnął.

W tym momencie pojawiła się obok niego wysoka, smukła blondynka. Miała ścięte do ramion włosy, wąskie usta i prosty nos, na którym tkwiły okulary w kształcie stworzonym dla żołą.

- Kto to jest? – zapytała Różyckiego.
- Pan jest policjantem.
- Coś się stało?

Blondynka czujnie spojrzała na Deryła.

– Rozpytuję w sprawie zaginięcia Marty Wolskiej. – Komisarz nie dostrzegł rozpaczliwego spojrzenia psychologa. – Znała ją pani?

Kobieta w jednej chwili poczerwieniała. Zacisnęła pięści, głośno wypuszczając powietrze.

- Ta suka?! – wrzasnęła. – I co niby mój mąż ma powiedzieć? Konrad?
- Nic nie wiem. – Różycki najwyraźniej chciał zapaść się pod ziemię. – Skąd niby...
- Ty gnoju!

Jedynie obecność Deryły powstrzymała blondynkę od dosadniejszych słów. Komisarz dowiedział się aż nadto. Nie miał zamiaru wchodzić do środka. Teraz mógł być już pewny, że Marta Wolska ani się nie ukrywa, ani nie jest przetrzymywana w tym domu.

– Co państwo robili dziewiętnastego grudnia wieczorem?

Różycki wyrwał się do odpowiedzi.

– Byliśmy w domu. Około dwudziestej pierwszej przyszli do nas znajomi. Janczewscy.

Poszukał wzrokiem aprobaty żony, ale ta zdobyła się jedynie na ciche sapnięcie.

– Może pan to sprawdzić – kontynuował psycholog. – Mieszkają na sąsiedniej ulicy i często spotykamy się na wieczorne oglądanie filmów. Raz u nich, raz u nas.

– To mi wystarczy.

Deryło zanotował adres, ale wątpił, aby Różycki kłamał. Mimo wszystko sprawa się komplikowała. Stara prawda mówiła, że wszyscy mają swoje tajemnice.

Komisarz wrócił do domu kilka minut po dziewiętnastej. Jego żona oglądała właśnie *Fakty*, a jakiś dziennikarzyna wymieniał świąteczne objazdy. Kolejna akcja policji miała zapewnić bezpieczeństwo i płynność ruchu. Jakby mogli wbić ludziom do głowy przykazanie rozsądku, niechlania przed prowadzeniem i zwykłej wyobraźni. W każdej innej sprawie Polacy mieli jej aż za dużo, ale dla kierowców najwyraźniej nie starczyło.

Słyszając jego kroki, Ewa poderwała się z kanapy i przełączyła kanał. Wiedziała, że nie znosi tego poprawnego politycznie gadania tak bardzo, jak rządowej propagandy w *Wiadomościach*. Wolał obejrzeć *Wieczorynkę*. Podeszła do komisarza i pocałowała go.

– Cały dzień nawet esemesa – pokiwała palcem. – Sama musiałam dzwonić.

– Przepraszam. Miałem Sajgonu ciąg dalszy. Już nie wiem, kiedy mam robić za Rambo, a kiedy za Terminatora.

Odwiśnię płaszcz, zdjął marynarkę i poszedł do łazienki.

– Zrobiłam kanapki.

Wiedział, że zawsze może na nią liczyć. Wysikał się, umył ręce i zrzucił skarpetki. Po całym dniu czuł, że jego stopy zaraz odpadną.

W telewizji leciała jakaś kreskówka. Chyba *Tom i Jerry*. Kiedyś go cholernie bawiła, ale teraz nie był w nastroju.

– Byłem z Brzeskim na akcji – powiedział, siadając przy stole. – Dostał w łeb metalowym prętem.

Ewa Deryło ściszyła telewizor i skupiła uwagę na mężu. Może niepotrzebnie ją martwił?

– Zalało go krwią, ale się podniósł.

– Jest w szpitalu?

– No właśnie w tym problem. – Wziął kanapkę z pastą z tuńczyka. – Zaklinał się, żeby nie dzwonił po pogotowie.

– Dlaczego?

– Nie chciał wyjść na gamonia. Wiesz, jaki on jest. A całą akcję spieprzyliśmy wspólnie od góry do dołu. Podręcznikowo.

– Rozumiem, że szukasz teraz mojej aprobaty i mam powiedzieć, że dobrze zrobiłeś?

– Sam nie wiem.

Napił się gorącej herbaty. Przyjemnie spłynęła mu do żołądka. Nie wiedział, czego oczekiwał od tej rozmowy. Być może niczego. Po prostu chciał zamienić kilka

słów, nie oceniać i nie być ocenianym. Nie wydawać rozkazów i nie słuchać ich od drugiej osoby.

– Jesteś za niego odpowiedzialny, jako kumpel i jako przełożony. – Ewa była głosem rozsądku.

– Zdawałeś sobie sprawę z sytuacji i podjąłeś decyzję. Teraz już pozamiatane, więc nie powinieneś się martwić na zapas. Oby z nim było w porządku.

– Oby.

Kolejna kanapka była z serem żółtym, krojoną w paski papryką i szynką szwarcwaldzką. Tom właśnie złapał Jerrego, a ten zdzielił go patelnią.

Komisarz pomyślał o mężczyźnie, który uciekł. Nie mógł nawet zapamiętać nazwiska jego i staruchy. Majski? Remski? Nieważne. Powinni dać wycisk sukinsynowi za sam fakt podniesienia ręki na funkcjonariusza. Sprać dupę zupełnie jak kiedyś ZOMO. Tylko czy ten gnojek był seryjnym porywaczem i mordercą? Sprawdzili jego kartotekę. Poza wybrykiem, za który został skazany lata temu, była pusta. Nawet sąsiedzi nigdy nie wzywali policji do awantur czy zbyt głośnej muzyki. Pomyślał, że właśnie tacy są najgorsi. Niewidoczni dla innych. Jak cienie.

Kiedy poszedł do szkoły policyjnej marzył o prowadzeniu najgorszych, najbardziej plugawych spraw. Chciał być lubelskim Brudnym Harrym albo męskim wydaniem Jodie Foster z *Milczenia owiec*. Dziecięce marzenia. Przez swoją ambicję nie mógł znaleźć nawet przyjaciół. Traktowany był jak dziwaczny odludek, z ekscentrycznym podejściem do życia. Nie uchodził wcale za kujona, ale

skutecznie zrażał otoczenie pewnością siebie, nonszalancją i surowością w ocenie innych. Do tego tkwił w świecie, który od dawna, a być może nigdy nie istniał. Zamiast przyjąć zaproszenie na kilka szybkich browarów, wołał usiąść w fotelu z *Żywotami cesarów* Swetoniusza i posłuchać Haydna. Albo Mozarta. Nienawidził tego, że miał na to coraz mniej czasu.

Pierwsze lata kariery zdruzżyły go. Tkwienie jako jeden z trybów maszyny, a nie jej motor napędowy, sprawiło, że każdego dnia chciał odejść. Do tego zamiast wielkich spraw wciąż asystował przy śmieciach. Nie przydzielono go nawet do kryminalnych, ale wylądował w narkotykowym. Pierwszą większą akcją, którą kierował, było zlikwidowanie plantacji marihuany. Dane operacyjne wskazywały na kilkusobowy gang, sieć kontaktów i wielkie pieniądze w grze. W rzeczywistości w podlubelskich barakach banda gówniarzy zasadziła krzaki, które nie miały nawet THC. Prawdziwe gówno, po którym totalny odlot wmawiali sobie jeszcze więksi kretyni. Wszystko by się rypło, gdyby nie szereg wątpliwych prawnie przesłuchań. W ich trakcie posypały się dalsze nazwiska. Świństwem ustawodawstwa antynarkotykowego było to, że dawało możliwość skazania właściwie jedynie na podstawie donosu, a sądy w imię moralności klepały wysokie wyroki. Niewiele potrzebował, aby media okrzyknęły Lublin stolicą polskich karteli. A skoro on je rozbił, doprowadził do bezlitosnego wyłapania członków i przywrócenia spokoju na ulicach, automatycznie stał się bohaterem. Konferencje, artykuły w branżowej prasie, nawet rozdział w jednym z podręczników sprawiły, że wpadł w trwający kilka lat okres samozadowolenia. Prawdziwe prosperity zadufania.

Zyskał czas na Swetoniusza i Haydna, ale zupełnie jak w filmie umknęło mu wtedy życie rodzinne. Oddalił się od Ewy, zapomniał o córce, a jednocześnie otoczyło go grono fałszywych przyjaciół. W większości byli to przymilający się podwładni, chcący wypłynąć u jego boku. To właśnie wtedy upodobał sobie kilka rodzajów koniaków i brandy. Brutalne oprzytomnienie przyszło jesienno dnia, kiedy wracał ze zorganizowanej w Krakowie konferencji. Na lekko oblodzonej obwodnicy jadący przed nim volkswagen wpadł najpierw w poślizg, a potem w jednej chwili z potężnym impetem uderzył w boczne barierki.

Deryło ze szczegółami pamiętał, jak wybiegł z auta i dopadł do powykręcanej miazgi metalu, jaka została z volkswagena. W środku były dwie osoby. Kierujący mężczyzna pochylał się nad zmasakrowanym ciałem żony. Jej głowa, którą rozbiła szybę, była cała oblepiona krwią, prawe ramię zostało zmiażdżone przez popalowaną blachę drzwi, a noga ugrzęzła przyskrzyniona przez cofnięty blok silnika. Nie wiedział, jak to możliwe, ale kobieta nadal żyła. Oddychała, charcząc i bulgocząc krwią, i starała się coś powiedzieć.

Pamiętał każde słowo rozmowy z dyspozytorem ratunkowym. Teren nie podlegał pod operacje lotnicze, a karetka miała przybyć za co najmniej kwadrans. Nachylił się nad kobietą, ale nie mógł jej pomóc. Kierowca nie odniósł prawie żadnych obrażeń i starał się uspokajać żonę potokiem chaotycznych słów. Ta odpowiadała niezmiennym charczeniem, które gdyby tylko mogła, zamieniłaby w krzyk oszalałego bólu.

– Ona nie przeżyje. – Nagłe słowa mężczyzny brzmiały całkiem trzeźwo. – Jestem lekarzem. Ona umiera, nie ma żadnych szans...

W tym momencie kobieta zebrała w sobie wszystkie siły i otworzyła nabiegłe krwią oczy. Jej twarz wypełnił grymas bezbrzeżnego cierpienia.

– Zabi...

Wyjęczała tylko tyle, ale od razu znał całe zdanie, które ugrzęzło w obrzmiałym gardle. Wtedy wymienił z jej mężem porozumiewawcze spojrzenie i zrobił coś, czego miał nigdy nie zapomnieć. Powoli, delikatnie ujął w obie dłonie jej głowę i z całych sił szarpnął. Usłyszał trzask kręgosłupa, krew płynąca z ust zapieniła się, a po chwili zapadła zupełna cisza. Kobieta nie żyła.

Przez całe miesiące dręczyły go koszmary. Wyrzuty sumienia spletały się z usprawiedliwieniami i napadami przygnębienia. Jednocześnie poświęcił więcej czasu rodzinie, na powrót oddalił się od obłudnych znajomych, a wkrótce przyszedł nieoczekiwany awans. Nigdy jednak nie zapomniał.

Czuł, że jeśli popełnił wtedy błąd, jeśli naruszył jakieś niepisane prawo natury, to właśnie dostał szansę pokuty. I to wcale nie przed Bogiem, ale przed samym sobą.

Kajdanki, którymi miała skrepowane dłonie, paliły na obtarciach nadgarstków. Skóra wokół była pozdzierana i schodziła płatami. Mięśnie rąk i ramion, wygięte od dziesiątek godzin tkwienia w nienaturalnej pozycji, co chwilę napinał mimowolny skurcz. Każdy oddech wypełniał przetyk bólem. Modliła się, żeby stracić przytomność.

Otaczała ją całkowita ciemność. Nie wiedziała, czy jest noc, czy dzień. W pomieszczeniu nie było okien, a już dawno straciła rachubę czasu. Ile mogła tu być? Kilka dni? Może tydzień? A może tak bardzo ciągnęły się jedynie godziny wypełnione strachem i łkaniem?

Ciemność kłuła oczy. Mózg wyszukiwał innych bodźców i wylapywał dobiegający zza ściany szloch. A może był to zwykły szum spływającej rurami wody? Ale przecież wyraźnie słyszała, że ktoś tam jest. Ktoś, kogo dręczy tak samo jak ją. I może nie tylko. Może to cały pałac pełen komnat dla uprowadzonych i zapomnianych. Wyjęty wprost z przerażającej baśni dla dorosłych. Może miała tu umrzeć i zostać na zawsze, jak w cmentarnej krypcie. Bez trumny, bez grobu, rozkładając się na kamiennej posadzce.

Chciała stracić przytomność i już się nie obudzić.

Gdyby uderzyła głową w mur, chwilę potem przyszlaby ulga. Powinna to zrobić z całej siły, z całym impetem. Rozłupując sobie czaszkę.

Uprzedziłaby go. Nie zdążyłby jej zrobić tego, o czym mówił. Wygrałaby.

Usłyszała stłumione tupanie. Nadchodził. Szedł tu. Jej serce zadudniło jeszcze mocniej, a pęcherz nie wytrzymał. Poczula, że mocz skleja jej spodnie i przesiąka na podłogę. Nie mogła opanować drżenia całego ciała.

Łoskot kroków był cięższy i głębszy niż zwykle. Do tego zlewał się w jeden odgłos z dziwnym szuraniem.

Przywarła do ściany, jakby dzięki temu mogła stać się niewidzialna. Łańcuch był napięty, a kajdanki wrzynały się w obtarcia, ale prawie nie czuła bólu. Strach pozbawił ją wszelkich innych odczuć. Przerazenie rozlało się po ciele, wykręcając każdy najdrobniejszy organ, każdą tętnicę, nerw i żyłę. Strach miał swój smak, zapach, a nawet kolor. Smak krwi sączącej się z przygryzanej od wewnątrz wargi, z jej rozbabranej tkanki i z opuchniętego języka. Zapach odchodów, stęchlizny oraz oblewającego ją potu. Kolor wirujących plam przed zaciśniętymi do obłędu oczami. Strach miał również swój dotyk. Paznokci wbijanych w dłonie, pękających i łamiących się u samej nasady. Rozdzierających delikatną skórę i nurzających się w jej własnej krwi. Tylko jego głos był stłumiony przez taśmę krępującą usta.

Drzwi otworzyły się, uderzając o ścianę. Rozwarła oczy. Po ich drugiej stronie także panowała ciemność i wzrok z trudem wylapał kontrast sylwetki. Innej niż zwykle, większej i masywniejszej. Upiorna postać, szurając, zbliżyła się do niej. Powoli, krok po kroku, delektując się jej przyspieszonym oddechem i odgłosem ciała w panice wciskającego się w ścianę.

Cień zatrzymał się tuż obok. Obniżył się i poczuła, że przesywa ją wzrokiem. Dreszcz przebiegł po jej karku i spłynął wzdłuż kręgosłupa.

Coś z tępym plaśnięciem wylądowało na posadzce przed nią. Następnie usłyszała brzęknięcie i odgłos zapalki przesuwanej po drasce.

Nagły błysk światła oślepił ją. Nie chciała widzieć. Zaciśnęła oczy, mając wrażenie, że powieki zaraz je zmiażdżą. Strużka potu ściekła z czoła po brwi i nosie.

– Patrz!

Ten głos nie znał sprzeciwu. Nakazywał, bez potrzeby podawania konsekwencji nieposłuszeństwa.

Załkała cicho.

Poczula ostrą krawędź przytkniętą do jej powieki. Wiedziała, że jeżeli sama nie otworzy oczu, on zrobi to za nią.

Odsunęła się do tyłu i zamrugnęła. Przez chwilę musiała przyzwycząić wzrok do delikatnego

światła wydobywającego się z lampy naftowej. Zobaczyła sylwetkę w ciemnych szatach i z zasłoniętą twarzą. Przeszywało ją zimne, upiorne spojrzenie oprawcy.

U jego stóp leżała nieprzytomna, skrępowana kobieta. Wyraźnie widziała, że jej pierś porusza się w rytmicznym oddechu.

– Znasz ją? – zapytał szeptem pełnym drwiny.

Figura, jaką mogło mieć mnóstwo jej koleżanek. Żadna z nich nie założyłaby jednak długiej białej sukni przypominającej szaty zakonne. Twarz była odwrócona w drugą stronę. Dostrzegł jej spojrzenie.

– To ci przeszkadza?

Chwyił leżącą kobietę za włosy i podniósł bezwładną głowę. Obrócił ją w jej stronę. Nie popatrzyła ani na opuchnięte oczy, ani na ładny, kształtny nos. Jedyne, co widziała, to oblepione krwią usta, przez których wargi przewleczono białą nić. Wyglądały jak najbrzydliwsza rana, zaszyta przez lekarza sadystę. Jak kawał mięsa, który obwiązuje się sznurkiem, aby nie rozpadł się podczas pieczenia.

– Poznajesz ją?

* * *

Pokręciła w przerażeniu głową. O wiele razy za dużo, niż to było potrzebne.

– Nie znasz. Ale ona słyszała wiele o tobie.

Głośny, charkoczący śmiech. W drżącym świetle lampy naftowej postać sprawiała wrażenie niematerialnej zjawy, która falowała w półmroku pomieszczenia i zaraz się miała rozpląnąć. Ale była tu i nie zniknęła. Przeciwnie, zbliżyła się do niej i przykucnęła.

– Nie jesteś ciekawa dlaczego? Na pewno jesteś.

Nieprzytomna kobieta cicho jęknęła i poruszyła się nieznacznie. Nie otworzyła jednak oczu.

– Mam coś dla ciebie.

Zjawa zafalowała wśród szat i położyła coś na podłodze. Coś małego i błyszczącego. Coś, co lśniło ostrością.

Brzytwę.

– Jeżeli wyprujesz z niej flaki, może ocalisz swoje życie. Po to, by odebrać je sobie sama. A uwierz mi, że to będzie dla ciebie wielka ulga.

Postać podniosła się i przeszła wzdłuż pomieszczenia. W jedną i w drugą stronę. Wreszcie zatrzymała się, stając za lampą naftową.

– Kiedy to już się skończy, kiedy nadejdzie czas, ten płomień ogarnie wszystko. I jeżeli nie wypatroszę cię do tego czasu, sama wybierzesz sobie samospalenie żywcem. Tymczasem spójrz na nią – znów głos zniżył się do szeptu. – Splugawiła się i poniosła za to karę. Ty też powinnaś ją splugawić.

Zjawa nachyliła się nad nieprzytomnym ciałem i przyłożyła palec do zaszytych, zakrwawionych warg.

– Nie jestem w tym dobry. Nie sądziłem, że skóra jest taka rozciągliwa i giętka. Musiałem dwa razy wypruć nić, żeby skończyła tak, jak chciałem. A wcześniej... – Znów utkwiał w niej lodowate spojrzenie. – A wcześniej wyciąłem jej plugawy język, którym chciała obracać. Kawał mięsa, z którego lała się krew. I bałem się, że ją zabiłem. Bałem się, że ją stracę. Że się wykrwawi na śmierć i umrze, zanim się do czegoś naprawdę przyda. Ale krwawienie nagle ustało i to był chyba pierwszy znak, który dostałem od przeznaczenia. Mogłem wyrwać ten kikut, ale niech memła nim na wieczną pamiątkę. Niech trzyma w ustach to, co jest hańbą. Zresztą już niedługo.

Postać wstała i długimi, kościstymi palcami wskazała na brzytwę.

– To jak, jej życie czy życie twoje? – wysyczała. – Bim-bom. Czas na decyzję.

Kobieta nie mogła być bliżej ściany. Stanowiła z nią jedną całość. Serce paliło w piersiach, a oddech nie wtłaczał powietrza do płuc. Strach ukazywał wszystkie swoje zmysły. Przenikał ją i otaczał.

– Mam tu coś, co pomoże ci ją podjąć.

Zjawa znów zafalowała. Na podłodze z szelestem wylądowały zdjęcia.

– Spójrz na to.

Popatrzyła i zamarła. Czuła, że kręci się jej w głowie. Chciała się obudzić i zapomnieć o tym koszmarze. To było niemożliwe!

– Moja droga Marto – zjawa syknęła. – Myślisz, że twój mąż nadal cię szuka? Otóż zabawia się z kochanką, choć nieco na uboczu. Widzisz, jaką różę jej kupił? Czy masz dalej po co żyć?

23 GRUDNIA

1

Telefon komisarza zaczął wibrować. Odgłos wyrwał go ze snu i wrył się cierniem w mózg. Intensywne światło ekranu zmusiło go do zmruczenia oczu.

– Słucham? – rzucił szeptem, chociaż Ewa także się obudziła.

Wziął komórkę i w samych slipkach podreptał do kuchni. Starannie zamknął za sobą drzwi.

– Posterunkowa Nowak.

– Jezu, która godzina?

– Minęła pierwsza, panie komisarzu.

– Mam się domyśleć, o co chodzi?

Chwila ciszy.

– Przepraszam, że niepokoję.

– Budzisz i niepokoisz.

– Mam informację o tych dwóch nastolatkach, co przyniósł pan te ich oświadczenia. Do satanistów.

Gdyby tak budował zdania sierżant Banach, nie zdziwiłby się. Ale pora nocna najwidoczniej odbierała

wszystkim podstawy gramatyki. Nawet potomkini pedantycznych Germanów.

– Co z nimi?

Przeciągnął dłonią po twarzy, starając się skupić.

– Teraz w szkołach jest przerwa świąteczna, ale nie pojawili się na lekcjach już dwa tygodnie temu. Przepadli. Rodzina jednego zgłosiła zaginięcie, drugiego nawet nie. To jakieś patologie, a ci gówniarze uciekali z domów już kilka razy.

– Hmm... – mruknął, choć posterunkowa nie mogła tego usłyszeć.

Dziwny zbieg okoliczności. Tylko że święta to okres standardowych uciezek i przygód młodzieży. Nie tak intensywnych jak w lecie, ale zawsze. Poza tym patologie nie uznają spędów rodzinnych. Walą wodę cały rok, więc spotkanie przy wigilijnym stole nie jest dla nich niczym nadzwyczajnym.

Zerknął na cyfrowy zegarek w radiu. Pierwsza trzynaste. Informacje przepływały mu przez mózg w tempie lodowca. Miał wrażenie, że neurony także pokryła warstwa lodu.

– Panie komisarzu?

Drgnął.

– Jestem, jestem.

– Czy mamy formalnie ich szukać jako podejrzanych?

Pytała go o to, czy mają wejść o piątej nad ranem do domów ich rodziców, wybebeszyć wszystkie szafy i zastrzelić agresywnego psa. Potem dobijaliby się do sąsiadów, aby się dowiedzieć, czy chłopcy przypalali w dzieciństwie mrówki, a jakby się okazało, że dokładnie tak, zawiadomiliby policję w całej Polsce. A może nawet Interpol. Wyjazdy do Anglii były popularne nie tylko na zmywak. Nad Tamizą siedziało pewnie więcej polskich przestępców niż w ich ojczystych więzieniach i aresztach łącznie.

– Nie – odparł krótko.

– Nie?

Posterunkowa zapewne już szykowała się do nocnej akcji. Najlepiej w towarzystwie kilku owczarków i dobermanów.

– Nic na nich nie mamy – westchnął Deryło. – Prokuratura nam tego nie przepuści. Jutro, o ludzkiej porze, trzeba będzie rozpytać sąsiadów. Może nawet porozmawiać z ich wychowawcą. Ale żadnych gwałtownych ruchów.

– W takim razie niepotrzebnie pana budziłam.

– Raczej.

Rozłączył się, nim zdążyła znowu przeprosić. Służbistka mu się trafiła. Gdyby wszyscy tacy byli,

po tygodniu wspólnej roboty przypominałby dywizjon pieprzonych zombie.

Napił się wody z butelki i na palcach wrócił do łóżka. Drugą noc z rzędu zasnął o normalnej porze. Teraz był jednak doskonale rozbudzony. Nie miał siły wlec się do gabinetu, ale czuł, że prędko nie zaśnie. Położył się

i utkwiał wzrok w suficie. Przebijające zza rolet światło latarni układało się w chaotyczne wzorki. Wręcz idealne do testu Rorschacha. Postarał się odprężyć, wyobrażając sobie, co przedstawiają.

Nie wiedział, że ktoś właśnie wpatruje się w okno jego sypialni.

Miłosz Tracz, profiler lubelskiej policji, był absolwentem psychologii, antropologii i kulturoznawstwa. Mimo że miał lekko ponad trzydzieści lat, sprawiał wrażenie osoby, która zjadła wszelkie rozumy. Zgadzałyby się to z plotkami, zgodnie z którymi ponoć właśnie obronił doktorat z filozofii. Potwierdzały to kędziory rudych włosów i bródka w tym samym odcieniu. Nic dziwnego, że nie miał czasu na napisanie porządnego raportu, a zaraz po ósmej przyszedł do komisarza z ustną opinią. Raport mógł być najwcześniej za kilka dni.

– I tak będę to musiał mieć na piśmie – skwitował zaspany Deryło. – Nie odpuszczę.

– Jak powiedziałem, potrzebuję na to czasu. To nie jest pisanie cholernego wiersza, tylko ciężka analiza.

– Może jej pan dokonać ustnie, więc może także pisemnie.

Wymienili pełne niechęci spojrzenia. Profiler, nie zważając na komisarza, rozłożył stojące w kącie krzesło. Żaden z jego ludzi nie odważył się tego zrobić, a ten podrostek wymierzał mu tym niemalże policzek. Deryło powstrzymał się jednak od komentarza. Wdawanie się teraz w pyskówkę spowodowałoby tylko to, że straciłby cenny czas. Poza tym umierał z niewyspania, a kofeina zdawała się tego dnia nie działać.

– No dobrze – odezwał się, kiedy profiler usiadł. – Słucham.

Tracz wyciągnął gruby notes, ale go nie otworzył. Mimo wszystko sprawiał wrażenie przygotowanego.

– Powinniśmy zacząć od lokalizacji. – Podniósł palec, jakby akcentował wypowiedane słowa. – Nasz sprawca nie wysilił się zbyt, by ukryć zwłoki. Porzucił je na asfaltowej drodze przy stacji benzynowej, do tego kilkadziesiąt metrów od jednej z głównych ulic – mówił szybko i składowo. – Nic nie wskazuje, żeby chociaż próbował zakryć ciało ofiary. Wręcz przeciwnie, eksponuje je, licząc, że właśnie tu je znajdziemy i że będzie dokładnie w przygotowanej przez niego formie. Wyobrażając sobie działanie sprawcy, powinniśmy pomyśleć o tym, że w każdej chwili mógł się pojawić niespodziewany przechodzień. Musiał działać szybko, ale mimo tego nie widzimy chaotycznego pośpiechu. Można by pomyśleć, że miejsce pozbycia się zwłok nie miało dla niego żadnego znaczenia. Ale...

Profiler zawiesił głos. Przewertował gruby notes, najwyraźniej oczekując reakcji komisarza. Kiedy ten nadal uparcie milczał, podszedł do zawieszanej na ścianie mapy i przytknął palec do miejsca, w którym znaleziono zwłoki.

– W tym wypadku, w tej konstrukcji okoliczności miejsce ma znaczenie. Nie wiem jakie. To będzie musiał ustalić pan, komisarzu, ale coś znaczy. Mógł ją zostawić wszędzie. W opuszczonym domu obok, w krzakach, ale nie zrobił tego. On zostawił ją na ścieżce. Chciał, żebyśmy znaleźli zwłoki. A położenie ich dokładnie tam to także część planu.

Komisarz przekładał długopis z dłoni do dłoni. Zerknął na mapę, ale siatka ulic, domów i obiektów publicznych nie mogła rozwiązać sprawy. Chodziło o bliskość stacji benzynowej? O opuszczony dom w pobliżu?

– Pewnie pan wie, komisarzu – ciągnął monotonnym głosem Tracz – że sprawcy, którzy okaleczają żywego człowieka lub bezczeszczą zwłoki, nigdy nie robią tego w sposób chaotyczny i przypadkowy. Zawsze kieruje nimi jakaś potrzeba, jakiś przymus wewnętrzny. To cecha wspólna nie tylko morderstw w Lublinie, Polsce, ale i w cywilizacjach Amazonii.

Deryło machnął ręką.

– Nie opowiadaj mi pan o Indianach, tylko trzymajmy się tego konkretnego trupa – warknął. – I tego konkretnego sprawcy, a nie grasującej w Ameryce czupakabry.

Tracz zbył tę uwagę pogardliwym spojrzeniem błękitnych oczu. Najwyraźniej uznał, że komisarz nie nadaje się do przyjmowania nowej wiedzy.

– Dokładnie przeczytałem raport patologa i laboratorium – podjął po chwili. – Skóra została wycięta perfekcyjnie ostrym narzędziem, ale sprawca wielokrotnie poprawiał jej krawędzie. Chodziło

mu o efekt. Pentagram miał być idealny, choć ostrze przykładał kilkadziesiąt razy. Proszę to sobie wyobrazić. Jeżeli żyła, a wiele na to wskazuje, musiała to być dla niej sadystyczna tortura. Liczba poprawek może wynikać z tego, że się szarpała. Była skrupowana, ale wrywała się na tyle, że sprawca nie mógł ciąć równo. Prawdopodobnie dopiero kiedy straciła przytomność, poszło mu bardziej gładko. Zapewne dlatego na dolnym fragmencie rany cięć jest mniej i są bardziej precyzyjne. Europejski standardowo działa od lewej do prawej i z góry na dół. Taka jest statystyka.

Komisarz skrzywił się na samo wyobrażenie tej sceny. Maniak wycinający pentagram na skórze delikatnej, niewinnej kobiety. No właśnie, czy aby na pewno niewinnej?

– Dlaczego wybrał właśnie ją? – zapytał.

– Chciałby pan od razu mieć wszystkie odpowiedzi. A nie dał mi pan, komisarzu, żadnych wskazówek.

– A czego żeś się spodziewał? Sprawcy posadzonego na kozetce?

– Nie wiemy, kim była ofiara. To ma zasadnicze znaczenie. Bez tego błądzimy we mgle, wędrujemy całkowicie po omacku...

Komisarz cierpliwie znosił te metafory.

– Dopiero ustalenie tożsamości pozwoli na stworzenie pełniejszego rysu psychologicznego. Chociaż nie zdziwiłbym się, gdyby on specjalnie maskował to, kim była ta kobieta. Pogrywa z nami jej ciałem, a dla siebie zachowuje duszę, że się tak wyrażę. W tym momencie powinniśmy się jednak skupić na usuniętej powłoce skóry. To nas łączy z mordercą. To jego okno na nas, a przez to pozwala nam zajrzeć także do siebie. Dlatego wyjaśnić musimy nie tylko motyw morderstwa, ale przede wszystkim okaleczenia. To właśnie on z perspektywy psychologicznej może nas doprowadzić do sprawcy.

Tracz schował notatnik i wyprostował się.

– Czyli całe gówno pan ustaliłeś. – Komisarz był poirytowany straconym czasem. – Tysiąc okrągłych słówek, wzmianka o Indianach i żadnych konkretów. Jak zwykle wróżenie z fusów.

Profiler był najwyraźniej obruszony.

– Chce pan konkretów? – parsknął. – Sam je pan powinien ustalić. Ja mam interpretować fakty, a nie je sobie podawać. Pan, komisarzu, nawet tego nie zrobił.

– Niech sobie pan daruje to biadolenie.

Komisarz podniósł się z fotela. Tracz jednak się tym nie zraził.

– Zastanowił się pan chociaż nad listem? *Proszę mi wybaczyć. Tak bardzo jak Pan chcę, żeby przy mnie została* – zacytował. – Pewnie nie zwrócił pan na to żadnej uwagi. A do tego podpis. Cztery ikсы, w tym trzy pisane łącznie.

Deryło kilka razy starał się zinterpretować treść listu, ale rzeczywiście nigdy nie skupił się na podpisie.

– Takie osoby przykładają cholerną wagę do podpisu. Wycięty kawałek skóry to ich wizytówka, a podpis to osobowość. Jeżeli rozwiąże pan zagadkę czterech ikсы, wtedy będzie tuż za mordercą.

W tym momencie zadzwonił telefon stojący na biurku. Komisarz, nie siadając, pochylił się nad blatem i sięgnął po słuchawkę. Przez chwilę uważnie słuchał, a jego twarz zmieniała się pod wpływem emocji. Zaciskał szczęki, purpurowiał, głęboko oddychał. Wreszcie z całą siłą walnął słuchawką o widełki.

– Mamy kolejną ofiarę – warknął, opierając się o biurko. – Tym razem jedziesz pan ze mną.

W tym samym czasie posterunkowi Lubecka i Wiertel byli jedną z kilku par funkcjonariuszy przemierzających osiedle na Czubach w celu odnalezienia dwójki zbiegłych z domu nastolatków. Formalnie obaj mieli po osiemnaście lat, więc poszukiwania dotyczyły tylko Wiktora Puszkęgo, którego zaginięcie zgłosiła rodzina. Matka drugiego – Daniela Kosa (ojciec od paru lat pracował w Niemczech) – utrzymywała, że ten z całą pewnością za kilka dni się odnajdzie. Ekscesy ze zniknięciami syna z domu nie były dla niej niczym nowym, tym bardziej że ze względu na widoczny ciąg alkoholowy godziny jego nieobecności zlewały jej się zapewne w jedno.

Wiertel lekko utykał. Jego nowe służbowe buty wciąż się nie rozeszły i cholewa przy każdym kroku wbijała się w stopę.

– Jeszcze dwa bloki i możemy iść coś przekąsić – mruknął. – Można było zacząć po południu, wtedy więcej ludzi jest w domach.

– Słyszałeś, jak komisarz się wściekał. Po południu obejdziemy te adresy, w których nikogo nie było.

– A później padniemy na pysk od tego ganiań po schodach. Żeby tu jeszcze były windy.

– Nie narzekaj. Moglibyśmy właśnie siedzieć w radiowozie i się nudzić.

– Wolałbym siedzieć w radiowozie.

– Przynajmniej czuję, że w czymś możemy pomóc. Że nasza robota ma jakiś sens.

– Testowanie policyjnych butów? A może wypełnianie ankiety do magisterki pod tytułem „Reakcja przeciętnego obywatela na niespodziewaną wizytę dwóch psów rasy posterunkowiec pospolity”?

Lubecka szturchnęła go w ramię. Lubiła to przekomarżanie i drwinę w jego głosie, ale czasem mógłby się zamknąć. Demotywuując samego siebie, demotywowował również ją.

Kiedy mieli już skręcić w stronę kolejnej klatki, zobaczyła, że na trzepaku pod blokiem bawi się siedmio-, może ośmioletni chłopiec.

– Niemożliwe – skwitowała.

– Co jest niemożliwe?

– Że są jeszcze dzieciaki, które bawią się na trzepakach, a nie siedzą w domu, rozwalając sobie łby w *Call of Duty* albo *Battlefieldzie*.

– To stare gry, jesteś nie na czasie.

– Mój brat wyprowadził się z domu sześć lat temu.

Lubecka zatrzymała się kilka metrów od chłopca i wyciągnęła zdjęcia.

– Jak myślisz, jest sens?

Wiertel wzruszył ramionami.

– Przynajmniej o kilka sekund odsuniemy wspinaczkę po schodach.

– Przekonajmy się.

– Ty z nim gadaj. Taki knypek bardziej zaufa kobiecie niż facetowi.

Posterunkowa pokręciła wymownie głową i ruszyła w stronę chłopca. Podchodząc do trzepaka, zamachała do niego wesoło i się uśmiechnęła.

– Witam młodego pana – odezwała się. – Jestem Kamila, jestem policjantem.

Malec zeskoczył z trzepaka i popatrzył na nią z zaciekawieniem.

– A ty, jak się nazywasz?

– Dawid.

– O, jak ładnie!

Wyciągnęła do chłopca dłoń, a on ją delikatnie uściśnął.

– Dawidzie, chciałabym zadać ci kilka pytań. Postarasz się mi odpowiedzieć?

– Jakich pytań, proszę pani?

Lubecka pokazała mu zdjęcia.

– Przyjrzyj się uważnie – powiedziała spokojnym głosem. – Czy znasz tych młodzieniaszków?
Chłopiec uważnie obejrzał fotografie, wreszcie zdecydowanie pokiwał głową.

– Znam ich. Są już dorośli, proszę pani.

Lubecka wymieniła z Wiertelkiem porozumiewawcze spojrzenia.

– I mieszkają tutaj?

– Tak. Jeden w tym bloku, a drugim w bloku za tym. Ale oni, proszę pani, mają taką swoją ukrytą bazę – powiedział przyciszonym głosem.

Kolejna wymiana spojrzeń. Czyżby wystarczyło dobrze trafić i wszystko szło gładko? To się nazywa fart.

– A możesz mi powiedzieć, gdzie jest ta baza?

Chłopiec zamyślił się, a po chwili pokręcił głową.

– Nie mogę, proszę pani. To tajemnica. Oni tam robią różne rzeczy i starsi chłopcy mówią, że nie możemy się wygadać.

– Co takiego robią? To chyba nie jest sekret.

– Chyba nie, proszę pani.

– A więc co takiego robią?

– Kiedyś widziałem, jak zakopali małego psa. Pałają też takie śmierdzące papierosy i piją wino.

Ale oni są już dorośli.

– I nie mógłbyś mi zdradzić, gdzie jest ta baza?

Lubecka konspiracyjnie nachyliła się nad malcem.

– Nie mogę, proszę pani.

– Może podzielisz się ze mną tą tajemnicą?

Chłopiec nerwowo pokręcił głową.

Wiertela trafiał szlag. Mały kapuś nie miał skrupułów przed doniesieniem na starszych kolegów, ale ukrywał miejsce ich przestępstw. Pokrętna logika młodego pokolenia. Skutek puszczenia w telewizji *Ojca chrzestnego* jako filmu wyłącznie dla pełnoletnich.

Podszedł szybko do chłopca i zmierzył go surowym spojrzeniem.

– Jeżeli nie powiesz, gdzie spotykają się ci chłopcy – powiedział groźnie – to będę musiał pójść aresztować twojego tatę i twoją mamę. Jesteś prawie dorosły, więc na pewno wiesz, że dorośli muszą być odpowiedzialni za to, co robią. Rozumiesz? Liczę do trzech, a jeżeli skończę, możesz mi wierzyć, że przez długi czas nie zobaczysz rodziców.

Malec spojrzał na policjanta ze strachem.

– Raz.

W jego oczach pojawiły się łzy.

– Dwa.

Wiertel wiedział, że wygrał.

– Trz...

– Na działkach w wąwozie za ulicą! – krzyknął rozpaczliwie malec. – Tylko proszę, niech pan nie robi krzywdy mamie i tacie!

– Grzeczny chłopiec.

Posterunkowa Lubecka spojrzała na niego wymownie.

– Znalazł ją ten biedaczek, dozorca. – Młody, pyzaty ksiądz był zupełnie roztrzęsiony. – Od razu przybiegł do mnie i poprowadził mnie na miejsce. Nie było się nad czym zastanawiać, na pierwszy rzut oka było widać, że jest martwa. Wtedy, panie komisarzu, zadzwoniliśmy na alarmowy i wezwaliśmy pogotowie i policję.

– To pierwsze najwyraźniej niepotrzebnie – skwitował Deryło.

Przeszedł pomiędzy nagrobkami, uważając, aby nie stanąć na płytę. Podążył tuż za księdzem, za nimi szedł sierżant Banach, a pochód zamykał Miłosz Tracz. O dziwo, technicy byli już ponoć na miejscu. Natomiast prokurator oczywiście był w drodze.

– Coś strasznego. – Ksiądz co chwilę kręcił głową. – Coś strasznego.

– Niczego nie ruszaliście?

– Broń Panie Boże, niczego. Tylko się nachyliłem i już wiedziałem, co to będzie za sprawa. Od razu zrozumiałem, że spokój pochówków zakłóca syreny i krzątający się wokół ludzie. Coś strasznego. I to w takim miejscu!

– O której to było?

– Gdybym tylko zwrócił na to uwagę, a to człowiek w szoku był, a wtedy czas leci błyskawicznie.

Może czterdzieści, może pięćdziesiąt minut temu. Nie minęła na pewno godzina.

Deryło zerknął na zegarek. Była dziewięta dwanaście.

– To uczęszczana część cmentarza?

– Jedna z najmniej. Kilkanaście kwater, wszystkie właściwie pod murem, a większość już od lat nieodwiedzana. Umowy na niektóre już wygasają i powoli je likwidujemy, więc będą nowi lokatorzy.

Pod murem. To były słowa klucze, podpowiadające, jak ciało mogło się tam znaleźć. O nazywaniu zwłok lokatorami Deryło nie zmierzał nawet myśleć. Nieświadomie włożył dłoń do kieszeni i wyszukał srebrną monetę. Była na swoim miejscu. Kilkukrotnie obrócił ją pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym.

– Zamykacie cmentarz na noc? – zapytał, przyspieszając kroku.

– Tak, panie komisarzu. Dozorca otwiera bramy codziennie punkt siódma i zamyka je o dwudziestej pierwszej. No, chyba że są święta, wtedy dodajemy jeszcze po godzinie.

– Gdzie jest ten dozorca?

– Pogotowie musiało się zająć biedaczkiem. On, panie komisarzu, jest już stary, a tu takie coś go spotyka. Mój Panie Boże, to odrażające.

Minęli szereg cyprysów i ponownie lawirując pomiędzy grobami, przeszli na żwirową aleję. W samym narożniku cmentarza rozstawiono policyjne parawany, wokół których uwijało się kilka osób.

– Coś strasznego, panie komisarzu – po raz kolejny powtórzył ksiądz. – Sam pan zobaczy.

Zatrzymał się w bezpiecznej odległości od otwartego wykopu i ciężko oddychał. Deryło, nie zważając na niego, wymienił zdawkowe powitane z technikami i ruszył w stronę grobu. Pokruszoną, betonową płytę zsunięto na bok, a ceglana podmurówka rozmontowana. Obok leżały drewniane fragmenty rusztowania.

– To już tak było? – zapytał Banach, przypominając o swojej obecności.

– Tak – odparł krótko ksiądz. – Właśnie likwidowaliśmy tę kwaterę.

Komisarz przez chwilę ociągał się ze spojrzeniem w dół. Zanim to zrobił, poszukał wzrokiem profilerą.

– Proszę bliżej, panie Tracz. Może teraz będzie mógł pan powiedzieć coś więcej.

Obaj mężczyźni stanęli na samej krawędzi grobu. Deryło spojrzał w dół i poczuł, jak zółć momentalnie podchodzi mu do gardła.

Czegoś takiego nie widział nawet na filmach. Od nagiego tułowia kobiety odcięte zostały wszystkie kończyny. Ułożono je prostopadle do ciała, pod pewnym kątem, aby tylko upchnąć je w grobie. Nogi w miejscu rąk, a ręce przytknięte do bioder. Żywa biel kości i stawów nawet w zimowym świetle odcinała się od matowej czerwieni poszarpanego mięsa. Żółtoszare ciało przypominało powłokę przeterminowanego kurczaka, który zaczynał trącić zgnilizną. Najgorsza komisarzowi wydała się jednak szyja. A raczej kark, odwrócony o sto osiemdziesiąt stopni, którego zerwana, pofałdowana skóra była w miejscu, gdzie powinien znajdować się przełyk. Zamiast twarzy kłębiły się za to ciemne, zmierzwiłe włosy, zlepione ziemią, a zapewne także potem i krwią.

Deryło powiódł wzrokiem po odciętych rękach i zatrzymał spojrzenie na połamanych, sterczących pionowo paznokciach. Palce były powyginane w rozmaitych kierunkach, a ich kości zapewne całkowicie pogruchotane. Kiedy do nosa komisarza dotarł mdły zapach rodem z prosekatorium, odwrócił się i odkaszlnął. Myślał, że zwymiotuje, ale żółć zatrzymała się gdzieś nad żołądkiem. Poczuł tylko jej kwaśny posmak.

– Osz kurwa. – Wyprostował się.

Kątem oka zarejestrował pełne wyrzutu spojrzenie księdza, ale miał je w dupie. Tracząc również odszedł od grobu i zapalił papierosa. Najwyraźniej wolał dokonywać analizy na podstawie zdjęć i akt sprawy niż naocznych oględzin. Banach nawet nie podszedł do wykopu i stał kilka metrów dalej. Oczywiście było to uzasadnione proceduralną kwestią niezacierania śladów.

Komisarz skinął głową w stronę techników.

– Możecie zaczynać, prokurator jak zwykle będzie spóźniony.

Nie odwracając się, ruszył w stronę księdza. Ten rozłożył bezradnie dłonie.

– Coś strasznego, prawda? Że też ziemia nosi takich zwyrodnialców.

– Ano.

– I to brat bratu, a właściwie siostrze, zgotował ten los.

Ależ pieprzenie. Nie mógł znieść tego tonu pełnego płytkiego pietyzmu. Normalnie jakby stał pod amboną i słuchał kazania. Piękne słówka, niby elokwencja, a wszystko podszyte marazmem i z tym samym bitem w tle. Wojtyła, ten to potrafił mówić.

– A wszystko to stworzenia Boże – parsknął. – Niech je szlag.

Nawet nie zwrócił uwagi na reakcję księdza. Jeszcze raz uważnie popatrzył na okoliczne groby, a potem na pobliski mur. Morderca mógł przynieść szczątki na kilka razy przez główną bramę. Miałby, co prawda, problem z tułowiem, ale nie było to niewykonalne. Bardziej prawdopodobne jednak, że przerzucił je kawałek po kawałku przez ogrodzenie.

Ciągle czując pieczenie przełyku, podszedł do otynkowanej krawędzi muru. Niecałe dwa metry, dałoby radę przeskoczyć, przytrzymując się wypustki na górze. Spróbował to zasymulować i podciągnął się, spoglądając na drugą stronę. Szeroki trawnik, dalej parking i dopiero dobrych kilkadziesiąt metrów w głąb ulica. Puścił się i opadł na ziemię, prosto w błoto. Nawet nie zaklął.

– Zabezpieczcie teren z obu stron – krzyknął w stronę grupki policjantów. – Chcę mieć przebadaną też ziemię na zewnątrz. Być może na murze są jakieś ślady.

W tym momencie usłyszał głośnie sapanie i kroki rozgniatające żwir. Odwrócił się. Prokurator Malczewski, czerwony jak burak, pędził w jego stronę. Rewolwer w skórzanej kaburze objął się o jego bok. Prawdziwy mistrz pozerstwa, pewnie spóźnił się, bo nie wiedział, jak dopiąć klamry. Ale społeczeństwo ma poczucie, że niezłomny szeryf w znoszonym garniturze urzędnika zawsze czuwa. Aż dziw, że tak zwlekał z konferencją prasową. Zagorzały członek ludu smoleńskiego nie musiał się najwyraźniej tłumaczyć przed ministrem.

– Witam prokuratora!

– Nie zaczekaliście na mnie – Malczewski parsknął z wyrzutem. – Czynności powinny być wykonywane pod moim nadzorem.

– W każdej chwili może zacząć padać, a pana nie było. Nie chcieliśmy, żeby rozmyły się wszystkie ślady.

– Wyrwali mnie z domu, nie miałem dzisiaj dyżuru. Ale skoro już prowadzę tę cholerną sprawę, to uznali mnie za niezbędnego. – Oczywiście podkreślił ostatnie słowo. – Zebrałem się tak szybko, jak mogłem.

Minął komisarza i ruszył w stronę grobu.

– Wyjątkowo paskudna sprawa. Nieprzyjemny widok – ostrzegł go Deryło.

Prokurator się zatrzymał.

– Nie będę przeszkadzał technikom – stwierdził po namyśle. – Zobaczą wszystko na zdjęciach.

– I słusznie. Oglądanie zwłok nic nigdy nie daje. Pan Tracz powinien się tym zająć i położyć do tego cholernego dołu, myśląc o tym, co chciał osiągnąć sprawca. Tak to przynajmniej robią w Stanach.

Poszukał wzrokiem profilerę, ale ten dopalił papierosa i stał teraz z otwartym zeszytem. Pilnie notując, co chwilę oblizywał wargi. Może wpadł na pomysł tematu doktoratu o zachowaniach plemion amazońskich albo seryjnych mordercach w ich społeczności. Niczego więcej się po nim nie spodziewał.

– Od lat stawiamy na rozwój technik kryminalistycznych – sparował prokurator. – Nie powinien pan kwestionować kompetencji kolegów.

– Nie wierzę w astrologię.

Malczewski głośno westchnął.

– Znowu jakieś satanistyczne znaki?

Komisarz właśnie coś sobie uświadomił. Nie potrzebował żadnego profilerę. Koncepcja mordercy była oczywista. Przed oczami stanęły mu jeszcze raz oderżnięte kończyny, przytknięte w szaleńczym zamyśle do okaleczonego tułowia.

– Na razie nie widziałem ani wyciętych trzech szóstek, ani pentagramu – mruknął. – Tylko że jej ciało przypomina sprofanowany, sadystyczny krzyż.

Posterunkowi Lubecka i Wiertel ustalili, gdzie dokładnie znajduje się wskazane przez chłopca miejsce, i niezwłocznie udali się w jego kierunku. Wąwóz na Czubach miał dobrych kilka kilometrów długości, ale ogródki działkowe zlokalizowane były jedynie na jego zachodnim krańcu. Zielona altanka z czerwonym blaszanym dachem też wyraźnie zawężała obszar poszukiwań. Okazało się, że jest tylko jedna, odsunięta od ścieżki i ukryta za ogołoconym o tej porze roku żywopłotem. Tuż obok niej został ustawiony betonowy grill, a nieco dalej również betonowa ława. Mimo zainwestowanych środków działka była najwyraźniej od dawna nieodwiedzana przez właścicieli. Altankę zamiast trawnika otaczało błotniste klepisko z pojedynczymi kępkami zmarzniętej trawy. Wokół poniewierały się smagane wiatrem worki foliowe, sterty butelek i rozkładające się papiery. Jeden sznur huštawki zawieszony na drzewie oderwał się i konstrukcja zwisała w rozpaczliwym wspomnieniu lepszych czasów.

– Jak myślisz, są tam? – Wiertel zatrzymał się kilka metrów od furtki. Stali zasłonięci przez pozbawiony liści, ale gęsty żywopłot.

– Jeżeli mamy trochę szczęścia.

– Ja w tym nie widziałbym nic szczęśliwego.

– Moglibyśmy się jakoś wykazać.

– Pamiętaj, że nie są podejrzanymi. Nie mamy żadnych uprawnień, żeby ich zatrzymać.

Lubecka westchnęła.

– Nie ma się nad czym zastanawiać. Po prostu tam wejdźmy i zobaczymy, co będzie. Jeden z nich jest w końcu uważany za zaginionego.

– A jeżeli na tej posesji zakopane są zwłoki, a w altance trzymają trumnę z Drakulą?

– Przestań. – Lubecka podeszła do furtki. – W razie czego nie mają jak uciec, z tyłu jest skarpa, a przez ten żywopłot tak łatwo nie przeskoczą.

Pociągnęła za metalową klamkę, a zamek ustąpił. Kolejny sukces.

– Sprawdź, czy nie ma drzwi z tyłu.

Delikatnie pchnęła bramkę i wskazała, że będzie szła prawą stroną działki. Wiertel skierował się wzdłuż krzaków naprzeciwko. Posuwali się powoli, czujnie zerkając w stronę maleńkiego okna w ścianie altanki. Zapewne wewnątrz było tylko jedno pomieszczenie, ewentualnie jakaś maleńka kuchnia. Lubecka dopiero teraz zobaczyła, że w głębi działki, pod samą skarpią, pochylał się ku ziemi drewniany wychodek. Wątpiła, czy rozchodzące się deski i opadające z zawiasów drzwi zdołają przetrwać tę zimę. Pomyślała, że jeżeli ktoś chciałby przeżyć w altance, musiałyby ściągnąć do niej przenośne piecyki, a do tego agregaty prądotwórcze. Słupów elektrycznych nie było nigdzie w pobliżu.

Wiertel ominął składowisko puszek i butelek po piwie. Wydawało się całkiem świeże, nierozgarnięte jeszcze przez wiatr. Etykiety nie rozmokły i wciąż tkwiły przyklejone do szkła. Zerknął na zwalistą bryłę grilla. Zdawało mu się, że ułożony na palenisku węgiel nadal się tli, ale równie dobrze mogło to być złudzenie.

Lubecka była już obok ściany altanki. Pokazała mu gestem, żeby obszedł ją od tyłu. Odpowiedział jej skinieniem głowy.

Zdziwiłby się, gdyby oprócz drzwi od frontu było jeszcze wejście z drugiej strony, ale musiał sprawdzić. Równie dobrze mogło tam być większe okno. Tylko kto robi duże okno w działkowej altanie? Zaraz przyciągnęłoby złodziei i dzikich lokatorów. Ale ci gówniarze byli przecież dzikimi lokatorami.

Truchtem przeciął na ukos posesję i zbliżył się do krawędzi budynku. Wyrzał zza rogu. Tylńa ściana była pomazana graffiti, lecz stanowiła ją jednolita płaszczyzna desek. Żadnych okien, okienek czy choćby otworu wentylacyjnego. Przyłożył do niej ucho, ale ze środka nie dobiegał żaden odgłos. A może to drewno wystarczająco tłumiło hałasy.

Właśnie zamierzał zawrócić, kiedy usłyszał pusty huk od frontu budowli. W ułamku sekundy uświadomił sobie, że to drzwi altanki z impetem rąbnęły o ścianę. Nie zważając na uciskający but, rzucił się w ich stronę.

Kiedy wypadł z za węgła, zobaczył, że ktoś właśnie powala posterunkową Lubecką. Potężny cios wymierzony w jej szczękę był nie do zatrzymania. Kobieta nie zdążyła ani się osłonić, ani uchylić. Runęła jak długa na ziemię. Napastnik natychmiast odskoczył i pognął w stronę uchylonej furtki.

Wiertel ćwiczoną setki razy gestem sięgnął do kabury. Muśnięciem palców odpiął zatrzaśki i wyciągnął pistolet. Kątem oka dostrzegł, że Lubecka powoli się podnosi, również kierując dłoń do boku. Wszystko działo się zupełnie jak na rwącym się filmie, którego był mimowolnym bohaterem.

– Stać, policja!

Zapomniał dodać wymaganego przez ministerialne rozporządzenia „bo strzelam”. Zamiast tego rozległ się huk wystrzału ostrzegawczego, a jego ramię szarpnął odrzut. Uciekający nie zareagował, był już kilka kroków od bramki. Pędził potężnymi susami, rozbryzując wokół siebie moką ziemię. Jeszcze sekunda lub dwie, a znajdzie się na zewnątrz.

Posterunkowy wymierzył. Wstrzymał oddech, rozluźnił mięśnie i wystrzelił ponownie. Wyraźnie widział, jak kula trafia w plecy uciekającego, tuż ponad linią bioder, a jego ciało się wygina. Gdyby się właśnie nie potknął, zostałby ranny jedynie w nogę.

Postać w ciemnym ubraniu przebiegła jeszcze dwa kroki i padła z łoskotem na ziemię.

Lubecka i Wiertel równocześnie rzucili się w jej kierunku. Posterunkowa machinalnie wyciągnęła telefon i wybrała numer ratunkowy.

Kiedy dopadli do leżącego, Wiertel obrócił go na bok i przytknął palec do nabrzmiałej szyi. Z ulgą stwierdził, że puls jest słaby, ale wyczuwalny. Dopiero wtedy przyjrzał się pociągłej, lekko zarośniętej twarzy zmęczonego życiem czterdziestolatka. Czarne, przyprószone siwizną włosy, głębokie zmarszczki pod oczami i szerokie, łaknące powietrza nozdrza. Nie mógł się pomylić.

– Mamy go – stwierdził, ale jego głos zagłuszało bicie serca.

– Wysnuł pan jakieś dalsze wnioski?

Komisarz wymownie popatrzył na Tracza. Siedzieli na tylnym siedzeniu policyjnego opłakującego przez centrum miasta. Deryło postanowił, że złoży domową wizytę Brzeskiemu, a na komendę wróci dopiero później. Czuł wewnętrzny obowiązek odwiedzenia podwładnego, choćby niegroźnie ranionego na służbie. Wolne na żądanie zamiast wystawionego przez lekarza L4 było ze strony aspiranta sympatycznym ukłonem w jego stronę. Takie postępowanie należało szanować.

– Muszę to wszystko poukładać. – Tracz był wciąż blady i nerwowy. – Wynotowałem sobie niektóre szczegóły i kilka myśli, które mi przyszły na gorąco.

A jednak. Czyli miał do tego swojego psychologicznego znachorstwa naukowe podejście.

– Na przykład? – Komisarz nie dawał za wygraną.

– Na przykład to, że wykręcił jej kark, praktycznie odrywając głowę. Dlaczego to zrobił? Czy nie chciał, żeby po śmierci na niego patrzyła? A może dlatego, żeby nie patrzyła w niebo, ale w stronę przysłowiowego piekła, które znajduje się pod naszymi stopami. To moim zdaniem kolejny klucz do osobowości sprawcy. Okaleczone i wycięte kończyny to tylko misterium – profiler z rozmysłem użył tego słowa. – Podobne do płatu skóry wyciętego w kształcie pentagramu. Ale to właśnie odwrócona głowa zastąpiła użyty ostatnim razem różaniec.

Komisarz skinął w zamyśleniu głową. Jego zdaniem porównywanie tych całkowicie odmiennych atrybutów nie miało sensu. Dopuszczał jednak możliwość, że profiler miał rację. Rzeczywiście, różaniec włożony w dłonie zamordowanej stanowił istotną cechę całego przypadku. Tym razem, przynajmniej na pierwszy rzut oka, niczego takiego nie było. Ale że skrecona głowa?

– Jeszcze jedno. – Tracz najwyraźniej się rozkręcał. – Ostatnia ofiara miała ślady brutalnego podwieszania na piersiach i przebicia ich najprawdopodobniej metalowymi linkami. To mogło sugerować motyw seksualny albo odnoszący się do sfery erotyki. Ale już wtedy nie pasowało mi to, że nie stwierdzono żadnych obrażeń genitaliów, odbytu albo śladów stosunku.

– I co to niby oznacza?

– Wiem, panie komisarzu, że znowu mówię nieprecyzyjnie, ale możliwości jest kilka. Stawiałbym na jedną z dwóch. Albo sprawcy zależy na ukryciu prawdziwego motywu zabójstwa i celowo zwodzi nas tymi pozorami satanizmu i erotycznym przebijaniem piersi. Albo... Albo chciał doprowadzić swoją ofiarę do absurdalnego cierpienia, które dawało mu satysfakcję czy też podniecenie. To ostatnie również wydaje mi się mniej prawdopodobne, z wymienionych przed chwilą powodów.

– Sugeruje pan, że motyw religijny może być tylko przykrywką?

– Jest to prawdopodobne.

– I w jednym, i w drugim przypadku jesteśmy w dupie.

Komisarz pomyślał, że wtedy szlag by trafił wszelkie dotychczasowe wysiłki. Cała koncepcja, z którą podszedł do sprawy, rozsypałaby się jak domek z kart. Prawdopodobne nie znaczy jednak pewne. Tym razem Tracz podsunął mu kilka teorii, a on powinien się nad nimi po prostu pochylić.

Kierowca zwolnił i zatrzymał się w zatoczce autobusowej. Blok, w którym mieszkał Brzeski, znajdował się kilkadziesiąt metrów w głębi.

– Mogę wjechać na parking i poczekać.

– Nie trzeba. – Komisarz otworzył drzwi. – Przejdę się.

Trzasnął drzwiami.

Może powinien był kupić jakieś cholerne czekoladki i róże dla żony? A może w ogóle nie wypada przychodzić do kogoś, komu właśnie rozwalili łeb i jedyne, czego chce, to spokoju?

Komisarz nie był jednak osobą, która rezygnuje w pół kroku. Skoro stał już przed samymi drzwiami, musiał zapukać. Poza tym nie tylko chciał Brzeskiego pogłaskać po głowie, ale ten był mu także potrzebny. Musiał porozmawiać z kimś, kto myśli racjonalnie i potrafi wyciągnąć odpowiednie wnioski. W komendzie mógł policzyć takie osoby na palcach jednej ręki, a do tego miał z wszystkimi na pieńku. W podjętej przez niego próbie rozmowy od razu wyczuliby słabość i wymykające się z rąk śledztwo. Brzeski był jego jedyną szansą.

Zapukał.

Otworzyła jego żona, której imienia oczywiście nie pamiętał. Gośka? Elka? Chyba Alicja. Wysoka, elegancka kobieta z surowym wyrazem twarzy angielskiej arystokratki. Widział ją kilka razy, a aspirant nigdy nie mówił o życiu prywatnym.

– Witam pana komisarza!

Przynajmniej go poznała. Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła go do środka.

– Andrzej jest w salonie. Ogląda telewizję. Może kawy?

Miał na nią cholerną ochotę, ale podziękował. Sam nie wiedział dlaczego. Chyba było mu po prostu głupio. Uśmiechnął się układnie i poszedł we wskazanym przez kobietę kierunku. Taktownie zamknęła za nim drzwi.

Ryk telewizora słyszał już na korytarzu, a teraz z każdym krokiem jeszcze narastał. Brzeski leżał wyciągnięty na wersalce i oglądał film przyrodniczy. Przypominał wyrośnięte dziecko delectujące się wakacjami. Kiedy dostrzegł wchodzącego przełożonego, poderwał się na równe nogi i natychmiast ściszył telewizor.

– Jak jest głośno, lepiej mi się myśli – powiedział, odkładając pilota.

Komisarz zobaczył, że wciąż ma obrzęknięte okolice skroni, ale czerwonosiny krwiał rozlał się wzdłuż kości jarzmowej i zebrał przy oczodole. Policzki i nos pokrywały cienkie, lecz długie rany pozostawione przez kolce krzewu. Przypominał karła, który zszedł z ringu po pojedynku z olbrzymem. Uwagę Deryły zwróciły jednak szary dres i rozciągnięta koszulka polo. W kontraście do zawsze idealnie wyprasowanego munduru i garniturów nie pasowały do Brzeskiego bardziej niż rozbita twarz.

– Jak się czujesz?

– Trochę mnie rwie, ale zawsze mogło być gorzej. Co pana sprowadza, komisarzu?

Od razu do konkretów.

– Troska o twoje zdrowie.

– Wtedy by pan po prostu zadzwonił.

Jeden–zero.

– Chciałem pogadać – przyznał komisarz. – Jesteś w stanie zebrać myśli do kupy czy ten pręt wywalił ci z głowy neurony?

Chciałby, żeby po tej ciętej odzywce było jeden–jeden. Brzeski nie podjął jednak wyzwania i uprzejmie się uśmiechnął.

– Czy moja żona zaproponowała panu coś do picia?

– Tak. Odmówiłem.

– W takim razie możemy przejść do rzeczy.

Brzeski usiadł na wersalce i wskazał komisarzowi stary fotel obok.

– Tracz twierdzi, że to może nie mieć związku z satanizmem – odezwał się Deryło. – Że ta cała zabawa z różańcem, pentagramem i krzyżami to tylko przykrywka dla prawdziwego motywu.

– Krzyżami?

Komisarz zdał sobie sprawę, że Brzeski najwyraźniej nie wiedział o odnalezionych rano zwłokach.

– Nikt do ciebie nie dzwonił?

– Mam wyłączony telefon. Potrzebowałem świętego spokoju.

Deryło opowiedział mu w skrócie o wydarzeniach poranka, o zmasakrowanym ciele i jego makabrycznym ułożeniu. Brzeski słuchał z rosnącym podekscytowaniem. Widać było, jak jego umysł trawi rzucane fakty i analizuje ich znaczenie. Nie był na miejscu zdarzenia, nie miał przed oczami zbezczeszczonego zwłok, więc mógł robić to o wiele bardziej obiektywnie.

– Moim zdaniem to wszystko się łączy – odezwał się, kiedy komisarz zamilkł. – Miałem całą bezsenność na główkowanie i wpadłem na kilka pomysłów.

Deryło popatrzył na niego uważnie. Aspirant nie był zbyt zszokowany odnalezieniem kolejnych zwłok.

– Po pierwsze, te ikсы – mówił cicho, masując się po skroni. – Dwudziesta czwarta litera alfabetu łacińskiego, ale w alfabecie polskim nie występuje. Jednak na stronach urzędu stanu cywilnego znalazłem, że zarejestrowanych zostało kilku Xawerych.

– No tak, to tłumaczyłoby ich dewiację.

– Jest też Xemen i Xyntia.

– Jeszcze lepiej.

– Iks jest też znakiem iloczynu kartezjańskiego. Ale mnożenie możemy sobie chyba odpuścić.

Poza tym, co panu przypomina graficznie?

Brzeski skrzyżował dłonie w kształcie litery, wreszcie poprowadził prawą do poziomu.

– Nawet w podpisie jest krzyż.

– To nie wszystko. – Pstryknął palcami. – Iks w cyrylicy to miękkie ha. Pomyślałem, że sprawca może z nas drwić, podpisując się w ten sposób. Cztery krzyże i śmieje się w kułak, ha, ha, ha. Przepraszam za czarny humor, komisarzu.

Deryło machnął ręką i podsumował:

– Czyli mamy kilka możliwości. Większość z nich w jakimś stopniu odnosi się do kwestii religijnych, więc dalej stoimy w miejscu. Wspaniale.

– Może niekoniecznie, bo...

Przerwał mu dzwonek telefonu komisarza. Deryło odebrał i wymienił kilka zdań, patrząc w stronę okna. Kiedy skończył, odwrócił się do Brzeskiego.

– Złapali gnoja, który chciał rozwalić ci łeb.

Aspirant głośno wypuścił powietrze.

– Jedzie pan na przesłuchanie?

Komisarz pokręcił głową.

– Oberwał w kręgosłup, jest w śpiączce.

– I na tym sprawa mogłaby się zakończyć – westchnął komisarz. – Mamy zbiega, ale wszystkie pytania i wątpliwości zostają. Do tego dochodzą kolejne. Złapali go w miejscu, w którym miał ukrywać się ktoś całkowicie inny.

– Tych dwóch nastolatków?

– Skąd o nich wiesz?

– Powiedziałem, że dzisiaj miałem wyłączony telefon. Wczoraj chciałem być na bieżąco. Poza tym posterunkowa Nowak dzwoniła do mnie w środku nocy.

– Do ciebie też?

Komisarz zrezygnowany pokręcił głową. Zapewne chciała się poradzić, czy dzwonić do niego. A skoro tak zrobiła, to Brzeski nie wyperswadował jej tego pomysłu. Już otwierał usta, żeby go ochrzanić, kiedy aspirant wstał z wersalki.

– Coś panu pokażę, komisarzu – powiedział, podchodząc do stołu.

Wziął laptopa i przeniósł go na maleńki stoliczek kawowy, który przesunął w stronę Deryły.

– Jak mówiłem, miałem bezsenność, więc zbłądziłem w odmętach internetu. Najpierw myślałem nad literą iks, a później trafiłem na coś znacznie ciekawszego.

Wpisał hasło, włączył przeglądarkę i odwrócił ekran w stronę komisarza. Kliknął adres ostatnio dodany do zbioru ulubionych linków.

– Niecały rok temu w mieszkaniu tego chłopaka, którego zaginięcia nie zgłoszono, miały miejsce egzorcyzmy – powiedział tonem wyjaśnienia. – Zostały częściowo udokumentowane i wyciekły do sieci.

– Coś jak *Emily Rose*?

– Klimat podobny. Niech pan sam spojrzy.

Brzeski uruchomił film. Jakość pozostawiała wiele do życzenia, ale w porównaniu do nagrań z *Emily Rose* był przynajmniej kolorowy. Najpierw kamera pokazała niewielki pokój na poddaszu, aby skupić się zaraz na leżącym na łóżku kilkunastolatku. Był chudy, drobnej budowy, a jego ręce i nogi zostały przywiązane do drewnianych zwieńczeń. Miał pociągłą, bladą twarz z ciemnymi workami pod oczami. Leżał, czujnie patrząc w stronę kręcącego. W pewnej chwili podeszła do niego kobieta w średnim wieku, najwyraźniej matka, i poprawiła poduszkę. Zaraz zniknęła z pola kamery.

– Jak się nazywasz?

Pytanie zadała osoba stojąca tuż obok kręcącego, co chwilę widać było jedynie ruchy jej dłoni.

Cisza.

– Jak się nazywa pani syn? Potrzebujemy tego dla dopełnienia formalności.

– Daniel Kos – odparła kobieta.

– Ile ma lat?

– Siedemnaście.

– Chrzczony i bierzmowany?

– Tak.

– Uczęszcza do kościoła?

Chwila zastanowienia.

– Nieregularnie. Ostatnio wcale.

– Kiedy po raz ostatni przyjmował komunię?

Słyszając to pytanie, chłopiec uśmiechnął się, odsłaniając zęby.

– Nie wiem – odparła kobieta. – Myślę, że około roku temu.

– Co się stało od tego czasu?

– Proszę księdza, jak już opowiadałam...

– Musimy to nagrać. Proszę powtórzyć.

Brzeski szturchnął komisarza.

– Proszę tego słuchać. Chłopak naprawdę jest nieźle pokręcony.

Deryło nawet się nie odezwał, uważnie wpatrując się w ekran laptopa. Od samego początku coś mu w tym nagraniu nie pasowało. Miał wrażenie, że umyka mu jakiś istotny szczegół. Jakaś myśl pałętała mu się po głowie, ale nie mógł jej uchwycić.

– Dwa i pół roku temu zdiagnozowano u niego padaczkę. – Kobieta miała zrezygnowany, zmęczony głos. – Dostał ataku na zajęciach w szkole. Upadł, wybił sobie ząb i nauczyciel wezwał karetkę. Najpierw leczenie przynosiło skutki, ale jesienią tamtego roku miał atak w trakcie niedzielnej mszy. Był nietypowy, zupełnie inny od pierwszego, bo oprócz kurczenia mięśni tarzał się na podłodze, kopał ludzi, którzy chcieli mu pomóc, a w końcu zaczął bluźnić. Matko Przenajświętsza, jak on bluźnił...

Głos kobiety się załamał.

– Niech pani mówi śmiało dalej.

Kobieta pociągnęła nosem i wysmarkała się. Zmiętą chusteczkę trzymała w dłoni.

– Później zaczęły się z nim dziać te wszystkie dziwne rzeczy – odezwała się wreszcie. – Najpierw myślałam, że jest to może związane z jakimiś problemami, o których nie chce powiedzieć, ale tylko się nasilało.

– Proszę mówić precyzyjniej, co dokładnie działo się z pani synem?

Chłopiec na łóżku przygryzł wargi, wybuchając po chwili głębokim, gardłowym śmiechem. Nagle splunął w stronę kamery, a śmiech zamienił się w bulgoczące mruczenie.

– Właśnie to, proszę księdza. Zaczął mówić, że widzi diabelskie twarze, słyszeć głosy powtarzające, że jest potępiony, że czeka na niego miejsce w piekle, że jest przeklęty... Mnóstwo okropnych rzeczy. Potem przyłapałam go... na tym, jak pije własny mocz. Jego ojciec jest za granicą i zostałam z nim całkiem sama, zrobiłam awanturę, ale było tylko gorzej. Potrafił całymi godzinami biegać na czworaka po swoim pokoju, obijać się o ściany, kłąć. Kiedyś przyniósł do domu dwa martwe ptaki z oberwanymi głowami i zjadł ich surowe mięso. Na moich oczach. Zupełnie jak jakiś dziki człowiek albo zwierzę. – Kobieta otarła łzy, powstrzymując wybuch płaczu. Po chwili kontynuowała łamiącym się głosem. – Nie miałam na niego żadnego wpływu. Bałam się. Był przez trzy tygodnie w szpitalu na obserwacji psychiatrycznej, lecz nie zdiagnozowano żadnego zaburzenia. Zachowywał się tam jak... normalny człowiek. Po powrocie wszystko zaczęło się od nowa. Szczekał, wył, tarzał się we własnych odchodach i ciągle, bezustannie bluźnił. Kiedy zobaczyłam, jak połyka żyletkę, myślałam, że umrze, że coś mu się stanie. Chciałam jechać z nim do szpitala, ale on uciekł z domu. Wrócił dopiero po dwóch dniach, ale dziękowałam Bogu, że żyje. Wtedy zwróciłam się o pomoc do księdza.

Kobieta zamilkła. W rogu kadru pojawiła się odwrócona plecami sylwetka duchownego. Podeszedł do łóżka, unióśł dłoń z kropidłem i strzepnął wodę święconą.

– W imię Boga, zaczynajmy – odezwał się.

Przywiązany chłopak rzucił się spazmatycznie na łóżku. Jego oczy wywinęły się ku górze, ukazując jedynie zaczerwienione białka.

Brzeski zatrzymał film.

– Teraz przez kilkanaście minut będą modlitwy – wyjaśnił. – Muszę przewinąć. Końcówka jest naprawdę ciekawa.

– Jak dla mnie to choroba psychiczna – mruknął Deryło.

– Jest pan wierzący, panie komisarzu?

– Jestem agnostykiem.

– Czyli rozsądniejszą wersją ateisty.

– Bardziej bezpieczną. Ale cenię też logiczne znaczenie zakładu Pascala. Wierząc, nie tracę nic, nie wierząc, mogę stracić wieczność. Proste i mobilizujące.

Brzeski oderwał wzrok od laptopa i spojrzał na przełożonego.

– A słyszał pan o zakładzie ateistów?

– Jeżeli chociaż dopuszczałbym istnienie istoty karzącej za wiarę w jakiegokolwiek bóstwo, włącznie z nią samą, już dawno strzeliłbym sobie w łeb.

– Tak, to mało sympatyczna wizja.

– Wolę wierzyć w elfy i krasnoludki.

– Ale żyjemy w Polsce – mruknął Brzeski. – I pan, i ja dzisiaj lub jutro ubierzemy ze swoimi rodzinami choinki, a w Wigilię zasiądziemy do stołu uginającego pod ciężarem zarcia. Zrobimy to, co robią w tym kraju wszyscy. Potem pójdziemy na pasterkę, a kolejnego dnia okaże się, że na drogach złapano dwa tysiące nietrzeźwych kierowców, że Heniek zadźgał Zdzisia podczas wigilijnej imprezy, a jak wrócimy do roboty, będziemy mieć jeszcze kilkadziesiąt raportów o obrobionych mieszkaniach.

Komisarz się uśmiechnął. Cenił w Brzeskim poziom cynizmu, który niewiele ustępował jego własnemu. Ale była to kwestia wieku i wyrobienia. Naprawdę wiązał z tym wyrośniętym chłopcem zawodowe nadzieje. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie kupił jeszcze choinki. Nie tyle zapomniał, ile nie miał na to czasu. Cholera. Kolejny zbędny obowiązek.

– Oglądajmy dalej – sapnął, poprawiając się w fotelu. – Wciągnęło mnie.

Brzeski kliknął.

Ksiądz właśnie kończył odmawiać modlitwę i nachylił się nad chłopcem. Ten wiał się i szarpał, przesuując łóżkiem, które przytrzymała jego matka. Duchowny niemalże zetknął się z nim twarzą.

– *Wówczas ukaże się niegodziwiec* – zaintonował głośno fragment z Listu do Tesaloniczan. – *Niegodziwca tego Pan Jezus zglądzi tchnieniem swoich ust i wniwecz obróci samym objawieniem swego przyjścia.* Tak ja teraz tchnę ku tobie.

Chłopiec wyrwał się, chcąc ugryźć księdza, ale powstrzymały go sznury. Wściekle potrząsnął głową i splunął na niego. Wydał z siebie krzyk przypominający skomlenie rannego zwierzęcia. Kamerzysta przybliżył się, starając wyostrzyć obraz, i przez chwilę cały ekran wypełniło powiększenie twarzy chłopca. Spazmatycznie wygiętej, z szeroko rozwartymi, szybko pracującymi nozdrzami i dzikim spojrzeniem.

– Opuść to ciało – rozległ się głos księdza. – Nakazuję ci, opuścić to ciało, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Chłopiec gwałtownie wierzgnął, naprężając sznury i przesuując łóżko. Napiął z całych sił mięśnie. W jednej chwili żyły na jego twarzy nabrzmiały, jakby przepływająca przez nie krew gwałtownie zwiększyła swoją objętość i miała wytrysnąć. Niemalże widać było, jak pod powłoką alabastrowej skóry przemierza się jej strumień.

– W martwym ciele kryje się zło. – Usta chłopca wygięły się w kpiącym uśmiechu. – Pieprz się!

Pomieszczenie wypełnił zwierzęcy, pełen furii krzyk.

Nagle zerwał się sznur krępujący prawą rękę chłopca. Nastolatek błyskawicznie poderwał się i dłonią ze zgiętymi palcami zamachnął na księdza. Duchowny w ostatniej chwili odskoczył, nieomal wpadając na kamerzystę i przysłaniając jednocześnie cały obraz swoimi plecami.

Głośniki laptopa wypuły cały szereg bluźnierstw zmieszanych z obłąkańczym śmiechem i warkotem.

– Pieprz się, pieprz się, pieprz się!

Kiedy obraz znów się ustabilizował, matka chłopca trzymała go za głowę, a mężczyzna, którego nie było wcześniej w ogóle widać, starał się ponownie skrępować jego rękę. Był mocno zbudowany, ale z trudem dawał sobie radę.

W kadrze pojawiła się ponownie sylwetka księdza. Skropił chłopca wodą święconą i szybko kilkakrotnie przeżegnał się nad wątłym nastolatkiem.

– Ewangelista Mateusz pisał, że *Szatan czuł się mocnym, ale został pokonany przez mocniejszego od siebie*. Zostanie pokonany i tym razem!

Ksiądz ponownie podszedł do łóżka, nachylił się nad chłopcem i przyłożył do jego piersi krzyż. Nastolatek głośno dyszał, wrywając się konwulsyjnie.

– Jak Jezus, który spotkał opętana, mówię do ciebie jego słowami: *jesteś już wolny od swojej niemocy!*

Nagle chłopiec się uspokoił, opadł na materac i spokojnie odetchnął. Duchowny wyprostował się, a po chwili film dobiegł końca.

Brzeski zamknął laptopa.

– I co pan na to, panie komisarzu?

Robert Wolski dopił kawę i odstawił filiżankę na blat szafki kuchennej. Od dwóch dni nie nastawiał zmywarki, więc pomieszczenie tonęło w brudnych naczyniach. Otworzył lodówkę, ale na półce były tylko otwarta konserwa i nadkrojona cebula. Zrezygnowany zamknął drzwi. Właściwie nie był nawet głodny. Chciał pisać, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Chciał pójść pobiegać, ale nie miał na to siły. Nie miał siły nawet płakać. Informacja o kolejnej zamordowanej kobiecie zmroziła go, ale od dwóch godzin nikt nie dzwonił. Mógł więc mieć nadzieję.

Poszedł do salonu i rzucił się na kanapę. Włączył telewizor.

Kreskówki. Z Martą czasem je oglądali. Przełączył. Reklamy. Nie mógł patrzeć na twarze szczęśliwych ludzi wpięprzających właśnie najlepszą pasztetową, oczywiście z polskiego drobiu. Na kolejnym programie leciał świąteczny film familijny. Perypetie kolejnej wesołej rodziny. Przełączył. Serwis informacyjny. Właśnie emitowano przygotowania do poważnej konferencji. Mała salka, polskie godło nad niewielkim podestem i tłum dziennikarzy pojedynkujących się kostkami mikrofonów z logo swoich stacji. Po chwili uwaga kamer skupiła się na wysokiej blondynie w średnim wieku. Wmaszerowała pewnym krokiem na scenę i przywitała zebranych. O dziwo, nie uśmiechnęła się w stronę reporterów, ale objęła salę zimnym, surowym spojrzeniem.

W dole ekranu wyświetliła się ramka z podpisem. Renata Krzyżanowska, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Lublinie.

Wolski natychmiast podgłośnił. Wstał z kanapy i podszedł niemalże na krok od telewizora.

Błysnęły flesze, wojna na mikrofony rozkręciła się w najlepsze, a blondynka poprawiła okulary i oparła się obiema rękami o pulpit.

– Mikołaj M. został zatrzymany trzy godziny temu na terenie posesji działkowych na Czubah – oznajmiła sucho. – Jak państwo wiedzą, mężczyzna był poszukiwany za dokonanie czynnej napaści na funkcjonariusza, a także w związku ze sprawami uprowadzeń kobiet oraz dwóch zabójstw. W tym momencie niestety nie możemy prowadzić dalszych czynności procesowych z jego udziałem, gdyż podejrzany został postrzelony podczas ponownej próby ucieczki. Według informacji dosłownie sprzed kilku minut przeszedł pomyślnie operację i pod nadzorem funkcjonariuszy przebywa w szpitalu. Z góry państwa informuję, że postępowanie w sprawie zwłok znalezionych dzisiaj rano na cmentarzu przy ulicy Unickiej jest objęte ścisłą tajemnicą śledztwa i nie będę mogła odpowiedzieć na żadne pytania. Jak już zostało podane, rzeczywiście w tej sprawie bezsprzeczny jest udział osób trzecich. To wszystko na teraz. O postępie będą państwo informowani na bieżąco.

Znowu błyski fleszy i harmider zadawanych pytań. Po chwili rzecznik wskazała na jakąś osobę poza kadrem.

– Proszę powiedzieć – odezwał się piskliwy głos kobiety – czy istnieje możliwość, że byli inni sprawcy? Policja nie zaprzeczyła, że może być kilku morderców działających wspólnie.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Ale podkreślam, że postępowanie trwa nadal.

Wskazała kolejną osobę.

– Czy prokuratura ustaliła motyw działania sprawcy lub sprawców? Ofiarami są tylko kobiety.

– Rozważanych jest kilka możliwości, ale dla dobra śledztwa również to pytanie muszę pozostawić bez odpowiedzi.

– Ile zaginąć więzecie z tą sprawą?

– Na razie trzy. Na tyle wskazują materiały dowodowe, ale niestety nie można wykluczyć, że jest ich więcej.

Blondyna po raz pierwszy się uśmiechnęła. Był to uśmiech zakłopotania i niezręczności. W tym momencie na scenę giętkim krokiem wszedł prokurator Malczewski. Stał obok rzeczniczki i pojednawczym gestem uciszył zebranych dziennikarzy. Nie pojawiła się jednak ramka wskazująca na jego imię i nazwisko.

– Proszę nie zadrećcać pani prokurator – powiedział, odsłaniając idealnie równe zęby. –

Osobiście czuвам nad śledztwem i gwarantuję państwu, że wszystko zmierza w dobrym kierunku. Musimy jednak zachować czujność, aż do ostatecznego wyjaśnienia sprawy.

Rzeczniczka najwyraźniej głęboko odetchnęła. Znowu wróciła do pozy zimnej urzędniczki, przy której Malczewski brylował uśmiechem i pewnością siebie.

– Rozwiążemy tę sprawę – mówił wprost do kamery. – Jeżeli pytają państwo o ewentualnych innych podejrzanych, odpowiadam, że lista nigdy nie jest zamknięta. Dopóki nie wyjaśnię wszystkich okoliczności, wszystkich śladów i tropów, lista ta zawsze będzie otwarta. Ja i pracująca ze mną grupa policyjna robimy wszystko, co w naszej mocy.

– Panie prokuratorze, w którym szpitalu jest Mikołaj M.? – Pytanie zadał dziennikarz stojący tuż przed Malczewskim.

Wolski tylko na to czekał. Uważnie wysłuchał odpowiedzi, która tym razem nie była wymijająca. Krótka, prosta, jednoznaczna. Dawała wreszcie sygnał do działania.

Wyłączył telewizor i szybkim krokiem przeszedł przez salon na korytarz. Gwałtownym szarpnięciem otworzył wewnętrzne drzwi garażu. Nie zapalał światła. Te kroki i ruchy były w nim zaprogramowane. Liczył je w głowie od wielu godzin.

Po omacku sięgnął po leżącą na podłodze deskę i wyjął z niej wbity nóż.

Kolejnym wątpliwym sukcesem policji było przesłuchanie taksówkarza, który przywiózł podejrzaną kobietę na spotkanie z Wolskim. Uzyskane od niego informacje nie wносиły niczego do śledztwa. Potwierdził jej wygląd, opisał pokrótce sytuację z goniącym ją mężczyzną i właściwie tyle. Totalną klapą była informacja, że kobieta wsiadła do taksówki na postoju w centrum i tam też kazała się odwieźć. Deryło oczywiście zlecił sprawdzenie nagrań z monitoringu, ale to komplikowało sprawę jeszcze bardziej.

Również dane logowań do stacji przekąźnikowych BTS nic nie dawały. Numer, kupiony jako prepaid i użyty na starej motoroli bez włączonych usług internetowych, od doby był nieaktywny. Komisarz utknął w ślepych zaułku. Nawet alibi Różyckiego i jego żony zostało potwierdzone nie tylko przez ich znajomych, ale i zapisy osiedlowych kamer.

Zły, właściwie wściekły, wyszedł z biura. Było już ciemno i zaczął padać śnieg z deszczem. Nie miał zamiaru jechać od razu do domu.

Historia miała zbyt wiele elementów. Wiedział, że do jej rozwiązania potrzebne są proste, schematyczne klucze. Być może trzymał już je wszystkie przed sobą, ale nagromadzone informacje zaciemniały obraz sytuacji. Tylko dlaczego traktował ją jako dalszą zagadkę? Malczewski puszył się od rana, że złapano podejrzanego. Gówno prawda. Fakt, że uciekał przed nim koleś, który przesiedział solidny wyrok za wygłup sprzed dwudziestu lat, niewiele znaczył. Bardziej istotne było miejsce, w którym go odnaleziono. W którym mieli być dwaj nastolatki, na pozór znacznie mocniej zamieszani w tę sprawę. A jednak nadal nie byli formalnie objęci śledztwem. Malczewski chciał prostych rozwiązań i wierzył, a raczej miał nadzieję, że oto cała zabawa się zakończyła. Jednak ślady traseologiczne w miejscu znalezienia pierwszych zwłok wskazywały na obecność dwóch osób. Co więcej, w sprawie morderstwa na cmentarzu opinie pewnie dopiero spłyną. Fakt faktem, mógł sobie darować sekcję. Ofiarę zidentyfikowano. Jedna zaginiona, druga odnaleziona. Wyszli na zero. Cholernie przykro jest patrzeć, jak rodzina traci nadzieję, ale procedury procedurami. Ciekawe, czy patolog poskładał jakoś ciało.

Skręcił na parking pod Tesco. Przyozdobiona świątecznymi dekoracjami bryła marketu w taką pogodę sprawiała ponure wrażenie. Wokół kłębiło się mnóstwo ludzi ogarniętych bożonarodzeniowym szałem zakupów.

Przez chwilę kluczył, nie mogąc znaleźć miejsca, wreszcie zatrzymał się na awaryjnych. Przebiegł między samochodami na niewielki plac, gdzie zwyczajowo wystawiono choinki. Brzeski miał rację. Tak jak praktycznie każdy Polak, musiał się tym zająć, a potem ubrać drzewko i położyć pod nim prezenty.

– Osiemdziesiąt złotych?

Jeden z ostatnich świerków wyglądał tak, jakby zamiast z plantacji przyjechał prosto z tartaku. Kilka nierównych gałęzi, krzywy czubek, może metr sześćdziesiąt wysokości. Na stojaku będzie metr osiemdziesiąt.

– Bierz pan albo nie tamuj ruchu.

Ruch był, to prawda. Tylko gdzie staropolska zasada: nasz klient, nasz pan?

Wyciągnął portfel i zapłacił. Oczywiście nie dostał paragonu, ale nie zamierzał tracić czasu na walkę za fiskusa. Do tego nie mając parasola.

Zataszczył choinkę do samochodu i władował ją do bagażnika. Kombi przydawało się ten raz w roku. Naturalnie w ciągu kilku sekund usłyszał kilkadziesiąt wyzwisk, począwszy od cwaniaczka zatrzymującego się na alarmowych, przez tępego chama, a skończywszy na tradycyjnej kurwie. To ostatnie zupełnie po nim spłynęło.

Zacierając zmarznięte i zlepione żywicą dłonie, wskoczył do samochodu. Ostentacyjnie popukał się w głowę na widok barana, który pokazywał mu właśnie środkowy palec, i odjechał. Prosto do domu.

Kiedy jedną ręką otworzył drzwi, a drugą wstawił do mieszkania choinkę, wydał z siebie głośne sapnięcie. Był dumny jak myśliwy, który przynosi do domu upolowane zwierzę. Nie było to zwierzę, a próba upolowania choćby promocji skończyła się fiaskiem, ale zdobył symbol świąt. Bez tego nie byłoby prawdziwej Wigilii.

Kiedy zapalił światło, w progu salonu stanęła Ewa. Obrzuciła choinkę spojrzeniem pełnym zdegustowania. Od razu wiedział, że wcale nie chodzi o kształt drzewka.

– Co się stało? – zapytał, ściągając płaszcz.

Kobieta pokręciła jedynie głową i poszła do kuchni. Bez słowa, bez powitalnego pocałunku.

Deryło zrzucił buty i poszedł za nią.

– Co się stało? – powtórzył pytanie.

– Nic. Zawsze jak masz dużą sprawę, wyłączasz się od świata.

– Przecież kupiłem choinkę. Chyba nie pomyliłem świąt i nie miałem kupić wielkanocnego zajęczka?

Nie uśmiechnęła się. Nastawiła czajnik, w którym zaraz zabulgotała woda.

– Zapomniałeś nawet o tym, że przyjeżdża do nas córka. Nie widzieliśmy się z nią od kilku miesięcy, a ty nie zadzwonisz, nie zapytasz, nawet nie wspomnisz. Otwierasz drzwi, wchodzisz z choinką i nie szukasz jej. Od dwóch tygodni nie ma cię praktycznie w domu...

Deryło zaklął pod nosem. Pomyliły mu się dni. Był przekonany, że Wiktoria ma przylecieć dopiero jutro. Właściwie chyba nie wiedział nawet, jaki jest dzień tygodnia. Świąteczne reklamy przypominały, że zbliża się Boże Narodzenie, ale kiedy miało być, jutro, pojutrze? A może to już dziś?

– Musiałaś mi źle przekazać – powiedział, przyjmując pozycję zaczepną. – Zrozumiałem, że przylatuje jutro. Ale zaraz, zaraz, skoro miała być dziś, to gdzie jest?

Ewa zalała herbatę i wyciągnęła z lodówki koreczki śledziowe. Były zapewne jedną z tysiąca potraw, które przyszykowała już na święta.

– Loty z Bergamo mają opóźnienie. Jakaś wielka śnieżycy i zamieć. Wiki ma startować dopiero jutro o dziesiątej rano.

– To za ponad czternaście godzin!

Komisarz złapał telefon, aby dzwonić do córki. Przez głowę przemknęły mu możliwości noclegów koło lotniska, konieczność zwrócenia jej uwagi na pilnowanie bagażu, podejrzanych ludzi, szczególnie w typie nieeuropejskim, schowanie pieniędzy, dokumentów.

– Nie zawracaj jej głowy. – Ewa podała mu talerz z koreczkami, pajdami chleba i ćwikłą. – Linie zagwarantowały wszystkim pasażerom noclegi. Już jest na miejscu w pokoju.

– To po co ta cała pogadanka o tym, że zapomniałem.

Deryło uspokoił się i poszedł z kolacją do salonu. Na całe szczęście jego żona nie odpowiedziała, co świadczyło o tym, że wolała ciszę domową niż dalsze spieranie się. Doskonale rozumiał, że jest zła z powodu jego ciągłej nieobecności. Był świadom, że żyje od kilku dni w swoim zamkniętym świecie. Musiał jej to wynagrodzić i postanowił, że pod choinką, którą upolował, położy upolowany wyjątkowy prezent.

Poszedł do łazienki, ściągnął marynarkę i umył ręce. Nie zdążył ich wytrzeć, kiedy zadzwonił telefon. Chwycił go między dwa palce, tak aby woda nie skapnęła na ekran. Odebrał, ocierając ekran o policzek.

Usłyszał tylko dwa słowa wypowiedziane przez sierżanta Banacha.

– Znów zamordował.

Robert Wolski prawie biegł szpitalnym korytarzem. O tej porze nie było już odwiedzających, a na oddziałach panowała świąteczna cisza. Kogo tylko było można, wypisano. Ci, którzy zostali, byli w stanie nieskorym do prowadzenia rozmów czy oglądania telewizji. Słyszał jedynie swoje kroki i bzyczenie jarzeniówek. Prawie każda z nich dawała inne światło, niektóre mrugały, a niektóre w ogóle nie działały. Pomyślał, że szpital w nocy to upiorne miejsce. Ścisnął rękę noża schowanego w rękawie koszuli.

Minął zamknięty barek szpitalny i skręcił na klatkę schodową. Wszedł na piętro zerowe. Nawet w kaplicy nie odbywało się żadne nabożeństwo, a światło elektrycznych świec mrugało w szybkich drzwi. Mimo tego zapach szpitala przenikała intensywna woń kadzideł.

Wolski znalazł plan budynku na stronie internetowej. Rozmieszczenie oddziałów i ciągów komunikacyjnych nie pozwalało się zgubić. Kiedy zobaczył drewniane drzwi pralni i składziku ubrań, uśmiechnął się. Pociągnął za klamkę, ale zamek został zasunięty. Na tę niedogodność był przygotowany. Rozejrzał się, czy na korytarzu na pewno poza nim nie ma nikogo, i wyciągnął scyzoryk. Na szczęście pralnia nie była traktowana jako obiekt strategiczny. Stary zamek wystarczyło wykręcić. Cztery śrubki i po sprawie. Ostrożnie, aby klamka nie wypadła na posadzkę, wyjął metalowe części i wyciągnął zasuwę. Drzwi były otwarte.

Pośpiesznie ponownie dokręcił obudowę, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń, i wszedł do środka. Na długim metalowym wieszaku wisiało kilkanaście kitli i spodni. Do tego w kilku odcieniach. Rozebrał się i wepchnął swoją koszulę i sweter do obszernej skórzanej torby. Na razie wszystko szło tak dobrze, że mimowolnie sam się do siebie uśmiechał. Adrenalina dodawała mu odwagi, spinała wszystkie mięśnie i nakręcała do dalszego działania.

Wcisnął się w całkiem niezłe pasujący fartuch. Był nieco za długi, ale uznał, że nikt nie zwróci na to uwagi. Dopiął do niego przygotowaną w domu plakietkę i ostrożnie wyszedł na korytarz.

Nikogo. Cisza.

Ściskając ukryty w lewym rękawie nóż, przemaszerował do windy.

Wysiadł na drugim piętrze i wiedział, że jest prawie na miejscu. Kiedy minął szklaną przesłonę z tabliczką zabraniającą wstępu osobom nieupoważnionym, usłyszał kroki. Drzwi gabinetu po prawej stronie otworzyły się nagle i niemalże wpadł na niego wysoki, młody pielęgniarz. Mężczyźni wymienili krótkie, zdziwione spojrzenia.

– Co pan tu robi?

A niby co nienormalnego było w tym, że człowiek w kitlu przemierza szpitalne korytarze? Cisza nocna czy co? A może wziął jakiś mundurek sprzątacza albo cholera wie kogo?

– Wysłali mnie z sądówki, psia mać. – Wolski odwrócił się bokiem, aby pielęgniarz nie dostrzegł identyfikatora. – Na jutro muszę napisać jeszcze raport.

– Jaki raport? Przecież już wysyłaliśmy.

– Ogólny, jakieś nowe wymagania z prokuratury. Strasznie się spięli z tym śledztwem.

Pielęgniarz machnął ręką.

– Niby mają podejrzanego, a ciągle coś kręcą. Widział pan tę konferencję w południe?

– Widziałem, widziałem.

– Farsa, prawda? Chociaż pan to od nich, nie powinienem tak gadać.

Wolski wiedział już, że ma go w garści. Nie będzie z młodzikiem problemów. Ruszyli ramię w ramię w głąb korytarza.

– Niech mi pan nawet nie mówi. Szlag mnie trafia, że stracę przez to wszystko Wigilię!

– Może pan przepisać treść raportu lekarskiego. Nic nowego nie wymyślicie.

– Nadal jest nieprzytomny?

– Operacja się udała, ale wybudzanie potrwa.

Wolski przyspieszył kroku.

Skręcili w krótki korytarz, na którego końcu znajdowały się rozsuwane drzwi na salę. Na krześle obok nich siedział grubawy policjant. Kiedy podeszli, pielęgniarz się uśmiechnął. Najwyraźniej zdążyli się zakumplować we wspólnym cierpieniu nocnego dyżuru.

– Będę niedługo robić kawę, ma pan władza ochotę na małą czarną?

– Z chęcią skorzystam.

Policjant spojrział na Wolskiego. Ten udał, że nie dostrzega czujnego spojrzenia, i rzucił pod nosem słowa przywitania.

– Pan doktor z sądowych. – Pielęgniarz nie ukrywał współczucia. – Też go wrobili na dzień przed Wigilią.

– Że też nie można mieć spokoju – mruknął poufale Wolski. – Ale zajmie mi to tylko chwilę.

Ścisnął mocno nóż, gotów w każdym momencie torować sobie drogę do celu. Adrenalina buzowała mu w nogach. Wreszcie czuł się na siłach, by zrobić to, o czym myślał od jakiegoś czasu.

Policjant rozłożył gazetę, dając Wolskiemu przyzwolenie na wstęp do sali.

– To idę po kawę – powiedział wesoło pielęgniarz. – Pan doktor także sobie życzy?

– Nie, dziękuję – odparł Wolski. – Za kilka minut spadam.

Podszedł do drzwi, które zaraz się rozsunęły. Miał nadzieję, że ani policjant, ani pielęgniarz nie pójdą za nim. Stanowczym krokiem wszedł do środka. Mógł działać.

Czuł swój pot na rękojeści noża.

Komisarz Deryło zaparkował za starym, oznakowanym radiowozem. Ulica Gęsia była jedną z głównych arterii nowej dzielnicy Lublina. Takie same bloki, kostka brukowa, małe trawniki i prawie całkowity brak drzew. Betonowy placek, sypialnia miasta. Z w miarę dogodnym dojazdem do centrum, niezłym zapleczem usługowym, ale oprócz tego zupełnie bez wyrazu. Kilka miesięcy temu oglądał tu nawet ładne mieszkanie, ale uznali z Ewą, że to nie dla nich. Nawet nie tyle dzielnica nie pasowała do nich, ile oni do dzielnicy. Nie mogliby przejść piechotą do żadnego parku, do centrum musieliby brać taksówkę, a jadąc do roboty, stałby codziennie w korku. Do tego ludzie, przeważnie w wieku jego córki lub niewiele starsi. Czułby się jak przedwczesny emeryt otoczony hurmą młodzieży.

– Jest pan pierwszy, panie komisarzu. – Nieznany mu posterunkowy wyciągnął dłoń.

W świetle latarni wyglądał na trupiobladego, a sztucznie przyjaznym tonem starał się ukryć zdenerwowanie. W rzeczywistości jego głos drżał i się łamał.

– Gdzie twój partner?

Tym razem młody funkcjonariusz nie zaryzykował ujawnienia swoich emocji. Wskazał jedynie dłonią w stronę pobliskiej pustej parceli. Kilkudziesięcioarowa działka była nieogrodzona, ale wyraźnie przygotowywano się na niej do jakichś prac. Zwieziono fragmenty rusztowania, dwa kontenery, przenośną toaletę i wielkie betonowe płyty. To właśnie przy nich komisarz zobaczył światło latarki. Drugi funkcjonariusz zapewne stał na straży ponurego znaleziska.

Deryło ruszył w jego stronę, klnąc ile wlezie na pogodę, na błoto oblepiające buty i na swoją robotę. Telefon od Banacha odebrał dobre kilkanaście minut temu. Na miejscu powinni być już technicy i co najmniej trzy radiowozy. Do tego, skoro jemu zawracają głowę, to powinni też zawrócić całej prokuraturze, wezwać brygadę uderzeniową, pluton z psami i kilku jasnowidzów. Dziękując się z nimi cierpieniem nocnej roboty, jakoś by to zniósł.

– Dobry wieczór, panie komisarzu. – Za światłem latarki krył się chrypliwy głos. – Proszę tędy.

– Jeszcze raz błysniesz mi tym w oczy, a będą tu kolejne trupy.

Strumień światła natychmiast skierował się na błotnistą ścieżkę.

– Przepraszam.

Deryło mógłby iść z zamkniętymi oczami. Wystarczyło podążać za odgłosem butów mlaskających w rozmokniętej ziemi i wdeptujących w kałuże.

– Kto znalazł zwłoki?

– Jakiś idiota latał nad okolicą dronem i testował tryb nocny kamery.

– Niezły sprzęt, skoro coś widział w taką pogodę.

– Maniak, pewnie kupił synowi pod choinkę i sam się nie mógł doczekać.

– Może być.

Funkcjonariusz zatrzymał się przed stertą ułożonych na sobie betonowych płyt. Miała niecałe dwa i pół metra wysokości i lśniła w ociekających strugach deszczu.

– To tu. Ciało jest na górze.

Deryło znowu zaklął. Nie dość, że jakiś psychol rozrzuca ciała po połowie Lublina, to jeszcze zmusza go do akrobatyki. Sukinsyn jeden. Powinien przekazać tę sprawę komuś młodszemu, a sam wreszcie odejść na emeryturę. Tylko który z tych patałachów dałby sobie z tym radę. Nawet nie potrafili sprawnie dojechać na miejsce zdarzenia.

– Przydałaby się drabina – mruknął. – Albo podnośnik.

Podszedł do betonowych bloków i przyjrzał się im z bliska. Po krawędziach kolejnych z nich mógłby wejść niczym po schodach. Musiałby się trochę nagimnastykować, ale najważniejsze, żeby nie rozpruć sobie ubrania. Złapał za skraj betonowej płyty na wysokości swoich oczu.

– Lepiej nie tędy, panie komisarzu. Jak pan pozwoli, poświecę.

– Świeć, świeć.

Kiedy światło latarki padło w jego stronę, od razu zrozumiał, dlaczego powinien wybrać inne

miejsce. Kilka centymetrów od niego po płytach spływał różowo-rdzawy strumień. Najwyraźniej deszczówka obmywała ciało i ściekała tędy razem z krwią i piaskiem.

Deryło cofnął się i podszedł do płyt kilka metrów dalej.

– Jest bardzo źle?

Funkcjonariusz nie odpowiedział, ale komisarz domyślił się z jego mruknięcia, że jest gorzej niż źle. Dopiero teraz usłyszał wycie zbliżających się syren, ale nie zamierzał czekać na wsparcie. Trupy miały to do siebie, że nie bywały groźne.

Stanął na pierwszej płycie, złapał się krawędzi jednej z ostatnich i podciągnął. Ten ruch powtórzył dwa razy, a wtedy jego głowa znalazła się ponad szczytem betonowej piramidy. Zobaczył rozrzucone w nieładzie nagie nogi i kawałek biodra. Tym razem kończyny nie zostały oderżnięte od korpusu.

Deryło podciągnął się po raz ostatni i przelożył nogę na betonową płytę. Wtedy poczuł, że ociera nogawką o chropawą krawędź, a materiał się rozrywa. Zaciśnął zęby, stając nad ciałem.

– Chce pan latarkę, komisarzu?

Nie chciał. W świetle niedalekich latarni widział wystarczająco wiele. Wystarczająco wiele, żeby zakręciło mu się w głowie, tętno przyspieszyło i jeszcze bardziej wzrosła determinacja złapania sukinsyna.

Naga kobieta miała na oko trzydzieści pięć, może czterdzieści lat. Jej stopy i dłonie zostały całkowicie zmiażdżone. Stanowiły masy mięsa przemieszanego z fragmentami ścięgien i kości, rozkawałkowanego i przemielonego w maszynie. Trudno było rozróżnić palce w dłoniach i podbiciach stóp. Sieczka specjalnie spreparowanego mięsa, ułożonego na foliowych workach, aby nie wypłukał go deszcz.

W lewym boku kobiety była kilkucentymetrowa rana, z której wnętrza wystawało jelito. Jego obrzydliwy, podłużny kształt lśnił się, obmywany deszczem spływającym wraz z krwią w stronę, z której komisarz chciał zacząć wspinaczkę. Brzegi rany były postrzępione, a powłoki brzuszne najwyraźniej rozwarły jakimś narzędziem lub częściowo usunięte.

Największą odrazę wzbudzała jednak twarz kobiety. Jej krótkie, ciemne włosy deszcz rozrzucił w smutnym tańcu, odsłaniając prawdziwy obraz szaleńczej zbrodni. Usta zostały zaszyte nicią, a oczy wylupione, choć komisarz w pierwszej myśli określił je jako wyrwane. Z oczodołów zionęła krwawa, ohydna pustka, znaczone resztkami nerwów i żyłek. Najgorsze było jednak powyżej. Do czoła i skroni kobiety wbite zostały potężne stolarskie gwoździe, obwiązane bezlistnymi gałęziami jakiegoś kolczastego krzewu. Wystawały z czaszki niczym promienie upiornej aureoli. Obląkane misterium Męki Pańskiej.

– Trzyma się pan, komisarzu?

Deryło odwrócił wzrok. Przez chwilę patrzył po ścianach okolicznych domów i nielicznych zapalonych światłach w oknach. Gdyby nie ryk syren i błysk stroboskopów, sypialnia Lublina nie wiedziałaby nawet, że coś się stało. A on, pięćdziesięciodwuletni komisarz kryminalnego, miał u swoich stóp zwłoki kobiety, której szukał.

Miłosz Tracz przyglądał włosy. Na biurku przed nim piętrzyły się książki, a z popielniczki wysypywały się pety i popiół. Na zamkniętym laptopie leżał otwarty album malarstwa średniowiecznego. Profiler przybliżył klosz lampki i uważnie przyjrzał się kolorowej reprodukcji. Był to obraz nieznanego autorstwa przedstawiający śmierć Rolanda. Ciało rycerza spoczywało na niewielkim pagórku. Obok niego leżały hełm i róg. Głowa zabitego skierowana była w stronę nadciągających Saracenów, co ponoć stanowiło symbol walki toczonej przez niego do samego końca.

Tracz uważał to za błędną interpretację. Symbolem walki mógł być miecz Durandal nawet po śmierci trzymany w dłoni. Jednak spojrzenie skierowane na wrogów miało raczej przedstawiać rycerską odwagę i honor. Alegorycznie wyrażać wiekuiłą kpinę z adwersarzy. Zupełnie jak jeden z powstańców madryckich Goi, wymachujący do mierzącego w jego pierś żołnierza. Albo cesarz Maksymilian Maneta, wyrażający do ostatniej chwili pogardę dla śmierci i wroga.

Przyszło mu coś do głowy. Sięgnął po komórkę, wybrał numer i odczekał kilka sygnałów.

– Patrzcie, patrzcie, kto dzwoni!

Profesor Widacki zawsze wyrażał się z przesadnym podekscytowaniem. Tracz miał wrażenie, że nawet rozmowa o pogodzie wzbudziłaby w nim entuzjazm. Był doskonałym teologiem, ale i cenionym znawcą sztuki. Te dwie cechy mogły się okazać nad wyraz pomocne.

– Przepraszam, że przeszkadzam – profiler zaczął usprawiedliwiającym tonem – ale mam pewien problem.

– Do rzeczy, kochany!

– Chodzi mi o symbolikę.

– Mianowicie?

– Proszę tylko o całkowitą dyskrecję.

Odpowiedziało mu głośne prychnięcie, jakby samo sformułowanie obraziło rozmówcę. Aby zetrzeć złe wrażenie, natychmiast przeszedł do meritum.

– Co może oznaczać głowa zmarłego skierowana twarzą do ziemi?

– Na obrazie? W literaturze?

– Powiedzmy, że jako forma pochówku.

– Ach, tak! – profesor niemalże wykrzyknął. – Nietypowe, ale znane w wielu kulturach. Nie wiem, czego byś się chciał dowiedzieć, o tym można mówić godzinami, napisać doktorat albo nawet habilitację. Nie jestem w pełni kompetentny, żeby wchodzić w szczegóły...

– Wystarczą mi ogóły, panie profesorze. Przede wszystkim pobudki takiego działania.

Tracz poprawił się w fotelu i odpalił papierosa. Profesor odezwał się po chwili milczenia.

– Przede wszystkim kojarzy mi się to z kulturą wielbarską. Wiesz, o czym mówię? Swego czasu odkryto cmentarzyska w Pruszczu Gdańskim i Cecelach. To, co cię najbardziej interesuje, czyli powody takiego zachowania, nie zostały jednoznacznie wyjaśnione. Przyjmuje się, że ten sposób pochówku miał na celu zhańbienie zmarłego. Zerwanie z normą kulturową chowania na wznak. Co ciekawe, tak samo komuniści potraktowali węgierskiego premiera w latach pięćdziesiątych. Oni z całą pewnością chcieli dodatkowo znieważać zwłoki. O! Już pamiętam. On nazywał się Imre Nagy.

– Jakie mogły być inne motywy?

Profesor był najwyraźniej zadowolony poruszonym tematem.

– Dosłownie kilka miesięcy temu czytałem o średniowiecznych mogiłach, gdzieś w okolicach Kostrzyna. Tekst jednego doktorów z Jagiellońskiego, ale pełno w nim pustych domysłów co do pochówków wampirycznych.

– Zazwyczaj ofiarom odrąbano głowy i układano między udami.

– A czytałeś, w którą stronę kierowano czaszkę?

– Domyślałem się, że w stronę ziemi.

– Dokładnie. Z tym że na temat pochówków wampirycznych też nie ma jednoznacznych teorii.

Wszystko wskazuje na to, że miały pozbawić nieboszczyka możliwości wyjścia z grobu.

– Jakby sam zgon i obcięcie głowy nie wystarczały.

– Ostrożności nigdy za wiele. To znajduje swoje uwarunkowanie w położeniu oczu, ust... Co ja ci będę opowiadał, o tym zapewne wiesz więcej niż ja.

Tracz zgasił papierosa i starł dłonią popiół z biurka.

– Dziękuję za te informacje.

– Zaraz, zaraz – Widacki się rozkręcał. – Skądś przypomina mi się jeszcze jedna interpretacja.

To pogląd już czysto teologiczny. Wydaje się nieco zbyt dosłowny...

– To znaczy?

Profesor tym razem odezwał się mniej entuzjastycznie.

– Może zmarły miał wiecznie patrzeć prosto w piekło.

Tracz wysiadł z taksówki. Wciąż padało, ale nie miał parasola. Nie zwracał uwagi na przemakającą kurtkę, sklejące się włosy i wilgotne buty. Pochylił się i powolnym krokiem ruszył w stronę przejścia dla pieszych. Mimo że nie było żadnego ruchu, posłusznie zatrzymał się na czerwonym świetle. Pograżył się w myślach.

Robota profiler, wykpiwana nie tylko przez komisarza Deryłę, była oparta na nauce równie ścisłej jak fizyka czy matematyka. Instrumenty badawcze, metody, podejścia, wszystko to miało swoją ugruntowaną specyfikę i uzasadnienie. Oczywiście, mógł pomiędzy nimi zonglować i wybierać według własnego uznania. Ale właśnie te wybory stanowiły sedno. Przesądzały, że musiał zrobić znacznie więcej, niż rozwiązać równanie składające się z kilku niewiadomych. On musiał napisać równanie, mając przed sobą jedynie wynik.

Zielone.

Spokojnym krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował się ku alei bezlistnych drzew. W tak pochmurną noc nawet światło latarni z trudem przebijało się przez powłokę mgły i wilgoci. Deszcz ponuro bębnił o ich metalowe klosze.

Przypomniał mu się pierwszy wykład na warszawskiej podyplomówce. Prowadzący był znanym psychologiem, którego twarz często przewijała się w telewizji. W rzeczywistości wyglądał na znacznie starszego i o wiele bardziej introwertycznego niż podczas udzielania wywiadów. Przypominał Tadeusza Mazowieckiego z kamienną twarzą unoszącego dłoń w geście zwycięstwa. Stał pośrodku sali i bez cienia uśmiechu przyjrzał uważnie zebranim. Jego spojrzenie prześlizgnęło się od twarzy do twarzy. Wreszcie odezwał się cichym, monotonnym głosem, ledwie wybijającym ponad odgłos ich oddechów.

Mówił o jednym ze współczesnych mistrzów profilowania kryminalnego. Kilka ciekawostek, kilka faktów, zwykła pogadanka, która miała przekonać słuchaczy, że kasa wydana na kurs nie pójdzie w błoto. Że to się opłaci.

– A wiecie, kiedy będziecie zadowoleni?

Tracz jak mantrę pamiętał ten fragment wykładu.

– Nie wiecie? – prowadzący odezwał się po chwili ciszy. – To zaraz wam powiem.

Opowiedział o największym sukcesie wspomnianego guru profilowania. W latach osiemdziesiątych prowadził sprawę tajemniczego zgonu niemieckiego biznesmena. Jego zwłoki, z przestreloną czaszką, znaleziono pod wapiennym klifem. Mężczyzna ubrany był w ekskluzywny garnitur, wytworne, ale niewygodne buty, do tego miał przy sobie portfel pełen pieniędzy. Ciało leżało w nienaturalnej pozycji, z rękoma uniesionymi do góry. Dłonie były rozwarłe, a zegarek na nadgarstku zatrzymany punktualnie o godzinie dwunastej. Do tego na piersi odkryto ślady po niedawnym usuwaniu tatuażu.

– Co byście stwierdzili na podstawie tych faktów?

Tym razem padło kilka odpowiedzi.

– Godzina na zegarku mogła mieć na celu zmylenie policji co do czasu zgonu.

– Albo symbolizować jakieś wydarzenie!

– Przebranie w wytworne ubiór świadczy o szacunku dla ofiary.

– Na pewno nie było motywu rabunkowego.

– Ciało ułożono w pozycji osoby poddającej się.

Wykładowca słuchał, delikatnie się uśmiechał i zachęcał ich do formułowania dalszych teorii. Kiedy nikt nie miał już nic do dodania, usiadł na swoim miejscu.

– Po to jest ten kurs – powiedział poważnym tonem. – Mówicie o powierzchownych cechach. A tamten profiler znalazł mordercę.

– Kto nim był? – padło gdzieś z sali.

– Sama ofiara. Popelniła samobójstwo. Nie domyśliliście się motywu?

To był oczywiście żart, ale nikt się nie roześmiał. Słuchacze, w znakomitej większości

absolwenci psychologii i lekarze psychiatrzy, zdawali sobie sprawę, że prowadzący w ten sposób rozładuje napięcie. Lada chwila mieli wejść do cudzego umysłu. I to nie zbzikowanego pacjenta, który siedział na krześle przed nimi. Do umysłu kogoś, kogo być może nigdy nie spotkają. Do umysłu kogoś, kto w brutalny sposób zamordował właśnie Bogu ducha winną nastolatkę, księdza spowiednika czy przypadkowe dziecko. Później będą musieli go jeszcze zrozumieć.

Tracz przeszedł przez grząski trawnik i zatrzymał się przy wysokim murze. Przez chwilę spoglądał na jego płaskie zwieńczenie. Wreszcie podciągnął się, przelożył nogę i zeskoczył po drugiej stronie.

Był na cmentarzu.

Tysiące zniczy migoczących w ciemnościach nocy sprawiało upiorne wrażenie. Mokre groby skrzyły się w ich świetle i wydawały się poruszać. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Poza szumem deszczu panowała zupełna cisza.

Tracz ruszył pomiędzy nagrobkami. Po chwili znalazł się na zwirowej alejce, którą dotarł do kwatery otoczonej zasłoną policyjnych taśm. Czuł, że musi to zrobić. Ale najpierw postanowił zapalić. Wyciągnął papierosa i pochylił się, osłaniając go od wiatru. Zapalniczka zaskoczyła dopiero za trzecim razem.

Wydechając dym, spoglądał w niebo. Deszcz ściekał mu po twarzy, ale przez chwilę nie mrugał. Co za różnica, jak go ułożą po śmierci? Tymi oczami nie zobaczy ani demonów, ani aniołów. Te oczy najpierw zapadną się, a potem rozłożą jako jeden z pierwszych organów. Będą mętne i ślepe.

Tracz wyrzucił ledwie nadpalonego papierosa. Podniósł policyjną taśmę i stanął nad samą krawędzią grobu. W pochmurną zimową noc jego wnętrze zionęło bezkresną ciemnością. Nawet wytężając wzrok, nie mógł jej przeniknąć. W telefonie miał latarkę, ale sztuczne światło coś by zepsuło. Nie potrzebował go.

Zsunął się do wykopu i położył dokładnie w miejscu, gdzie kilka godzin wcześniej leżały zwłoki. Wciągnął do płuc zimne, stęchłe powietrze. Zamknął oczy.

Wreszcie mógł to zrobić. Był blisko, zaledwie o kilka kroków. Od wielu godzin marzył, aby być właśnie w tym miejscu. Sam na sam. Wyobrażał sobie to, co z nim zrobi, ledwie hamując uśmiech zadowolenia. Miał pełną kontrolę. Taką, jaką on miał nad jego życiem od trzech dni.

Robert Wolski podszedł do jednego z dwóch łóżek na sali. Leżał na nim mężczyzna niewiele starszy od niego. Był starannie przykryty kocem obleczonego w poszewkę, a jego pierś pokrywała krzyżówka kolorowych elektrod. Do stojaka obok prowadziły kable kroplówek. Drugie łóżko było puste.

Wolski spojrzał za siebie. Drzwi na korytarz były szczelnie zasunięte, a znajdujące się na nich naklejki nie pozwalały zajrzeć do środka. Zamknął oczy i wsłuchał się w elektroniczne, piskliwe dźwięki aparatury. Dopiero gdzieś za ich przesłoną charczał oddech leżącego. Przyspieszony, nieregularny i krótki.

Wyciągnął nóż. Ostrze błysnęło w zimnym świetle lampy.

Uważnie przyjrzał się twarzy czterdziestolatka. Kilkudniowy zarost, przyprószone siwizną włosy, płaskie nozdrza, do których wsunięto aparat doprowadzający tlen. Skóra policzków pokryta była szerokimi, tchnącymi nieświeżością porami i popękany naczynkami. Oczy drżały pod zamkniętymi powiekami.

– Witaj, sukinsynu – syknął Wolski. – Nie mogłem się doczekać.

Ściągnął z leżącego kołdrę i przesunął ostrzem noża po jego biodrze. Powoli, centymetr po centymetrze kreślił linię, zmierzając do kolana. Uważnie obserwował monitor. Puls ani drgnął.

– Czyżbyś zapadł w aż tak głęboki sen? A może zostałeś sparaliżowany?

Wbił sam koniec noża między rozwarłe, opuszczone palce stóp.

Żadnej reakcji.

Wsunął palce pod bandaż oplatające tułów leżącego. Chciał szarpnąć, zrzucić go na ziemię i wtedy rozpruć, zmasakrować setką pchnięć noża, wybebeszyć. Z trudem się opanował. Nie mógł zrobić tego zbyt szybko, przed otrzymaniem odpowiedzi na wszystkie pytania. Musiał być cierpliwy.

– Nie poczułbyś, gdybym oderznął ci nogę? – Przyłożył nóż do bezwładnej pachwiny. – A może samą stopę?

Monotonne rżenie. Puls bez większych zmian.

Wolski poczuł wzbierającą wściekłość. Z trudem panował nad swoim ciałem. Jeszcze raz popatrzył na lekko rozwarłe sine usta, zza których wynurzał się rząd żółtych zębów. Ten sukinsyn wyglądał, jakby się właśnie uśmiechał.

Nagle coś w nim pękło. Uniósł nóż wysoko nad głowę i zamachnął się. Drżał z wściekłości.

Z całą siłą runął w dół, wbijając ostrze w poduszkę tuż obok głowy leżącego.

Puls podskoczył.

– A więc jednak coś cię rusza? Coś czujesz, gnoju? Poradzę sobie z tobą.

Puścił rękojeść i otwartą dłoń uderzył leżącego w twarz. Wszystkie wskaźniki zamigotały, a z aparatury dobiegły przyspieszone dźwięki. Wolski skupił się na zamkniętych powiekach. Wydawało mu się, że delikatnie drżą, jakby chciały rozerwać kleistą spoinę.

Czekał.

– Spójrz na mnie. No, spójrz!

Nic.

Dwoma palcami na siłę rozwarł powieki. Nachylił się nad leżącym i wejrzał w zamglone oczy.

– Widzisz mnie, skurwysynu? Przyszedłem tu specjalnie do ciebie. Tak jak ty przyszedłeś po moją żonę. Wiesz? Pamiętasz ją? Gdzie ona jest? Gdzie?!

Wbił palec pod gałkę oczną. Puls jeszcze bardziej przyspieszył, ale Wolski nie doczekał się właściwie żadnej innej reakcji.

Wciąż rozwierając powieki prawego oka, wolną ręką sięgnął po nóż. Przyłożył ostrze do rogówki i powoli nacisnął. Szklista powłoka wgięła się i podbiegła krwią, ale puls podskoczył ledwie o dwa

punkty.

– Niech to szlag!

Wolski wyprostował się i omiół salę wściekłym spojrzeniem. Pomyślał o Marcie. To właśnie dla niej musiał być teraz opanowany. Nie mógł zrobić nic nieprzemyślanego. A przede wszystkim nie mógł zabić tego sukinsyna, zanim się nie dowie, czy Marta żyje. Na pewno żyła. Czuł to.

Usłyszał kroki na korytarzu. Szybko schował nóż do rękawa i poprawił na leżącym kołdrę. Odsunął się od niego o kilka kroków akurat w momencie, kiedy drzwi na salę się rozsunęły. W progu pojawił się uśmiechnięty pielęgniarz z dwoma kubkami parującego napoju w rękach.

– Mam dla pana kawę. Może się pan jednak skusi?

Wolski udał, że w zamyśleniu analizuje kartę pacjenta.

– Zaraz stąd wychodzę – mruknął. – Dziękuję.

Kiedy pielęgniarz wyszedł, natychmiast znowu pochylił się nad łóżkiem.

– Wróć tu – warknął cicho. – Przysięgam, że wróć tu i albo dowiem się, gdzie jest Marta, albo cię wypatroszę.

Puls nadal był w normie.

Tego roku Magda Szus miała spędzić swoją pierwszą Wigilię u rodziców narzeczonego. Do rodzinnego Jasła planowała dotrzeć dopiero w pierwszy dzień świąt. Najgorsze, że Marek pojechał pomóc w przygotowaniach, a ona została u siebie całkiem sama. Dziwne przekonania religijnej rodziny, niedopuszczającej myśli, że ich prawie trzydziestoletni syn sypia ze swoją niewiele młodszą narzeczoną. Przy stole na pewno będzie świetna zabawa.

Siedziała przy laptopie, przeglądając ceny sylwestrowych noclegów w Zakopanem. Kilkudniowy wypad w góry mógłby być doskonałym pomysłem. Odkąd zaczęła pracę w korporacji, niemalże się nie widywali. Teraz dziesięciodniowy urlop wydawał się prawdziwym wybawieniem i okazją do podreperowania schłodzonych ostatnio uczuć. Wbrew temu, co mówili znajomi, nie miała wyrzutów sumienia z powodu wolnego. Nie wpadła w maszyny korporacyjnego władzdupstwa na tyle, żeby odmówić sobie urlopu. Jasne, zasuwiała nieraz po szesnaście godzin na dobę, ale to właśnie dzięki temu mogła teraz odpocząć. Tym się różniła od chorych psychicznie pracoholików.

Bimp.

Dostała wiadomość na Facebooku. Marek wysłał jej jakiś link z całym szeregiem emotikonów. Strona wczytywała się powoli, odsłaniając dwa zdjęcia tego samego miejsca.

Jeżeli znajdziesz różnicę w ciągu dwudziestu sekund, oznacza to, że jesteś w gronie 5% najbystrzejszych ludzi. Czas start!

Uśmiechnęła się, wpatrując pilnie w ekran. Tyle samo wieżyczek, tyle samo blank, taka sama brama. Porównała błyskawicznie nawet tło, ale nie dostrzegła niczego odmiennego. Zegar odmierzający czas mrugał czerwonym kolorem, zbliżając się do zera.

Nagle z głośników laptopa dobiegł dziki wrzask, a na ekranie wyskoczyła obrzydliwie zdeformowana twarz.

Magda pisnęła. Gwałtownie odskoczyła od biurka, niemalże wywracając krzesło.

Bardzo śmieszne. Przez chwilę starała się uspokoić i nie napisać Markowi, jakim jest idiotą. On po prostu tak miał. Dowcipy na poziomie sześciolatka. I to lekko ułomnego.

Nie, nawet nie będzie odpisywała. Wstała od laptopa i włączyła lampkę przy biurku. Była już prawie północ, więc powinna się położyć spać. Nawyk zasypiania o pierwszej i wstawania przed szóstą należało wypłenić chociażby na czas świąt.

Poszła do łazienki, rozebrała się i weszła pod prysznic. Puściła gorącą wodę. Temperatura, w jakiej większość ludzi skończyłaby z poparzeniami, pozwalała jej wyciszyć umysł i przygotować się do snu. Nie musiała sięgać po alkohol ani specjalne proszki. Kilkuminutowy gorący prysznic działał na nią jak kołysanka na dziecko.

Nagle usłyszała huk.

Stłumiony, ale wyraźny. Z korytarza albo salonu.

Może znowu oberwał się karnisz? Szybko wytarła się, zarzuciła puchaty szlafrok i wsunęła stopy w kaptcie. Drzwi do łazienki nie stanowiły żadnej ochrony. Ostrożnie uchyliła je i zapaliła światło w przedpokoju. W mieszkaniu panowała całkowita cisza. Jedyne odgłosy wydawał rżący wiatraczek starego laptopa. Rozejrzała się po przedpokoju, korytarzyku i małej wnęce na buty. Wszystko w porządku. W półmroku kuchni także nie dostrzegła niczego dziwnego.

Mieszkanie na parterze miało praktycznie same wady. Można było do niego wejść bez żadnego wysiłku. Nawet latem w nocy zawsze zamykała balkon, a okna zostawiała uchylone jedynie na uszczelce. Z tym że w wiadomościach czy prasie nieraz podawano, że otwarcie ich z zewnątrz nie stanowi dla profesjonalistów żadnego problemu. Wystarczy gruba tektura albo karta bankomatowa.

Trzymając się ściany, przeszła do salonu i po omacku wyszukała włącznik. Białe światło sześciu ledowych żarówek aż zakłuło ją w oczy. Podobnie jak we wcześniejszych pomieszczeniach wszystko

było w porządku. Karnisz znajdował się na swoim miejscu, okna i drzwi balkonowe były zamknięte, żadnych śladów intruza.

Przez dowcip Marka łapała pewnie paranoję. Do tego w telewizji wciąż walcowano temat tych morderstw...

Nie gasząc światła, wróciła do łazienki. Rozczesała włosy i założyła ciepłe, puchate spodnie. W zimie nie znosiła spać nago, potrzebowała pracujących pełną parą kaloryferów, grubej kołdry i bonusowego koca. Dlatego wszystko było zaparowane, a w pomieszczeniu długo po kąpielii utrzymywała się mgła. Dopiero wtedy dostrzegła, że lustro szafki na kosmetyki jest wytarte.

Coś na nim było.

Podeszła i przyjrzała się z bliska. Zupełnie tak, jakby ktoś w kroplach pary wodnej narysował kilka znaczków.

Poczuła przyspieszone bicie serca, ale starała się myśleć racjonalnie. Przez ułamek sekundy, dopóki w odbiciu lustra coś nie drgnęło. Tuż za jej plecami. Piszcząc i drżąc na całym ciele, gwałtownie się odwróciła.

Pusto. Nikogo.

Chwyliła leżący na pralce telefon i wybrała ostatni numer. Zarzucając bluzę i potykając się o drewniany próg, popędziła do przedpokoju. Nawet nie zwróciła uwagi, że zamek w drzwiach jest otwarty. Złapała zawieszony przy nich kluczek do samochodu i wybiegła na korytarz.

– Marek, ktoś jest u mnie w domu! Jadę do ciebie!

Nie rozłączając się, popędziła do samochodu.

Stał zaparkowany kilka metrów od wyjścia z klatki.

Szarpnęła drzwiczki i rzuciła się na siedzenie. Przekręciła kluczyk. Silnik zapalił i deska rozdzielcza rozbłysła delikatnym zielonkawym światłem. Dziewczyna położyła dłoń na kierownicy i głośno wypuściła powietrze. Jej ręce wciąż drżały, ale poczuła się znacznie bardziej spokojna. Głupi żart Marka obudził w niej chyba jakąś dziką paranoję, pobudzoną społeczną psychozą związaną z morderstwami. Głupoty i autosugestia. Przez chwilę myślała, żeby wrócić do domu. Zawstydziała się swojego zachowania, napadu idiotycznej paniki i telefonu o północy...

Wtedy poczuła zimny dreszcz na karku. Nagły, lodowaty, spływający po kręgosłupie. Stawiający wszystkie włoski na jej ciele.

Nie zdążyła się odwrócić.

– Tu się mnie nie spodziewałaś? – usłyszała za sobą.

Nie dał spać Traczowi. Nie wiedział, że ten, cały zmarznięty i mokry, dopiero przywłókł się z cmentarza. Skoro pisanie raportu szło mu jak po grudzie, to chciał zmusić go do stawienia się na rozmowę. W końcu temat był rozwojowy i zamierzał mu przedstawić kolejną sprawę. Nieważne, że była już prawie północ. Czuł pobudzającą potrzebę działania, która rozbudzała lepiej od najmocniejszej kawy. Skoro sam nie mógł spać, nie dał spać nikomu. Zorganizował coś w kształcie narady i oprócz profilerę wezwał wszystkich policjantów, którzy mieli bezpośrednią styczność ze śledztwem.

Kiedy stłoczyli się w sali konferencyjnej, dostrzegalny był rozmach operacji. Kilkadziesiąt osób, zmęczone twarze, podkrążone oczy i napoje energetyzujące w dłoniach. Jeszcze paręnaście godzin wcześniej sądził, że to formalizm posterunkowej Nowak mógłby zamienić ich w zombie. Wystarczył jednak seryjny morderca. Nieważne, czy jeden, czy było ich więcej, udało mu się nie tylko odebrać kilka żyć, lecz jeszcze więcej doprowadzić do wykończenia. Gdyby w pomieszczeniu wybuchła bomba, zawalił się dach albo budynek runął w wyniku trzęsienia ziemi, lubelska policja przestałaby istnieć. Zostałyby drobne płatki i jeszcze drobniejsi krawężnicy, którzy pozbawieni zwierchników nie wiedzieliby, w co się ubrać. Stojąc naprzeciwko tego tłumu, chciał właśnie o tym powiedzieć. Mógł polechtać ich ego i zmotywować do działania i jeszcze większego wysiłku. Zaczerpnął powietrza.

– Spierdoliłiśmy tę sprawę – nie potrafił zacząć inaczej. – Totalnie, na całej linii frontu spierdoliłiśmy. Jeden podejrzany leży w szpitalu, dwóch kolejnych grasuje na wolności. Musicie wiedzieć, że prokuratura zdecydowała o formalnym objęciu ich śledztwem. Mamy nakaz zatrzymania.

Nie wiedział, czemu się dziwią i wymieniają między sobą przyciszone uwagi. Banda matolów.

– Być może działali w trójkę, być może sprawcą jest tylko jeden z nich, a może żaden. Nie mamy jednak żadnych innych tropów.

Jego słowa przerwało jęknięcie otwieranych drzwi. Do środka chyłkiem wszedł aspirant Brzeski. Skinął do komisarza i oparł się o ścianę, wsuwając ręce do kieszeni. Nie miał bandaża, a opuchlizna policzka wręcz pulsowała w sztucznym świetle pomieszczenia.

– Aspirant Brzeski... – komisarz zawiesił głos. – Drań, od którego dostał po gębie, wylądował w szpitalu, więc odważył się do nas zawitać.

Po sali przemknął chichot. Brzeski też się uśmiechnął, bezradnie rozkładając ręce.

– Ale siedząc w domu, nie próżnował – ciągnął Deryło. – Zrobił być może o wiele więcej niż my wszyscy, będąc w robocie.

– Czyli zrobił cokolwiek – padł głos gdzieś z przodu.

Sala wybuchła śmiechem. Zaczął go wkurwiać ich wyborny nastrój.

– Spokój, spokój. – Komisarz splótł ręce na piersiach. – Jeżeli nie ruszymy do przodu, będziecie mogli pomarzyć o wódeczce do śledzia i śpiewaniu kolęd. Nie wiem jak wy, ale ja cholernie chcę usiąść ze swoją rodziną i wiedzieć, że mamy właściwą osobę za kratkami, a dwie zaginione kobiety zostały uwolnione.

Umilkli. Wiedzieli, że może im zepsuć święta. Tak morderca, jak Deryło. Jeżeli się uprze i każe im harować bez przerwy, nic na to nie będą mogli poradzić. W komendzie panował stan nadzwyczajny.

– Aspirant Brzeski znalazł nagrania, w których poszukiwany Daniel Kos jest poddawany egzorcyzmom. Nie mam pojęcia, jakie to może mieć znaczenie, ale wszystko się kręci wokół religii. Chociaż nasz profiler – komisarz wskazał na Tracza – twierdzi, że religijne czy konkretnie satanistyczne elementy mogą stanowić jedynie próbę zmażenia prawdziwego motywu. Ale posłuchajmy pańskiego stanowiska co do dzisiejszej ofiary. Zdjęcia kazałem panu dostarczyć razem z wezwaniem.

Profiler przecesał palcami jeszcze mokre włosy. Przez chwilę nie wiedział, czy mówić w stronę komisarza, czy w stronę sali, wreszcie odwrócił się bokiem, stając plecami do części zebranych.

– Widziałem już te fotografie – przyznał. – Oczywiście, opinia niepoparta wnikliwą analizą zebranego materiału nie może być wyczerpująca...

– Do rzeczy, człowieku – mruknął ktoś z głębi sali. – Ranek nas zastanie!

Tracz nawet nie odwrócił się w jego stronę. Wbił wzrok gdzieś w podłogę i przygarbił się. Podobnie jak niegdyś jego wykładowca.

– Rzeczywiście, wiele okoliczności może świadczyć o tym, że motyw satanistyczny to zły trop. Nacięcia na piersiach pierwszej ofiary mogły wskazywać na podłoże seksualne. A to gdzieś umknęło przy kolejnych zwłokach. Mamy różaniec, ciało ucharakteryzowane na odwrócony krzyż z twarzą skierowaną w stronę ziemi, mamy wreszcie profanację Męki Pańskiej. Ten ostatni przypadek ma jednak inny punkt zaczepienia, o ile to w tym kontekście dobre słowo. – Tracz podniósł wzrok i zerknął w stronę komisarza. – Chodzi mi o wystający z rany fragment jelita. Czysto teoretycznie stwierdziłbym, że w głowie sprawcy zastany przez nas obrazek równa się ze skrajnym upodleniem ciała. Albo z bezpośrednim wywleczeniem na świat prawdy o ofierze. Takie symboliczne i mniej problematyczne obdarcie ze skóry. Tylko wszystko sprowadza się do odpowiedzi na pytanie, którą dostaniemy zapewne dopiero jutro. Czy ta kobieta żyła w chwili, kiedy jej, mówiąc wulgarnie, wypruwał flaki?

Tym razem w sali zaległa całkowita cisza. Profiler poruszył się i splótł dłonie.

– Wiele wskazuje na to, że pierwszą ofiarę sprawca chciał zabić jej własnym strachem. Jakkolwiek pokrętnie to by brzmiało. Dlatego zwiększył farmakologicznie reakcję jej organów, doprowadzając w konsekwencji do zawału serca. Druga ofiara najprawdopodobniej została pozbawiona ręki i nogi, kiedy jeszcze żyła. Dopiero w wyniku rozerwania tętnic i wykrwawienia nastąpił jej zgon. Prawdziwy sadyzm. Nie potrafię określić dlaczego, ale mam wrażenie, że naszemu sprawcy bądź sprawcom zależy na wywoływaniu emocji, cierpienia i strachu. I to wcale nie u nas, ale u ofiary. Chcą się tym otaczać, eufemicznie mówiąc, nurzać się w ostatnich wydechanych technieniach. To jest w tym nietypowe.

– Dlaczego? – dopytał komisarz.

– To jak schizofrenia, która komplikuje sprawę. Z jednej strony pragnienie osiągnięcia samozadowolenia, a z drugiej nieukrywanie zwłok. Upodlenie ich, ale dokonane na widoku publicznym, a nie w zaciszu własnego gabinetu tortur.

– Ryzykując przy tym bycie zauważonym.

– Dokładnie. To wykracza poza typowe schematy. Dlatego odkrycie prawdziwego motywu powinno nas doprowadzić prosto do sprawcy.

– Skoro jest nietypowy, to jego rozgryzienie będzie tym trudniejsze – mruknął z tyłu Brzeski. – Ale mając wytypowanych podejrzanych, musimy ich tylko złapać...

Profiler pokręcił przecząco głową.

– Właśnie w tym jest problem. W tym, że dopuszczamy możliwość współdziałania aż trzech chorych umysłów.

– Jak już wspomniałem komisarzowi, ułożenie kolejnych zwłok wskazuje na to, że miejsce, w którym zostają przygotowane, ma szczególne znaczenie. – Tracz odkasznął. – Drugie zwłoki wepchnięto do opróżnionego grobu. Tu wydźwięk działania był oczywisty i nie nasuwa praktycznie żadnych wątpliwości. Pierwsze stanowiły problem, ale nie tylko aspirant Brzeski odrobił dzisiaj zadanie domowe. Także poszperałem w internecie i odkryłem, że opuszczony dom, przy którym zostawiono zamordowaną, uchodził kiedyś za nawiedzony. – Profiler postanowił zachować wypad na cmentarz dla siebie. – Nic ciekawego, historia mało znana, a zła sława miejsca szybko uleciała, odkąd stało się siedliskiem narkomanów i okolicznych lumpów. Gdyby sprawcy zależało tylko na tym, umieściłby zwłoki w środku. Tymczasem on chciał, żebyśmy je znaleźli.

– A co z trzecią ofiarą? – zapytał komisarz.

– Nie mam pojęcia. – Tracz rozłożył ręce. – Tamte okolice nic mi nie mówią.

Deryło popatrzył po sali i zauważył, że jeden z policjantów stara się złapać jego spojrzenie. Zirytowany skinął do niego głową.

– Sierżant ma jakieś informacje?

Funkcjonariusz z wąsami w stylu amerykańskich strażaków odchrząknął.

– Wydaje mi się – mówił, jednak tonem pewności – że w tamtym miejscu ma być wybudowany kościół albo kaplica dla mieszkańców osiedla.

Komisarz parsknął sarkastycznie. Przyciszone szmery dały upust emocjom.

– To trzeba sprawdzić. Chcę to wiedzieć na wczoraj.

Sierżant skinął głową i amerykańskim zwyczajem zanotował polecenie w skoroszycie. Aspirant Brzeski zrobił kilka kroków w stronę środka sali.

– W związku z egzorcyzmami, o których była mowa – odezwał się – przyszło mi do głowy, że ten chłopak może być po prostu chory psychicznie. Zazwyczaj jakiegokolwiek rytuały kościelne przeprowadza się dopiero po diagnozie medycznej. W tym przypadku zresztą była wprost mowa o epilepsji.

– Co sugerujesz?

– Zdobyć karty leczenia szpitalnego, może tam na coś trafimy.

Komisarz pstryknął palcami.

– Świetnie, też chcę je mieć jak najszybciej na biurku.

– Czy wiemy, jak zakończyły się te egzorcyzmy?

Policjantka w stopniu sierżanta głośno zgniotła puszkę po napoju energetycznym.

– Właściwie to nie – odparł Brzeski. – Możemy się domyślać, że nagranie jest jedynym, ale nie mamy pewności.

– Przynajmniej na filmach nigdy nie kończy się na jednym razie.

– Co macie na myśli? – zapytał komisarz.

– Powinniśmy się dowiedzieć, kto dokonywał tych egzorcyzmów i jak się skończyły. Może są inne taśmy z ich przebiegu. To pozwoliłoby zbudować pełniejszy portret psychologiczny tego chłopaka.

– Dobra myśl. – Deryło klasnął mobilizująco niczym trener drużyny piłkarskiej. – Mamy jakieś pomysły, teraz trzeba je zrealizować.

– Zanim trafimy na kolejnego trupa – ponuro mruknął ktoś z sali. – Wtedy prasa nas zlinczuje.

– Właśnie – komisarz podłapał temat. – Nie chcę żadnych wywiadów, żadnych przecieków, żadnych plotek. I tak zaczynamy mieć w mieście psychozę.

– Obywatele powinni wiedzieć...

– Obywatele zobaczyli już w telewizji panią rzecznik prokuratury, a później złotoustego Malczewskiego. Skończyło się szopką.

Przyciszony szmer śmiechów.

– A po tej szopce mamy kolejną ofiarę – ciągnął Deryło. – On mówi o bezpieczeństwie i o tym,

że dopadnie Kubę Rozpruwacza, a gromy spadają na nas.

– Cztery Iksa.

Komisarz spojrział na piegowatego, ryżego policjanta.

– Co cztery iksa?

– Tak go nazywają we wszystkich mediach.

– Ach tak, jasne. Mam wrażenie, że dziennikarze mają dostęp do wszystkich szczegółów śledztwa. Czuję tu smród tropiących pismaków...

Chciał jeszcze przypomnieć o tajemnicy służbowej, o ideałach, o służbie, ale było na to wszystko za późno. Nie zachęciłby tym nikogo do pracy. A jeżeli rzeczywiście ktoś kontaktował się z prasą, to i tak będzie to robił dalej. Normalnie Sowa i Przyjaciele na komisariacie. Szkoda, że bez ośmiorniczek.

Podziękował wszystkim za obecność i zakończył odprawę. Był cholernie zmęczony, ale wiedział, że musi dać z siebie jeszcze więcej. Mimo wszystko byli za mordercą daleko w tyle. Zastanawiali się nad tym, jak podejść bliżej, jak zmusić go do błędu. A on? A on pewnie właśnie myślał, jak zabić.

24 GRUDNIA, WIGILIA

Deryło cały nabuzowany wrócił do gabinetu. Chciał działać. Oczy mu się zamykały, ale wiedział, że nie zaśnie. Miał zbyt dużo do zrobienia. Przy każdej innej sprawie machnąłby na wszystko ręką i rzucił się na łóżko. Najpewniej wychyliłby jeszcze szklaneczkę koniaku. Po co się przejmować? Ale tym razem było zupełnie inaczej. W dupie miał presję mediów, jeszcze głębiej prokuratora Malczewskiego, o innych przełożonych nawet nie wspominając. Chodziło o coś zupełnie innego. Ten sukinsyn rzucił mu wyzwanie. Wodził za nos i zmuszał do popełniania błędów. Nawet jeżeli nie powinien brać tego personalnie, poczuł się jak byk, przed którym ktoś wymachuje czerwoną kapą.

Wyciągnął telefon i wybrał numer.

– Wiem, czego chcesz – usłyszał niemal od razu. – Szkoda gadać przez telefon. Jesteś jeszcze na komendzie?

Zaskoczony nocnym słowotokiem Gawińskiego jedynie przytaknął.

– Właśnie zbieram się do domu, zajadę do ciebie. Wpuści mnie ktoś po nocy?

– Znają cię na stróżówce.

Lekarz się rozłączył. Nie powiedział nawet, kiedy się go spodziewać. Deryło zaczął przeglądać internetowe wiadomości. Media żyły sprawą Cztery Iksa i na całego wycierały sobie policją gębę. Bez krztyny litości. Najwyraźniej nakręcone medialną machiną społeczeństwo wpadło w panikę. Na portalach przeważały sensacyjne nagłówki i domysły. Jak zwykle w takich sytuacjach odezwali się również politycy. Z lewa i prawa padały obietnice i zapewnienia. Jedni domagali się przywrócenia kary śmierci, inni żądali reformy policji, jeszcze inni apelowali o dymisję ministra spraw wewnętrznych albo nawet premiera. Sam bełkot i pustosłowie. Tekst zatytułowany *7 porad jak uniknąć spotkania z Cztery Ikssem* wściekł Deryłę. Tępota odbiorców, perfidia nadawców i zeszczenie czegoś, co aspirowało do miana czwartej władzy. Gówniane społeczeństwo. Wyłączył przeglądarkę i otworzył szufladę.

Ze zdziwieniem zauważył, że bloczek z kartkami do origami jest prawie pusty. Zostały jedynie dwie białe. Zerknął pod biurko. W koszu kłębiły się dziesiątki pomiętych żurawi, w każdym kolorze, którego nazwę potrafił wymówić. Nie miał pojęcia, kiedy je zrobił. Miał jedynie nadzieję, że nie była to oznaka rozpoczynającej się choroby psychicznej. Złożył papier w klasyczny samolocik i puścił go w stronę drzwi. Z niezrozumiałych powodów uleciał ledwie do połowy gabinetu, po czym zarył w podłogę. Eksperyment godny komisji smoleńskiej.

Deryło wstał od biurka i podniósł papierek. Mimochodem spojrzął przez okno. Lublin pogrążony był w głębokim, zimowym śnie. W miejsce deszczu miasto zaczęła spowijać mgła. A może był to smog? Tyle się o nim ostatnio mówiło.

Zanim się nad tym zastanowił, rozległo się energiczne pukanie. Po chwili do jego gabinetu wszedł doktor Gawiński.

– Mówiłem ci, że masz za dużą tabliczkę na drzwiach – parsknął na powitanie. – Powinieneś ją zastąpić zakazem wstępu.

Ubrany był w wyszywany sweter i granatowe dzinsy. Przez ramię przerzucił długi zimowy płaszcz. Mimo nocnej pory na jego twarzy Deryło nie dostrzegł śladów zmęczenia.

– Przystawiasz się na tryb sowy? – zapytał, potrząsając dłonią lekarza. Zmięty samolocik wsunął do kieszeni.

– Wyspałem się dziś na dyżurze. Gdyby nie trup od ciebie, nie miałbym nic do roboty.

– Szczęściarz.

Gawiński zbyt tę uwagę i rozejrzał się po gabinecie.

– Jak zwykle nie mam co u ciebie liczyć choćby na ciastko?

– Od północy wydaję tylko szampana lub kawę.

– A herbatę?

– W pracy nie pijam. Porządne zaparzenie zajmuje zbyt wiele czasu.

– W takim razie zostanę o suchym pysku.

– Jak wolisz.

Deryło rozłożył ustawione pod ścianą krzesło. Postawił je przy biurku i skierował w stronę swojego fotela.

– Siadaj – skinął do lekarza. – Co mamy zrobić jutro, zrobmy dziś. Jutro dłużej się polejemy.

– Święte słowa. – Gawiński usiadł i założył dłonie za głowę. – I tak dzisiaj nie zasnę.

– Aż tak się wypałeś?

– Nie o to chodzi. Dziś jest ten cholerny dzień.

Komisarz dopiero zaskoczył. Cholernym dniem patomorfolog nazywał niezmiennie każdą Wigilię. Przed kilkoma laty właśnie dwudziestego czwartego grudnia zmarła jego żona. Deryło domyślił się, że tylko dlatego wparował do niego w środku nocy. Potrzebował oderwania się od ponurych myśli i wspomnień. Komisarz zawahał się przed zadaniem pytania, ale Gawiński zaczął sam z siebie.

– Skończyłem sekcję. Ten zwyrodnialec wzniosł się na wyżyny swojego obłądu.

– Co masz na myśli?

– To, z jaką perwersją on to robił. – Patomorfolog pogładził łysinę. – Mimo zaszytych ust ta dziewczyna robiła wszystko, żeby rozerwać nici. Musiała być skrepowana. Obrazowo mówiąc, próbowała krzyżeć, niemalże wrywając sobie wargi.

– Jezus Maria...

– To nie wszystko. Z racji nadchodzącego cholernego dnia byłem chyba wyjątkowo cięty na laboratorium. Musiałem bluzgać wyjątkowo przekonywająco, bo mam już wstępne wyniki badania krwi.

– Domyślam się, że trafiłeś na coś ciekawego.

– Owszem. Wykryto potężną dawkę oxycortolu.

– Wiesz, że nic mi to nie mówi.

Gawiński spojrzał ponuro na komisarza. Jego małe oczka zalśniły.

– To substancja zwiększająca ilość tlenu we krwi – wyjaśnił. – Ten skurwysyn chciał, żeby dziewczyna była przytomna, kiedy rozbebeszał jej wnętrzności.

Deryło z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Domyślasz się dlaczego?

– Nawet nie próbuj przerzucać tych pytań na mnie – mruknął patomorfolog. – Nie mieszaj mnie choćby w domysły. Ja odwaliłem robotę.

– Sam użyłeś formy przypuszczającej.

– Czyli powiedziałem aż zbyt dużo. Doskonale wiesz, że ani motywy, ani dane personalne mnie nie interesują. Chyba że będę miał tego świra przed sobą na stole.

– Zrobię wszystko, żeby tak było.

Kiedyś nie wypowiedziałby tych słów na komendzie. Miał wieczne przeświadczenie, że przełożeni go podsłuchują. Odkąd został nadkomisarzem, a jedyny zwierzchnik dawał mu pełną swobodę, przestał się przejmować. Wreszcie prawa człowieka mógł mieć w dupie. Tym bardziej że dla niego zwyrodnialcy z urzędu tracili godne miano człowieka. Oczywiście ograniczało się to przede wszystkim do słownych deklaracji. Chociaż nagięcie regulaminu nierzadko sprawiało mu prawdziwą przyjemność.

Odkąd pamiętał, trawił go klasyczny dylemat moralny gliniarza. Czy zbrodniarza powinno się za wszelką cenę dopaść i sprawiedliwie osądzić? A może najlepiej jak najszybciej go wyeliminować ze społeczeństwa? Trzeciej opcji nie dopuszczał. To okrutne, ale rodziny ofiar wypadków spowodowanych przez pijanych kierowców odczuwają większą ulgę, jeżeli sprawca również w nich zginął. Takie są wyniki badań. Nikt nie przeprowadził badań nad tym, czego najbardziej pragną rodziny ofiar seryjnych morderców. On znał odpowiedź. Najpewniej domagałyby się ich torturowania, i to w najbardziej wyrafinowany sposób. Chwalebnie jest czynić to, co należy, a nie to, co wolno, powtórzył w myślach za Seneką. Chociaż mogło to mieć oplakane konsekwencje.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy był nieopierzonym policjantem, został na krótko oddelegowany do podlubelskiej komendy. Sprawy kręciły się wokół drobnych kradzieży, włamań do budynków gospodarczych i pijackich awantur. Ciągłe to samo, w różnej kolejności. Któregoś dnia zgłoszono zaginięcie młodej dziewczyny. Prawdziwa bomba w idyllicznym świecie. Przez ponad tydzień prowadzili intensywne dochodzenie, zbierając najdrobniejsze ślady. Przesłuchali dziesiątki osób, przepracowali setki godzin w terenie. Wreszcie natrafili na trop, który zaprowadził ich do opuszczonej leśniczówki. Strzał w dziesiątkę. Dziewczyna, choć była wycieńczona fizycznie i psychicznie, została uratowana. Nie udało im się jednak dowiedzieć, kto stał za porwaniem. Najpierw katatonicznie milczała, później zasłaniała się brakiem pamięci.

Pięć albo sześć dni po jej odnalezieniu Deryło miał uczestniczyć w kolejnym z rzędu wywiadzie środowiskowym. Lokalna specyfika wymagała specyfiki działań. Na miejsce udał się z prowadzącym sprawę podkomisarzem. Był to dobry chłop, pamiętający czasy poprzedniego ustroju i gotowy w każdej chwili udać się na przymusową emeryturę. Kiedy przyjechali do wsi, wydawało się, że wszystkie domy zostały pośpiesznie opuszczone. Jak pokład Bounty albo innych statków widm. Żadnego pijaczka na ławce pod sklepem, żadnego traktora brnącego wyboistą drogą. Dopiero kiedy wysiedli z radiowozu, usłyszeli krzyki. Dobiegały gdzieś spod lasu. Zaniepokojeni odłożyli na później przesłuchanie i pośpiesznie ruszyli w ich stronę.

Przy ścieżce prowadzącej do leśniczówki zebrał się tłum ludzi. Z daleka dostrzegli panujące zamieszanie. Zupełnie jakby na skrawku pola urządzono zawody, którym tubylcy żywiłowo kibicowali. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Przepchnęli się pomiędzy zgromadzonymi i wtedy wszystkiego się domyślił.

Ojciec i brat odnalezionnej dziewczyny okładali łopatami zwiniętego w kłębek mężczyznę. Wokół bryzgała krew, a leżący już się prawie nie ruszał. Charcząc i rżąc, drgał w rytmie uderzeń. Jego palce ryły wysuszoną ziemię.

Deryło, wiedziony szczeniackim instynktem, rzucił się w ich stronę. Wtedy podkomisarz złapał

go za ramię i bez słowa odciągnął na bok. Wyraźnie pamiętał wdzięczne, porozumiewawcze spojrzenia zebranych. Pamiętał smak skręcanego papierosa, którym poczęstował go przełożony, i chwilę, kiedy plaśnięcia łopat ustały. A razem z nimi rżenie. Dopiero wtedy podkomisarz wyrzucił peta i ruszył w stronę oblanych potem mężczyzn. Ich ofiara leżała już w wiecznym bezruchu, a zebrani zaczęli się w milczeniu rozchodzić.

Ojciec i brat dokonali zemsty. Był to jedyny raz, kiedy zakładając komuś kajdanki, widział w jego oczach ulgę.

– Halo! – Gawiński wyrwał komisarza z zamyślenia.

– Przepraszam, chyba zacząłem przysypiać.

– Powinieneś się położyć.

– Nie mam na to czasu.

Deryło podniósł się i otworzył okno. Przez chwilę stał smagany lodowatym powietrzem.

– Co więcej wiemy o ofierze? – zapytał, nie odwracając się.

Gawiński podszedł do niego i wyjął papierosa.

– Na przykład to, że została zamordowana znacznie wcześniej, niż ją znalazłeś.

– To znaczy o której?

– Najprawdopodobniej wczoraj nad ranem. Krew, która ściekała z rany, nie była jej krwią.

– Widzę, że opieprzenie laboratorium przynosi efekty.

– Może to jest na nich metoda.

Deryło się uśmiechnął.

– Pal śmiało – powiedział, patrząc jak lekarz gniecie w dłoniach papierosa. – Mnie dym nie przeszkadza. Poza tym ta wichura szybko wszystko przewietrzy.

– Palę tylko w swoim gabinecie.

– A to od kiedy?

– Urodzinowe postanowienie.

Gawiński miał urodziny w październiku. Czyli wytrzymał już ponad dwa miesiące. Niezły wynik, gdyby nie fakt, że większość życia spędzał w swoim gabinecie.

– Więc będziesz go tak międlil w ręce?

– To mi pozwala się powstrzymać.

– Skoro tak mówisz...

Deryło zaczerpnął głęboko powietrza i zamknął okno.

– Mamy coś jeszcze? – zapytał.

– Została jedna ciekawostka. Wiesz, że najlepsze zostawiam dopiero na koniec.

– Nie wiem, czy mam ochotę ją słyszeć.

– W takim razie przeczytasz w raporcie. – Lekarz uśmiechnął się szeroko. – Myślę, że wyrobię się do południa.

Deryło przetarł podkrążone oczy.

– Bądźmy poważni.

– Wiesz, że ja jestem śmiertelnie poważny.

– Więc co to za ciekawostka?

– Nagle zdecydowałeś, że chcesz wiedzieć?

– Nie wkurwiał mnie – komisarz warknął nerwowo. – Nawet w przyjaźni są granice cierpliwości.

Gawiński z godnością przez chwilę milczał. Wreszcie odezwał się swoim zwykłym tonem.

– W jamie brzusznej ofiary znalazłem coś nietypowego. Cholernie ostrą brzytwę.

Daisy była pięciomiesięcznym chomikiem dżungarskim. Najmniejsza z całego miotu, miała wyjątkowo pogodne usposobienie. Popiskując z radości, zajadała się nasionem dyni. Marszcząc pyszczek, objęła je przednimi łapkami i nadgryzła. Czarne ruchome oczka były szeroko otwarte. Lśniła w nich radość smakowania ulubionego przysmaku. Jej szary grzbiet falował w rytmie kolejnych kęsów. Przez całą jego długość przebiegała ciemna, nieregularna pręga. Daisy była naprawdę pociesznym stworzeniem.

Kiedy uporała się z nasionem dyni, rzucił jej pozbawiony łupiny orzech włoski. Przysmak numer dwa sprawiał jej znacznie więcej problemów. Przez chwilę szukała miejsca, aby móc go złapać w ząbki. Trącała go noskiem i popychała łapkami, aż natrafiła na wystającą, wąską część orzecha. Prychnęła zadowolona.

Podrapał ją za uchem. Nie przestając przeżuwać, obróciła główką. Drapanie uwielbiała tak samo jak jedzenie. Przez całe swoje krótkie życie nie nauczyła się bawić na kołowrotku. Wchodziła na niego w poprzek i przebierała łapkami pomiędzy kratkami. Podobno najmniejsze sztuki z miotu bywają też najmniej rozgarnięte. Bawiło go to. Nie szkolił jej przecież na zwierzę cyrkowe, za którego sztuczki ludzie będą mu wrzucać pieniądze do kapelusza. Rozrywka dla prostaków. Tak samo jak męczenie chomików przebieraniem w zabawne stroje i przyklejanie im do głów czapeczek.

Hodował je od wielu lat. Dżungarskie, syryjskie, Roborowskiego, a nawet rzadki gatunek Campbella. Mógłby na ich temat napisać niezły podręcznik. Opracowania rynkowe nie miały nic wspólnego z behawioryzmem. Ich autorzy rozwodzili się nad bilansowaniem diety, sposobami pielęgnacji i wpływem genów na rodzaj umaszczenia. Zupełnie jakby żaden z nich nie interesował się zachowaniem tych stworzeń. A może sami nie wiedzieli, że chomiki trzymane w odpowiednio niskiej temperaturze zapadają w sen zimowy? Możliwe też było wywołanie u nich przejściowego torporu, czyli kontrolowanego obniżenia ciepłoty ciała, zwiększającego długość życia. Sam to zaobserwował. Przez lata zappełnił wiele grubych zeszytów bardzo szczegółowymi analizami. Jego hodowla była z pewnością najlepsza, choć nie wiedział o tym nikt poza nim. I nie musiał wiedzieć.

Daisy była wyraźnie zmęczona walką z orzechem. Zamarła w bezruchu, opierając o niego łapki.

– Co tam, moja panno? Nie możesz sobie poradzić?

Wziął orzech i rozgniół go w dłoni na mniejsze kawałki. Daisy fuknęła z radością. Natychmiast spałaszowała kilka okruszków i zabrała się do największej części.

– Głupiutka, ale ambitna – zarechotał. – No, dalej!

Z uśmiechem obserwował, jak odgryza kolejne kęsy. Kiedy skończyła, pogłaskał ją po grzbiecie.

– Teraz musimy zrobić to, co zrobiliśmy z twoim tatusem i mamusią.

Daisy popatrzyła na niego czarnymi oczkami.

– Tak, tak, ja też byłbym ciekawy.

Wziął ją delikatnie w dłonie i wyjął z klatki. Kilkadziesiąt innych chomików popiskiwało, obserwując, co się dzieje z ich krewniaczką.

Pogwizdując, przeszedł kilka kroków. Lubił ten moment. Podniósł zwierzę i spojrzał mu jeszcze raz w oczy. Teraz zdradzały, jak bardzo jest zdezorientowane. Lśniły, ale nie widział w nich swojego odbicia.

– Jimmy na ciebie czeka – szepnął.

Przełożył Daisy do lewej dłoni i otworzył drzwiczki terrarium.

Ponad metrowy pyton z zainteresowaniem podniósł głowę.

Głośno sapiąc, stał tuż obok. Znowu zapalił lampę naftową i postawił ją w rogu pomieszczenia. Kobieta drgnęła. Na podłodze przed sobą wyraźnie widziała skrzącą się w półmroku, rozmazaną plamę krwi. Czula jej mdły, słodkawy zapach. Chciała wymiotować, ale nie miała czym. Jej żołądek kłuł, ściskany bezskutecznymi, dławiącymi przełyk torsjami. Woda, którą w blaszanym kubku dał jej przed kilkoma godzinami, smakowała błotem i pleśnią. Zaklejone na powrót usta niosły obawę zadławienia się własnymi wymiocinami, lecz spragniony organizm musiał ją błyskawicznie wchłonąć.

Zjawa zbliżyła się i jednym ruchem oderwała taśmę. Kobieta nie zwracała już nawet uwagi na pieczenie warg ani policzków, mając je za przyjemny przejaw tego, że nadal żyje. Nieważne, jak bardzo chciała umrzeć, pragnienie życia nie pozwalało jej na to. Każda myśl o tym, jak się zabić, ginęła w starciu z rzeczywistością. Przerażona, współprzutomna, mogła łamać paznokcie, nie zważać na otarcia od więzów i rany, ale nie byłaby w stanie pozbawić się życia.

Z trudem oblizła usta. Zdrętwiały język otarł nabrzmiałe, poharatane wargi.

– Czego chc... – słowa uwięzły jej w gardle.

– Czego chcę? – zapytał za nią. – Żebyś została przy mnie aż do samego końca. Swojego końca.

Nie potrafiła myśleć logicznie. Jej umysł pracował w jakimś odległym wymiarze, pozostawiając jedynie strach.

– Zabiłaś ją.

Nie odpowiedziała. Zapiszczała, kręcąc głową, i poczuła, że łzy spływają jej po policzku. Nie zabiła. Nie była szalona i doskonale wiedziała, co się stało. Pamiętała, jak rozcinał bok leżącej przed nią kobiety, jak ta wiała się z bólu i wrzeszcząc, rozszarpała zaszyte usta. Na próżno. Widziała, jak zamiast rozerwać nici spinające wargi, powiększała tylko krwiste rany w przebitej na wylot tkance. A później...

Zabrał brzytwę, którą trzymała, i wepchnął ją do jamy brzusznej. Jakim cudem ta kobieta mogła jeszcze żyć? Ciemna krew, bulgocząc, wypływała na podłogę i zbierała się wokół jego stóp. On brodził w niej, zostawiając wszędzie ślady swojej morderczej obecności.

– Nie pamiętasz, jak ją zabiłaś?

– Nie zabiłam jej – chciała krzyknąć, ale wydała z siebie ledwie szept.

– Ależ tak. Popeliłaś ten grzech śmiertelny. Widzisz przed sobą krew swojej pierwszej ofiary.

Znów pokręciła głową. Było jej duszno i gorąco, chociaż w pomieszczeniu panował chłód.

– Nie...

– Chcesz się tylko przed sobą usprawiedliwić. Tak samo jak wypierasz zdradę męża.

– Pamiętam, co się stało. – Gardło paliło, jakby wygłosiła właśnie wielogodzinne przemówienie.

Leżała przed nią. Była przecież tak blisko. Kazał jej patrzeć, był wściekły, kiedy tylko zamykała oczy lub odwracała spojrzenie. Groził, że za każde mrugnięcie wyrwie jej jeden paznokieć.

Patrzyła także wtedy, gdy przyniósł wielkie gwoździe i rozłożył je na podłodze. Dokładnie widziała, jak kobieta powoli umiera i przestaje się ruszać. Modliła się, żeby już nie żyła. W myślach błagała Boga, żeby darował jej to cierpienie. Nadaremno. Kiedy przyłożył szpic gwoździa do czoła kobiety, myślała, że ta już nie oddycha. Leżała niczym gipsowa rzeźba na upiornym nagrobku. W świetle lampy naftowej jej biała, matowobiała twarz kontrastowała z lepką czerwienią krwi.

Nagle cień zamachnął się młotkiem, a czaszka pękła z chrobotem. Gwóźdź rozłupał ją i wbił się głęboko, ledwie wystając ponad miążgę czoła. Wtedy kobieta nagle rzuciła się, wierzgnęła nogami i z jej nosa dobiegł przeraźliwy świst. Zupełnie jakby jej dusza krzyczała, opuszczając ciało. Po chwili zapadła już cisza.

Kazał jej zabić, ale nie posłuchała go. Groził, szalał, ale nie mógł jej do tego zmusić. A później nagle odpuścił i sam zrobił to tuż u jej stóp. Była pewna, że kiedy rozprawi się ze swoją ofiarą, skupi się na niej i robi te wszystkie rzeczy, o których mówił. Ale on po prostu rzucił zmasakrowane ciało na worek foliowy i wyszedł bez słowa.

Nie zabiła. Tego była pewna.

– Widzę, że nie będziesz dzisiaj rozmowna – wycedził. – A mnie się nie chce ciebie słuchać.

Z całej siły złapał ją za podbródek, a drugą dłonią znowu nakleił taśmę. Szczelnie. Starannie sprawdził, czy nie zdoła jej sama odkleić.

Wyprostował się i wyciągnął coś z fałd szaty. Miała wrażenie, że w jego lodowatym spojrzeniu dostrzega błysk tryumfu.

– Jesteś morderczynią, czy tego chcesz, czy nie.

Nacisnął tłoczek strzykawki i spuścił na podłogę kroplę żółtego płynu.

– A teraz bądź grzeczna, to nie będzie bolało.

Kiedy komisarz Deryło poczuł, że zbliża się senność, minęła czwarta. Uporządkował wszystkie informacje zdobyte przez ostatnie dni, posegregował dokumenty i wiedział, że jego umysł bez chwili snu już nic z siebie nie wydusi. Wracać do domu nie było sensu. Dojazd, prysznic, a potem znowu wracanie na komisariat byłoby zwykłą stratą czasu. Zawsze kiedy prowadził ciężką sprawę, kończyło się jednym albo kilkoma noclegami w gabinecie. Miał całkiem wygodną sofę, obok łazienkę z niezłym natryskiem, kaloryfery grzejące pełną gębą na koszt państwa, a przede wszystkim ciszę. Drzwi doskonale tłumiły odgłosy z korytarza.

Wysłał Ewie krótkiego esemesa z nadzieją, że jej nie obudzi. Nie powinna się zdziwić. Marzył o tym, żeby dopaść tego sukinsyna przed Bożym Narodzeniem albo chociaż przed Sylwestrem. Zdawał sobie sprawę, że w tym tempie do Sylwestra będzie miał całą kostnicę trupów.

Wyciągnął z biurka pastę do zębów, szczoteczkę i szklaną mydelniczkę. Nie znosił myć się wyciskany płynem, który zaraz się splukiwał. Musiał się porządnie namydlić, połąć ciepłą wodą i czuć, że skóra jest wyszorowana. W szufladzie biurka były też slipy, skarpetki i podkoszulek. Nigdy nie wiedział, kiedy będzie musiał być gotowy. Ale był przynajmniej przygotowany.

Kiedy wracał z łazienki, zobaczył na korytarzu aspiranta Brzeskiego. Ubrany w płaszcz, właśnie kierował się do windy.

– Z głową chyba nie najlepiej? – krzyknął za nim.

Brzeski odwrócił się i obrzucił go pytającym spojrzeniem.

– Dlaczego pan tak uważa, komisarzu?

– Jeżeli będąc na urlopie, przychodzi się do roboty i zostaje w niej do rana, to znaczy, że albo się oszalało, albo solidnie dostało w łeb.

– Albo ma się wrażenie, że jest się o krok od mordercy.

– Co masz na myśli?

Brzeski rozpiął płaszcz i podszedł do komisarza. Sina skóra worów pod jego oczami złała się w jedną całość z opuchlizną.

– Nie wiem – wzruszył ramionami. – Właśnie dlatego jak tylko dowiedziałem się o kolejnej ofierze, przyjechałem tutaj. Licząc, że dostanę nagłego olśnienia.

– Najwyraźniej go nie dostałeś.

– Nie. Ale coś przyszło mi do głowy. Zaraz po naradzie poszedłem do biura coś sprawdzić.

– Mam ci dać podwyżkę czy powiesz coś bez niej?

Aspirant się uśmiechnął.

– Wiem, że nie przeglądał pan komisarz raportu z oględzin tej altanki.

– Powiedzieli mi, że nic ciekawego nie znaleziono. Oczywiście całe mnóstwo śladów po tych gówniarzach, niewiele mniej związanych z postrzelonym, a poza tym nic ciekawego.

– Dokładnie. Ale kiedy oglądałem fotografie z tej działki, od razu coś mi nie pasowało.

Brzeski wyciągnął swój telefon.

– Niech pan zobaczy.

Nachylając ekran w stronę komisarza, pokazał zdjęcia zrobione aktom sprawy.

– Widzi pan te stosy butelek i puszek?

– Totalny syf.

– No właśnie. Na pierwszy rzut oka idealnie zgrywa się z oberwaną huśtawką, poniewierającymi się workami i innymi śmieciami.

– Ale?

– W większości nie są to rzeczy gromadzące się tam od lat. Butelki mają etykiety, puszki nie są zardzewiałe. Poza tym ułożone są w specyficznych miejscach. Nie przypominają składowisk śmieci wyrzuconych przez zula tam, gdzie akurat dopił piwo.

Komisarz zaczynał rozumieć, do czego zmierza Brzeski. Bez słowa otworzył drzwi do gabinetu,

wyciągnął z biurka kartkę papieru i długopis. Aspirant nieśmiało wszedł za nim do środka.

– Gdyby zrobić rzut z góry...

Deryło nakreślił na brulionie prostokątny kształt działki. Podświetlił wygasający ekran telefonu aspiranta i przyjrzał się rozmieszczeniu stert butelek i puszek.

– ...wtedy te stosy byłyby w tych miejscach.

Szybkim ruchem zakreślił kilka kółek. Brzeski stanął tuż obok niego i przyglądał się sporządzanemu szkicowi.

Komisarz połączył punkty szybko nakreślonymi liniami.

– Myślisz, że ci gówniarze zabawili się z nami? – Odłożył na bok długopis. – Przewidzieli, że będziemy szukać tego menela, i wrobili go?

– Nie mam pojęcia. Ale to wygląda podejrzanie.

Brzeski zastukał czubkiem palca w kartkę papieru. Dwie linie kreśliły na niej literę iks.

Deryło przysypiał oparty łokciami o blat biurka. Nawet wypita kolejka mocnych kaw nie była w stanie go obudzić. Właśnie minęła siódma, a on był prawie od godziny na nogach. Fakt faktem, że nie zrobił wiele, właściwie tylko zwlókł się z sofy i włączył laptopa. W wewnętrznym mailu miał informację o tym, że w miejscu odnalezienia ostatniej ofiary rzeczywiście ma powstać osiedlowa kaplica imienia Przemienienia Pańskiego. Niewielki przybytek, który zdaniem kościoła nie mógł sprostać potrzebom licznych wiernych. Jednakże w okolicy nie było żadnej większej parceli, a ta miała doskonałą lokalizację. I już od początku złą sławę.

– Ironia losu – komisarz odezwał się sam do siebie, żeby nie zasnąć. – O kant dupy potłuc...

Otworzył szufladę, ale bloczek z papierem do origami był pusty. Rozdrażniony wyrzucił jego okładkę i sięgnął po kartkę ze starego raportu. Przez chwilę zaginał ją, aby oderwać brzeg, lecz nagle zastygł w bezruchu. Coś przyszło mu na myśl. Dobijało się z podświadomości, chcąc nabrać konkretnej formy. Zdał sobie sprawę, że myślał nad tym przed zaśnięciem. Sen dopadł go, nim zdążył sprawdzić...

Zamknął laptopa i wyciągnął z szuflady opakowanie pinezek. Pamiętał, że natchnęło go nocne odkrycie Brzeskiego. Zdawał sobie sprawę, że efekt łączenia liniami śmietnisk mógł być mocno naciągany i powstać jedynie w głowie jego i aspiranta. Tak jak długotrwałe wpatrywanie się w chmury albo wzory na śniegu pozwala dostrzec uporządkowane kształty. Mózg ludzki doszukuje się jakichś powtarzalnych, logicznych obrazów. Najlepiej twarzy, które podświadomie odnajduje w każdym, nawet najbardziej dzikim otoczeniu. Stąd te wizerunki Madonn na zaszyronionych oknach, Jezusiki w rozplywającym się w zupie kleksie śmietany i inne cuda. To miało nawet jakąś nazwę, ale w tak sennym stanie miał ją oczywiście na końcu języka.

Bez przekonania podszedł do mapy i wbił pinezkę z czerwoną główką w miejscu, gdzie odnaleziono pierwsze ciało. Wąska, błotnisto-asfaltowa ścieżka na tyłach stacji benzynowej. Być może w pobliżu nawiedzonego domu, na pewno w pobliżu zarośli, jednej z głównych ulic i na obrzeżach wyjątkowo spokojnej dzielnicy. Zachód, a raczej północny zachód miasta. N, NW, jak określiliby to na geografii. Żadnych iksów, chociaż pierwsze litery wzięte od angielskich nazw kierunków.

Drugi trup. Cmentarz przy Unickiej. Okolica, w której regularnie bywał we Wszystkich Świętych, czasem też służbowo, ale poza tym nic go tam nigdy nie sprowadzało. Niegdyś ciesząca się złą sławą, godną swojej historii i ponurego sentymentalizmu. Wielki cmentarz kilku wyznań, a po drugiej stronie ulicy puste łany pozostawione jako wspomnienie po znielowanym przez Niemców kirkucie. Bliżej centrum, bliżej starego miasta, chociaż administracyjnie właściwie północny wschód Lublina. NE, idąc krokiem geograficznym. Główka czerwonej pinezki zaznaczyła mniej więcej miejsce, w którym znajdował się felerny grób.

I wreszcie trzecia ofiara. Deryło przez chwilę wodził palcem po śliskiej płaszczyźnie, wreszcie odnalazł szukaną ulicę. Geśia. Część miasta, która jeszcze przed dekadą była właściwie autonomiczną wsią, ze swoimi bezdrożami, łąkami i polami. Żadne tam zielone płuca aglomeracji, tylko podmiejski skansen. Zamieniony niestety w betonowe klepisko, pełne takich samych bloków, z których jedynym widokiem było okno sąsiada. Co gorsza, przekształcające się w rewir usługowy, z wielkimi hipermarketami, hurtowniami i składami towarów. Ponure świadectwo urbanizacji, która rozlewała się wokół miast niczym epidemia cementu, betonu i stali. SW. Południowy zachód. Skrót, który na upartego można by odczytać, jako „święty”, ale byłoby to aż nadto naciągane. Równie dobrze oznaczał Służbę Więzienną.

Trzy. Aż trzy i tylko trzy czerwone punkty znaczące mapę miasta. Całkowicie różne dzielnice, różne miejsca i ich otoczenia. Zastanowił się nad tym, co było wspólne dla wszystkich spraw. Płeć, element mistyczny i śmierć. Właściwie wszystko zamykało się w tych trzech słowach. Okoliczności, sposób zabójstwa, sprofanowanie zwłok nie miały ze sobą nic wspólnego. Również uroda kobiet nie pozwalała na opracowanie jakiegokolwiek klucza, którym kierowałyby się sprawca. Nie był to ani maniak platynowowłosych blondynek, ani rudych, ani brunetek. Nie wybierał niskich, wysokich czy

pokrzywionych. Po prostu chodziło mu o kobiety. Przynajmniej na razie. Dwie z nich zidentyfikowano, jednej jeszcze nie. Ostatnia została zabita, żeby zatrzeć ślady, jakie mogłyby doprowadzić do sprawcy. Czy tylko dlatego? Jej ciało również było zmasakrowane, wystylizowane i porzucone. Nie została po prostu zadżgana czy uduszona. Najwyraźniej zabójca kierował się logicznym myśleniem i skoro miał zabić, całą operację dopasowywał do swojej koncepcji. Nie marnował czasu i środków. Mogło to świadczyć o tym, że nie jest dla niego istotna ofiara, lecz sam fakt zamordowania. Być może również jej cierpienia.

Deryło czuł, że jego myśli nabrały tempa jedynie na chwilę. Smar powoli się wycierał i mózg zaczynał skrzypieć. Podeszedł do okna i spojrzał na lśniące w oddali dachy starego miasta, na wyrastający wśród pustki rektorat UMCS-u, wreszcie przeniósł spojrzenie na ciężkie, stalowe niebo. Mleczne, skłębione chmury wyglądały jak bombowce mające zaraz zwolnić śnieżny ładunek.

Usiadł z powrotem przy biurku i otworzył laptopa. Chciał jeszcze raz obejrzeć film z egzorcyzmów. Miał wrażenie, że kryje się za nim jeszcze jakaś historia, która ciągle umyka. Tym bardziej że wciąż nie miał dokumentacji leczenia szpitalnego. Choroba psychiczna mogła być doskonałym, trochę banalnym kluczem do rozwiązania zagadki. Mogła prowadzić do umiejętności podporządkowania sobie drugiej osoby. Znalezienia pomocnika w zbrodni. Pomocnika bezwzględnie wiernego i gotowego pójść w ogień za swoim mentorem. Umiejętność urzekania otoczenia była jedną z najbardziej niezwykłych cech psychopatów.

W chwili kiedy włączył przeglądarkę, rozległo się pukanie. Do gabinetu zajrzała nordycka twarz posterunkowej Nowak.

– Panie komisarzu, właśnie zgłoszono kolejne zaginięcie.

– I mówi pani, że nie ma jej od co najmniej trzech dni?

Kobieta skinęła głową. Była zakonnicą, miała granatowy habit i welon, ale komisarz powstrzymał się od stosowania formy „siostró”. Po pierwsze, robił to ze względu na swój zdecydowany dystans wobec Kościoła jako instytucji wykorzystującej ciemny, pragnący zbawienia lud. Po drugie, kobieta miała około sześćdziesięciu, może pięćdziesięciu lat (nie była oczywiście pomalowana, co wbrew pozorom zaciemniało obraz sytuacji), wobec czego mogła być już matką zakonną, matką przełożoną albo przeoryszą. Czy do takich także należy się zwracać *per* siostró? A może właśnie, przez analogię do księdza będącego ojcem, wypadałoby tytułować ją matką? Wolał nie popełnić *faux pas* i zachować formę bezosobową lub po prostu *per* pani.

– W poniedziałek została skierowana do prac przy sprzątanii kościoła – zakonnicą mówiła beznamiętnym głosem. – Nie pojawiła się na wieczornym posiłku i modlitwie. Siostra Anna często zadawała sobie pokutę, więc pomyślałam, że w przedświątecznym okresie przestrzega ścisłego postu. Nie zdziwiło mnie to.

– I od tego czasu nie pojawiła się w ogóle?

– Nie.

– Może po prostu zdała sobie sprawę, że to nie dla niej?

– Panie władzo...

Najwidoczniej nie tylko on miał problem z właściwym tytułowaniem. Szczerze nie znosił spuścizny po byłym ustroju i zwracania się do ludzi na służbie jako do władzy. Był w tym zakresie idealistą i lubił tak o sobie myśleć. Wręcz komunistycznie chciał obalać generalskie pomniki.

– Może znudziło jej się życie w celibacie, wojskowa dyscyplina i całodzienne milczenie.

– Nie jesteśmy zakonem klauzulowym. Siostra Anna jest wyjątkowo żarliwa w wierze i z całą pewnością nie odstąpiłaby od zakonu, a tym bardziej od Boga. Mogę za to ręczyć.

– Dlatego przychodzicie tutaj po trzech dniach?

Komisarz popatrzył na drugą zakonnicę, która przez cały czas obracała w dłoniach różaniec. Nie odezwała się przy tym ani słowem. Była znacznie młodsza od swojej towarzyszki i mimo wszelkich środków służących zamaskowaniu jej wdzięków Deryło był przekonany o jej atrakcyjności. Co musi strzelić do łba zgrabnej, pociągającej dziewczynie, żeby odciąć się od uciech życia? To nie mogła być kwestia wyboru. W zdecydowanej większości winne musiało być wychowanie i umyślne, psychologiczne dewocenie od chwili urodzenia. Religijny gwałt regularnie dokonywany na kształtującym się umyśle.

– Jak powiedziałam – zakonnicą nerwowo poruszyła się na krześle – spodziewałam się, że siostra Anna narzuciła sobie rygor ścisłego postu. Nieraz odbywała samodzielne modlitwy i odcinała się w pewnym stopniu od życia zakonnego. Pozwalałam jej na to. Nie wyrządzała tym nikomu krzywdy, a doskonaliła swoją sferę duchową.

– Bardzo liberalnie.

– Co ma pan na myśli?

– To, że nie ma wieczornego przeliczania sióstr, ryglowania cel i zamykania bram.

– Jesteśmy katolickim zakonem, nie sektą.

– Aha.

Ahnięcie komisarza musiało być bardzo wymowne, bo milcząca siostra obrzuciła go ganiącym spojrzeniem. No tak, w końcu przesłuchiwał jej matkę. I miał wielką nadzieję, że nie będzie musiał szukać zwłok siostry. Rozmawiając w tak eufemiczny sposób, odsuwał od siebie wrażenie, że właśnie mówią o kobiecie porwanej przez szaleńca. W końcu praktycznie codziennie zgłaszane jest czyjeś zaginięcie, a większość spraw wyjaśnia się w przeciągu kilkunastu lub kilkudziesięciu godzin. Musiał jednak przejść do konkretów.

– Ile lat ma siostra Anna?

Starsza zakonnica zastanowiła się chwilę. Jej wzrok powędrował gdzieś po suficie, a kiedy zdecydowała się na odpowiedź, skierowała go wprost na komisarza.

– Dwadzieścia osiem albo dziewięć.

To nie wróżyło dobrze.

– Wiek, w którym mogła dojść do wniosku, że chce jednak prowadzić inne życie. Uciekła do domu, do byłego chłopaka... Będziemy musieli uzyskać dane tych osób.

– Panie władzo, ona nie miała domu. Wychowała się w naszym przytułku. Dlatego znam ją tak dobrze i wiem, że nigdy, przenigdy nie uciekłyby z klasztoru.

Druga zakonnica pokiwała głową, podkreślając, że zgadza się z przełożoną. W jej oczach komisarz dostrzegł szczerą, głęboką troskę.

– Czy wiadomo, że ktoś widział ją w tym kościele, w którym miała sprzątać?

– Tak. Rozmawiałam już z księdzem proboszczem.

– Który to kościół?

– Trójcy Świętej, w parafii przy Nałęczowskiej.

Wielki, ceglany budynek, który jeszcze nie został wykończony. Rozmiarami miał przewyższać katedrę i zapewniać opiekę duchową całej dzielnicy.

– Rozmawialiście z nim?

– Tak. Potwierdził, że siostra Anna pomagała w porządkach.

– I nagle zniknęła?

– Nie. Kiedy skończyła, pożegnała się ze wszystkimi i poszła na przystanek autobusowy.

– O której to było godzinie?

– Około siedemnastej.

Komisarz odwrócił się w stronę posterunkowej Nowak. Ze zwieszoną głową pilnie notowała każde słowo.

– Trzeba zwrócić się o nagrania z monitoringu.

– Oczywiście.

– Ktoś musi pojechać do księdza.

– Zaraz przekażę sierżantowi Banachowi.

Deryło odchylił się w fotelu. Miał cholernie złe przeczucia, ale nie chciał dać im dojść do głosu. Porwanie zakonnicy. To wpisywałoby się w pewien schemat. Być może uzupełniało nawet kolejne elementy układanki psychologicznej sprawy, lecz byłoby też drastycznym przełamaniem tabu. W Polsce zamordowani przez esbeckich oprawców duchowni trafiali na ołtarze. A co z siostrami uprowadzonymi przez maniaka?

Zastukał nerwowo palcami o blat biurka.

– Wypełnijcie formularz, posterunkowa przyjmie oficjalne zawiadomienie – powiedział wciąż zamyślony. – Dobrze by było, żebyśmy jak najszybciej dostali jakieś fotografie zaginionej. To będzie podstawa.

Zakonnica sięgnęła do małej skórzanej torebki i wyciągnęła z niej portmonetkę. Bez słowa wyjęła z niej pomietę, złożone na cztery części zdjęcie. Podała je komisarzowi. Przedstawiało dwie siostry zakonne, obie w takich samych welonach i habitach, ustawione pod ociekającym złotem ołtarzem. Uśmiechały się sympatycznie, patrząc prosto w obiektyw.

Deryło przyjrzał się jednej z nich. Fotografia była ostra, a choć welon niemal zupełnie zakrywał włosy, tym razem był pewny. Złość, żal, a może po prostu ludzkie współczucie ścisnęły mu serce.

– Posterunkowa, to już nie będzie potrzebne – rzucił cierpko. – Właśnie zidentyfikowaliśmy pierwszą ofiarę.

Wszystko było gotowe. Nie mógł się doczekać najbliższych godzin. Całkowicie nagi usiadł na środku niewielkiego pokoju i rozejrzał po jego ścianach. Były szczelnie wyklejone setkami niedawno wywołanych zdjęć. Większość z nich uwieczniała zbezczeszczone ciała jego ofiar. Niektóre pokazywały je jeszcze za życia. Nie tylko w pomieszczeniach jego pracowni, ale także uchwycone niepostrzeżenie na ulicy. Podobały mu się. Obrazowały historię tworzenia tego, o czym ludzkość marzyła od zawsze. Stanowiły najwspanialszy dokument poświęceń, których dokonał, aby dać jej wreszcie nadzieję. Nie jakichś złudnych obietnic, ale doświadczenia prawdy.

Chichocząc, popatrzył na zdjęcie przedstawiające gwóźdź, który tkwił w rozłupanej czaszce. Pokruszone białe fragmenty kości lepiły się do rozerwanej opony mózgowej. Jego prywatne dzieło sztuki.

Oblizwał wargi. Wiele razy zastanawiał się nad tym, czy nie spróbować którejs z swoich ofiar. Ale zawsze coś go powstrzymywało. Nie mógł zrobić z tego banalnej szopki własnych perwersji.

Delektował się kolejnymi fotografiami. Powinien zrobić ich więcej, o wiele więcej. Niektóre dzikie ludy wierzyły, że robienie zdjęć wysysa z człowieka duszę. Wiedział, że nie mają racji. Chodziło o coś całkowicie przeciwnego. Robienie zdjęć pozwalało utrzymać przy osobach pozujących duszę fotografa. Na zawsze. Jakże wspaniale było patrzeć na truchło, z którego dopiero uleciało życie. Przyglądać się ostatniemu drgnięciu mięśni i ostatniej porcji krwi wpompowanej przez serce do całego ciała. Do ciała, które teraz rozkładało się pod grubą warstwą zamrożonej ziemi.

Powoli wstał i głośno sapiąc, przeszedł do drugiego pomieszczenia. Panowała w nim zupełna ciemność, ale i tak zamknął za sobą drzwi. Po omacku wyszukał zostawione na podłodze zapalki. Doskonale wiedział, gdzie co się znajduje. Odpalił knot stojącej w pobliżu świecy i przeszedł do kolejnej. Po chwili światło czterech gromnic wypełniło niemal puste wnętrze.

Spojrzał na połamany krzyż i leżącą obok podartą Ewangelię. Pomimo tych wszystkich drogocennych kamieni używanych w średniowieczu, wytwornych ornamentów, a nawet złotych grzbietów nigdy nie oprawiono jej w ludzką skórę. Dlaczego? Tomik wierszy Arsène'a Houssaye'a *Des destinées de l'âme*, niedawno odnaleziony w amerykańskiej bibliotece, na pewno mniej zasługiwał na taką oprawę. Do tego ta wspaniała dedykacja. „Dzieło o ludzkiej duszy winno być odziane

w strój człowieka”. Czyż nie pasowałaby właśnie do Biblii? Delikatna, kobieca skóra splugawiłaby tę najbardziej humanistyczną z ksiąg. Ale jeżeli Bóg nie istniał, to czy miało to jakiegokolwiek znaczenie?

Ostatnie pytanie wprowadziło go w nieoczekiwaną furję. Zaczął okładać się pięściami, miotać i krzyżeć. Musiał zapamiętać, żeby nigdy o tym nie myśleć. Musiał za wszelką cenę zapomnieć o wątpliwościach. W tym była jedyna luka jego wielkiego dzieła.

Uspokoił się, myśląc o problemach z garbowaniem skóry. Doskonale wiedział, że samo jej zdarcie stanowiło niemałe wyzwanie. Oddzielanie ścięgien, mięśni i tłuszczu było jeszcze bardziej skomplikowane niż patroszenie zwierzęcia. Musiałby się tego nauczyć. Potrzebowałby wielu ciał. Tym razem nie mogło być mowy o dziesiątkach nacięć, drzeniu dłoni i nierównych ranach. Dążyłby do ideału. A może powinien zedrzyć skórę jeszcze za życia ofiary? Wtedy na pewno byłaby cudowna.

Nagle usłyszał ciche popiskiwanie. Gwałtownie odwrócił się, spoglądając na środek pomieszczenia.

– Już nie śpisz? – wysyczał.

Na betonowej podłodze leżała rozebrana do naga kobieta. Jej ręce i nogi krępowały starannie zawiązane liny, przyczepione do stalowych konstrukcji w narożnikach pokoju. Spętane ciało przypominało literę iks. Z rozwartych ust dobiegał krzyk stłumiony przez szmaciany knebel.

Z zadowoleniem przypatrzył się jej rozszerzonym źrenicom i zyle pulsującej na skroni. Stał nad nią, delektując się przyspieszonym ruchem jej klatki piersiowej.

– Wszystko po kolei – wyszeptał. – Wszystko po kolei.

Kobieta zaczęła piszczeć i wić się, rozdzierając skórę o szorstką betonową podłogę. Jej ruchy były ograniczone jedynie do delikatnych drgnięć i przesunięć.

Przyłożył palec do ust.

– Ciiii... Ciiii... Nic ci się nie stanie. Będiesz dzisiaj królową.

Pochylił się nad nią i dotknął jędrnych piersi. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Jego ślina skapnęła na brzuch kobiety. Podniecony napluł ponownie na jej łono i roztarł wokół plwocinę. Po chwili, głośno charcząc, wszedł w nią. Głęboko i brutalnie. Zawył z rozkoszy.

Do kościoła Trójcy Świętej postanowił pojechać osobiście. Na sierżanta Banacha zrzucił procedurę identyfikacji zwłok, a posterunkowa Nowak miała go zaanonsować u księdza. Bez żadnych wymówek, że święta nie święta. Był przekonany, że akurat ona poradzi sobie z tym zadaniem najlepiej.

Rzeczywiście, kiedy zaparkował pod okazałą plebanią, natychmiast otworzyły się drzwi i stanął w nich wysoki, szczupły mężczyzna. Był ubrany w elegancki biały sweter, narzucony na koszulę z koloratką. Deryło od razu poczuł do niego niechęć. Typowy gwiazdorski księżulek, który zakłada ciuchy od Ralpa Laurena, do kościoła jeździ rowerem, a w garażu ma BMW. Do tego pamiętał, że w związku z budową świątyni wykryte zostały potężne nieprawidłowości. Okoliczne dewotki oddały na specjalny fundusz wszystkie swoje świecidełka i ostatni grosz z emerytury, a później okazało się, że pieniądze wyparowały. Dlatego cała inwestycja stanęła. Gmaszysko, które miało być oddane wiernym już przed kilkoma laty, można było optymistycznie określić stanem surowym zamkniętym.

Ksiądz, jakby znał komisarza od dawna, pomachał mu i ruchem ręki zaprosił do środka.

– Herbata już się parzy – oznajmił, ściskając potężne łapsko Deryły. – Proszę za mną.

Przeszli wąskim korytarzykiem do rozległego salonu. Długi stół najwyraźniej przygotowany już na świętowanie, okryto śnieżnobiałym obrusem i ustawiono lśniąca zastawę dla kilkunastu osób. W rogu pomieszczenia stała choinka obwieszona patriotycznymi bombkami z orzełkami, polskimi flagami i różnymi katolickimi symbolami. Na ścianach wisiało mnóstwo Matek Boskich, Jezusów i wszelkiej maści świętych. Pod oknem stał stalowy, nowoczesny stół otoczony czterema krzesłami w takim samym stylu. Cały komplet tworzył najohydniejszy zakątek pomieszczenia, ale to właśnie do niego ksiądz zaprosił komisarza. Najwidoczniej nie chciał wymiać odświętnego obrusa ani zepsuć idealnego ułożenia sztuców.

Kiedy tylko usiedli, do salonu weszła przygięta niemalże do ziemi starowinka, niosąc w drżących dłoniach dwie filiżanki herbaty. Z brzęknięciem postawiła je na blacie stołu i bez słowa odeszła.

– Może coś słodkiego? – zaproponował ksiądz.

Deryło zbył tę propozycję machnięciem ręki. Starał się wygodnie rozsiaść, ale sztywne oparcie krzesła na to nie pozwalało. Pochylił się nad stolikiem. Przez chwilę się zastanawiał, jak zwrócić się do swojego rozmówcy.

– Wie ksiądz, co mnie tu sprowadza?

– Obawiam się, że tak.

– Siostra, która tu była w poniedziałek...

– Siostra Anna.

– Tak, siostra Anna – Deryło zachnął się z irytacją. – O której godzinie ksiądz widział ją po raz ostatni?

– Przed siedemnastą. Skończyła swoje prace i przysła się pożegnać. Mówiła, że niedługo ma autobus.

– Widział ksiądz, jak szła na przystanek?

– Nie. Ale o osiemnastej mam poniedziałkowe nabożeństwo, około czterdziestu minut wcześniej czytam jeszcze krótkie kazanie i kładę je na ambonie. Wtedy już jej nie było w kościele. Wychodząc z plebanii, także zwróciłbym uwagę, gdyby czekała na przystanku.

– Czy zachowywała się tego dnia inaczej niż zwykle?

– Niczego takiego nie zauważyłem.

– Nic? Zupełnie? Proszę się zastanowić.

Ksiądz utkwiał wzrok w podłodze. Po kilku sekundach pokręcił głową.

– Nie przypominam sobie absolutnie niczego nietypowego.

– Znał ją ksiądz od dawna?

– Od sześciu czy siedmiu lat. Sama zgłaszała się do pomocy przy różnych okazjach. Zawsze była wyjątkowo aktywną osobą, wszędzie było jej pełno.

– To nie brzmi jak opis siostry zakonnej.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie wszyscy duchowni muszą siedzieć w celach i modlić się całymi dniami.

– A siostra Anna? Co ma ksiądz na myśli, mówiąc, że było jej wszędzie pełno?

– Brała udział w prawie każdej pielgrzymce, opiekowała się grupami dzieci, prowadziła zajęcia muzyczne... Długo by wymieniać, a zapewne nie mam wiedzy o wszystkim.

– Zakonnica idealna?

Duchowny uważnie przyjrzał się komisarzowi.

– Wyczuwam w pańskim głosie ironię. – powiedział, uśmiechając się nieszczerze.

– Zawodowa ciekawość.

– Nie powinny pana interesować subiektywne opinie.

– Niektórych interesują gołe dzieci, a mnie mogą interesować właśnie opinie.

Nie wiedział, dlaczego to powiedział. Po prostu go poniosło, a doklejonny do twarzy księdza uśmiech wzbudził w nim irytację. Zganił się za zupełny brak profesjonalizmu, ale jego rozmówca najwyraźniej się nie przejął. Pociągnął duży łyk herbaty, odstawił filiżankę i spojrzał na niego z jeszcze szerszym, jeszcze bardziej wymuszonym uśmiechem.

– Nie, nie jest idealna – odparł po chwili. – Indywidualistka, często niepoddająca się dyscyplinie, ogarnięta wizją niesienia dobra i wiary.

Nie zamierzał poprawiać formy czasu teraźniejszego użytej przez księdza.

– To chyba akurat pożądane cechy?

– Widzi pan, jest kilka wyobrażeń współczesnego Kościoła. Mówiąc szczerze, każdy z nas, duchownych, musi mieć w tej sprawie swoje zdanie.

– Proszę mówić dalej.

– Nie wyrażam swojego zdania. Mówię, jak jest.

– Chyba nie rozumiem.

Ksiądz ponownie napił się herbaty i wstał od stolika. Podeszedł w stronę regału, nad którym wisiał portret Jana Pawła II.

– Widzi pan? Nasz Ojciec Święty. W kościele obok niego zawieszona jest także podobizna papieża Franciszka. Prywatnie nie muszę być aż tak nowoczesny. Siostra zakonna, która zachowuje się jak, przepraszam za zwrot, chodząca orkiestra, nie wpasowuje się do końca w moją wizję Kościoła idealnego. Ale podkreślam, to tylko osobista opinia.

– Wiedziała o niej?

– Niejednokrotnie wspominałem o tym w rozmowie z jej siostrą przełożoną.

– A z nią samą?

– Sądzę, że też. Tylko widzi pan, coraz więcej duchownych odstępuje od pewnych utartych kanonów. Siostra Anna dostała pozwolenie na wystąpienie w jakimś programie telewizyjnym, a nawet uczestniczenie, na własną prośbę, w egzorcyzmach, co do tej pory...

Komisarz wychwycił słowo klucz.

Usłyszała metaliczne brzęczenie, jakby odgłos młotka uderzającego w gwoździe. Było blisko, bardzo blisko. Tuż obok niej. Nie miała ochoty otwierać oczu, nie miała ochoty wykonać najdrobniejszego ruchu. Bała się, że znów ją do tego zmusi. Przez cały czas myślała o tym, jak rozcina brzuch spętanej kobiety i rozmazuje dłonią jej krew. Jak sięga w głąb jej ciepłych, lepkich trzewi, szukając tego, co kazał jej znaleźć. Czowała delikatne, agonialne drżenie jej ciała, ostatni zastrzyk krwi wyrzuconej przez serce i spazmatyczne opadnięcie klatki piersiowej pozbawionej oddechu.

Wspomnienie nie było ostre. Przypominało sen, ale wiedziała, że jest prawdą. Wciąż otaczał ją zapach krwi, dłonie były lepkie, a podłoga przy jej nogach mokra i śliska. Zrobiła to, bo tak jej kazał. Zabiła niewinną osobę, a w zamian za to musi już trafić do piekła. Dał jej wybór. Albo robi to sama, albo rozprawi się z nią w jeszcze gorszy sposób.

Metaliczne brzęczenie ucichło, zastąpiło je głośnie chrobotnięcie. Wiedziała, że stoi tuż obok niej, ale nie rozumiała, co robi. Czy właśnie przyszedł ten czas?

Delikatnie podniosła powieki. Z pomieszczenia obok wpadało nieco pulsującego światła. Musiała się tam palić lampa naftowa lub świeca. Zamrugnęła, ale się nie rozbudziła. Starając się pozostać w bezruchu, powiodła spojrzeniem wzdłuż ściany i nad sobą.

To nie był on.

Stała przy niej smukła postać z długimi włosami. Wyraźnie widziała ciemne loki, zmierzwione i rozrzucone w nieładzie. Nie mogła jednak dostrzec skrytej w mroku, odwróconej tyłem do światła twarzy.

Sylwetka wyszarpnęła coś ze ściany i nachyliła się nad nią. Tym razem dostrzegła prosty nos, pełne usta i szeroko rozwarłe oczy. Nieznana kobieta podtrzymała ją pod głową i zerwała oklejającą usta taśmę.

– Musisz mi pomóc – szepnęła do niej.

Przyciszony, zdenerwowany głos. Niemający w sobie furii ani pogardy. Poruszyła wargami, ale sama nie mogła wydać z gardła żadnego dźwięku. Drgnęła, spodziewając się nagłego ciosu.

Kobieta podeszła do niej z drugiej strony.

– Jak się nazywasz?

Musiała się zastanowić nad odpowiedzią. Pytanie sięgało sfery tak nierealnej, że całkowicie ją zaskoczyło. Przecież nie była już nikim poza ofiarą i zabawką w rękach oprawcy. Jak miała na imię?

– Marta.

Wypowiedziane z trudem słowo wydało jej się wręcz zabawne. Określenie, którym posługiwano się wobec niej w całkiem innym świecie. Tu była kurwą, dziwką i szmatą. Uśmiechnęła się nerwowo.

Kobieta kucnęła przy niej i chwyciła ją pod ramię. Wysiłkiem całego ciała pociągnęła ją do góry.

– Marto, musisz mi pomóc.

Chciała ją zabić? Zabawić się jeszcze pozostałymi strzępkami nerwów? Nie, to już dla niej nie miało znaczenia. Było jej obojętne, co teraz z nią zrobi. Nie bała się bólu, a mięśnie nie reagowały na wysyłane z mózgu sygnały. Jej ciało poddało się, umysł zrezygnował, a dusza była stracona. Chyba właśnie tego słowa używał? Była przecież morderczynią.

– Złap mnie pod rękę. Musimy uciekać!

Dopiero teraz zauważyła, że kajdany krępujące jej ręce nie są przyłączone do łańcucha. Jego ostatnie ogniwo leżało tuż obok, ale nie wiązało już jej do ściany. Mogła ruszyć się z kałuży własnych odchodów, z plam krwi i zakamarków posadzki, których każdą nierówność знаła już na pamięć.

Może nie musiała jeszcze umierać? Może rzeczywiście była jeszcze jakaś nadzieja? Ten świat, w którym nazywano ją Martą, przecież musiał istnieć gdzieś zaraz obok. Za ścianą, murem czy może tylko za drzwiami. Miała gdzie wracać, bez względu na to, co zrobiła. Tam miała swoje imię i życie, które zdawało się teraz odległym wspomnieniem.

Podniosła się z trudem. Gdyby nie silny uścisk drugiej kobiety, upadłaby, porażona nagłym

bezwładem. Ściągnę pod kolanami zacisnęły się, podkurczając bezwolnie nogi. Objęło je niewidzialne imadło, powodujące potworny ból.

– Powolutku, trzymaj się mnie.

Chwyliła mocniej drobne ramię i dała się ciągnąć. Przebierała stopami, ale nie mogła się nawet podeprzeć. Po chwili jednak ból ścięgien zelżał i zdała sobie sprawę, że nie jest tylko bezwładnym ciałem oddanym na łaskę pomocy. Żyła.

Kiedy znalazły się przy drzwiach, podtrzymująca ją kobieta oparła się o ścianę. Ciężko jęknęła, poprawiając oplatający ramię uchwyt. Przez chwilę stała bez ruchu, wreszcie położyła dłoń na klamce i nacisnęła ją.

– Boże, proszę...

Solidne drzwi ustąpiły ze skrzypnięciem.

Kobiety wymieniły pełne nadziei spojrzenia i jeszcze mocniej przywarły do siebie. Nie widziały, że zainstalowana w rogu pomieszczenia kamera czujnie śledzi ich ruchy.

Deryło miał wreszcie plan działania. Postanowił sprawdzić, czy siostra Anna brała udział w egzorcyzmach odprawianych w domu podejrzanego. Gdyby tak było, rozszyfrowanie motywu mogło być na wyciągnięcie ręki. A jak mówił Tracz, właśnie od tego zależało dorwanie sprawcy. Nie chciał pochopnie wysnuwać jakichkolwiek wniosków i opierać się na domysłach. Musiał mieć dowód.

Kiedy wrócił do samochodu, zobaczył, że na siedzeniu pasażera zostawił telefon komórkowy. To dlatego nikt od parudziesięciu minut nie zwracał mu głowy. Migająca lampka sygnalizowała co najmniej jedno nieodebrane połączenie. Szybko odblokował ekran i zaskoczony zauważył całą litanię wiadomości.

Brzeski, Brzeski, Nowak, Brzeski, Banach, dwa razy nieznany numer, Banach.

Widział, że wydarzyło się coś, o czym powinien wiedzieć od pół godziny. Nie zastanawiając się, wybrał funkcję oddzwaniania.

– Witam, panie komisarzu. – Miał pecha, że ostatnim dzwoniącym był właśnie sierżant. – Tyle razy telefonowałem, tyle razy, próbowała też posterunkowa Nowak, ale pan komisarz...

– Nie odbierał – dopowiedział za podwładnego. – Co się stało, że tak mnie nękacie?

– Mamy kolejne zgłoszenie zaginięcia, zgłosili się rodzice dziewczyny. Jej chłopak odebrał telefon.

Znowu wywody i konstrukcje językowe umysłu upośledzonego w przynajmniej średnim stopniu. Żeby nie zakłóć, komisarz zajął się majstrowaniem przy klimatyzacji. W samochodzie było cholernie zimno, a szyby zaparowały. Zaczął prosić śnieg.

– Powoli, powoli, sierżancie. Jaki telefon, jaki chłopak, do cholery...

– Przepraszam – Banach sapnął. – Już mówię od początku, jak to się mówi. W nocy ta zaginiona zadzwoniła do swojego chłopaka, zaraz sprawdzę, jak mu tam... Marka Krawczyka, że jedzie do niego, bo ktoś jest u niej w domu. Ten uznał to za żart, ale w końcu doszedł do wspaniałego wniosku, że być może coś się stało. Kiedy okazało się, że dziewczyny nie ma w domu, razem z jej rodzicami stawili się u nas. Taka historia, panie komisarzu.

– Jestem na Sławinku – bezwiednie oznajmił Deryło. – Gdzie mieszkała ta dziewczyna?

– To jest ulica Niepodległości, adres dokładny zaraz sprawdzę.

– Jaka to, u diabła, dzielnica Lublina?

– Powiedziałbym, że Kalinowszczyzna, ale nie jestem pewny, panie komisarzu.

– Znajdę w nawigacji.

Włączył silnik i nacisnął ekran mapy.

– Tylko nie wiem, czy jest potrzeba, żeby pan jechał. Technicy już zaczęli pracę, nie mogliśmy się dodzwonić, więc...

W sumie nie wyszło źle. Nie było sensu gimnastykować się w mieszkaniu, które i tak przetrząsną kryminaliści. Tylko na amerykańskich filmach nadzorujący sprawę wchodził do mieszkania ofiary i znajdował podejrzanego włosa albo analizując źle odsuniętą firankę, stwierdzał, że za nią krył się sprawca. Jego domysły nie miały sensu, jeżeli nie potwierdzą ich dowody techników. A tym akurat ufał. Mogły mu się przydać inne informacje.

– Kim jest zaginiona? – zapytał, przełączając się na tryb głośnomówiący.

– Magdalena Szus. Dwadzieścia osiem lat.

– Nie pasuje do żadnej z ostatnich ofiar?

– Jeszcze nie zdążyliśmy tego ustalić.

– Chodzi mi o waszą ocenę, na oko.

Chwila ciszy.

– Trudno porównać twarze ostatnich zamordowanych...

– Dalej nie dostałem odpowiedzi. Mamy ciągle jednego niezidentyfikowanego trupa.

– Dwa, panie komisarzu.

No tak, Banach nie mógł wiedzieć o tym, że Deryło był praktycznie pewny tożsamości pierwszej

ofiary. Uznał, że pierwsze wrażenie sierżanta też może być istotne. Z tym że skoro jedną ofiarą była zakonnica, jedną mieli już potwierdzoną, a tak zwanym NN-em była ta, którą znaleźli w grobie, to ta ostatnia nie mogła być jednocześnie zaginioną, bo zgłoszenie dotyczyło ostatniej nocy.

– Niech będzie, że dwa. Nieważne. Uznajmy, że nie było tego pytania. Przesłuchaliście jej chłopaka?

– Jeszcze nie, z tym chcieliśmy poczekać na pana.

– Nie ma sensu. I tak nic nie powie. Niech się nim zajmie aspirant Brzeski.

– Tak jest.

– Rozpytajcie dokładnie sąsiadów i odbierzcie monitoring ze wszystkich miejsc w okolicy.

Swoją drogą, dostałem już taśmy z autobusów?

– Przegląda je posterunkowa Nowak. Autobusów było kilka, więc to parę godzin materiału.

– W takim razie wracam na komendę. O której ta dziewczyna dzwoniła do swojego gacha?

– Około północy, panie komisarzu.

Deryło rozłączył się i wyjechał z parkingu. Wreszcie miał nadzieję, że szuka zaginionej kobiety, a nie jej zwłok. Nie miał wątpliwości, że została uprowadzona przez sprawcę ostatnich zabójstw. Po prostu to czuł. Ale po raz pierwszy nie zaczynał od trupa albo od identyfikacji zwłok przez osoby, które chcą szukać zaginionej, tylko od świeżego zgłoszenia. Mógł przypuszczać, że poszukiwany albo poszukiwani mordują dopiero po trwającym wiele godzin rytuale. Że przygotowują się do tego kulminacyjnego momentu i z namaszczeniem go celebrują, czerpiąc z niego ekstatyczną satysfakcję. Dzięki temu miał czas. A może raczej miał nadzieję. W końcu siostra Anna została zabita niedługo po uprowadzeniu. O ile w ogóle to była ona.

Śnieg zaczął sypać coraz mocniej. Wycieraczki z trudem nadążały z rozgarnianiem mokrego puchu nacierającego na szybę i obklejającego powierzchnię poza ich zasięgiem. Minus dwa stopnie.

Skręcił w Kraśnicką i znalazł się w samym epicentrum gigantycznego korka. Zima zaskoczyła drogowców. Zima zaskoczyła kierowców. Nawet sygnalizacja świetlna wydawała się zaskoczona, bo mrugała pomarańczowym, ostrzegawczym światłem. Włączył radio i z głośników popłynął radosny refren *Last Christmas*.

Kiedy po ponad kwadransie dojechał do ronda Krwiodawców, zerknął w stronę Warszawskiej. Nad spowitą zamiecią okolicą górowała wieżyczka kościoła. Ceglana nowoczesność, która w pewnym momencie stała się architektoniczną modą. Taka sama, jaką ostatnio widział na Choinach. Kościół został pozbawiony dawnej godności i uroku, które były w stanie przekonać go do odwiedzenia zabytkowych świątyń. Gdyby nie obowiązki służbowe, pewnie ominąłby go szerokim łukiem.

Nagle coś sobie uświadomił.

Uważnie spoglądał w ekran monitora. Jakość transmisji z umieszczonych w budynku kamer była całkiem dobra, biorąc pod uwagę, że pracowały w trybie nocnym. Kobiety właśnie wyszły z pomieszczenia i przywarte do siebie, pełzły długim korytarzem. Powoli, krok po kroku, objając się o stojące w ciemności sprzęty. Zupełnie jak najbardziej plugawe robaki, które żyją tylko po to, by zostać kiedyś przynętą wędkarza.

Patrzył na to z nieskrywaną satysfakcją. Dwie niewinne, przerażone dusze, idące na potępienie. Uśmiechał się. Gdyby wszystko się udało, gdyby wreszcie dostał znak, że jego wysiłki nie idą na marne. Jednak czas ukoronowania tej pracy miał dopiero nadejść. Wszystko zostało przygotowane w najdrobniejszym szczególe, dzięki temu, czego nauczył się przez ostatnie lata życia. Jeżeli to, co widział, było kiedykolwiek prawdziwe, jeżeli to, co czuł, nie było tylko złudzeniem, to jego plan się dokona. Już niedługo.

Przeszył go dreszcz zniecierpliwienia.

Kobiety zbliżały się do końca korytarza. Wyższa z nich, trzymając pod ramię drugą, wolną dłonią podpierała się o ścianę. Wyobrażał sobie, co odczuwają opuszki jej palców, wiedzione po dźwiękochłonnym materiale. Czy zdawała sobie sprawę z tego, że nawet gdyby zdarły sobie gardła, wołając o pomoc, nikt by ich nie usłyszał? Pewnie nie. Ale najwyraźniej zainteresowało je światło przebijające spod progu drzwi. Musiało dać im właśnie nadzieję. Dokładnie tak, jak to zaplanował.

Obie postacie wyraźnie się ożywiły, szukając klamki. Nie mógł zrobić tego tak prosto, musiały się postarać. Musiały dać z siebie wszystko, tak bardzo, by chęć życia na powrót wypełniła ich ciała. Żłudna szansa przetrwania, którą zgasi w jednej chwili.

Kiedy kobiety zrozumiały, że aby sforsować drzwi, muszą zdjąć je z zawiasów, rozparł się wygodnie na krześle. Wiedział, że nie przyjdzie im to łatwo. Przeniósł wzrok na drugi monitor i przyjrzał się obrazowi przygotowanego pokoju. Tak skrętnie przez niego opracowany punkt kulminacyjny nadchodził wielkimi krokami. Przeniósł wzrok na leżącą na biurku kuszę z zamontowaną lunetą. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

* * *

Kiedy drzwi ustąpiły i z hukiem opadły na ścianę, kobiety zamarły. W kolejnym pomieszczeniu paliło się kilka świec, których światło pulsowało na ścianach. Naprzeciwko nich znajdowały się schody. Wystarczyło przebiec parę metrów i być może będą wolne.

Marta zrobiła chwiejny krok do przodu i wrzasnęła przerażona. Na kamiennej posadzce wiła się skrząca płatanina węży. Krótkie i długie, zielone, żółte, pstrokate, wszystkie skłębione w otumanionym amoku. Sycząc i szeleszcząc, opalizowały drapieźnie. Teraz, wyraźnie zaintrygowane wibracjami wywołanymi przez odrzucone drzwi, podniosły łby i spoglądały w ich stronę. Nagle, jak na znak, zaczęły szybciej wic się i pełznąć.

– Osz kurwa!

Kobieta, która podtrzymywała Martę, wywinęła się z jej uścisku i dopadła do drzwi. Wysiłkiem wszystkich mięśni przesunęła je wzdłuż ściany.

– Szybko, pomóż mi je rzucić!

Gdyby zwlekały choćby chwilę, zgromadzone w jednym miejscu węże mogłyby się rozleźć i wtedy kobiety nie zdołałyby już przejść. Musiałyby kluczyć pomiędzy stadem gadów, z których każdy zapewne był jadowity.

Wspólnie przeciągnęły drzwi i wsunęły je w pusty otwór prowadzący do pomieszczenia.

– Na trzy.

Wysiłkiem całej woli skierowały ciężar do przodu, do tyłu i wreszcie pchnęły kawał drewna

wprost na drżącą gmatwaninę węży. Drzwi plasnęły, rozgniatając kilka gadów, ale część z nich rozpełzła się na boki.

– Musimy je przeskoczyć. Dasz radę? – brunetka spojrzała z troską na opierającą się o ścianę towarzyszkę. – To ledwie duży krok.

Marta zacisnęła usta i skinęła energicznie głową.

– Uda się.

Jakby nie chcąc pozostawić wątpliwości, od razu skoczyła w stronę drzwi. Jej jedna noga omsknęła się, ale ciało wylądowało na drewnianym prostokacie. Natychmiast zwinęła się w kłębek i podciągnęła kończyny jak najdalej od krawędzi. Czuła, że znajdujące się pod nią węże wiją się, usiłując wydostać się na zewnątrz. Mimo ciężaru solidnych drzwi część z nich musiała przeżyć.

Podsunęła się, by zrobić miejsce drugiej kobiecie. Na całe szczęście gady nie próbowały się do niej zbliżyć. Przynajmniej na razie.

Brunetka skoczyła i natychmiast chwyciła ją pod ramiona. Musiały uciekać.

W tym momencie obie kobiety wydały z siebie kolejny pisk przerażenia. Równocześnie dostrzegły, że drżąca płatanina węży nie zwraca na nie żadnej uwagi, ale wije się po zmasakrowanym ciele kobiety. Błede zwłoki leżały na wyciągniętej ręce. Pokryte łuskami ogony gadów oplatały tułów, wyzierały spomiędzy nóg, zza włosów i z ust. Pozbawione życia ciało ruszało się, trącane przez dziesiątki węży. Wydawało się, że targają nim konwulsje agonii, ale rozsmarowana wokół krew nie dawała nadziei na ratunek.

– Chodźmy!

Brunetka pociągnęła Martę do góry. Ponownie objęła ją ramieniem i naprężając wszystkie mięśnie, ruszyła w stronę schodów. Węże wiły się wokół, ale nie ruszyły w ich stronę.

Kobiety z ulgą stanęły na stromych stopniach. Głośno dyszały. Nie zatrzymując się, krok po kroku wdrapały się na kolejną kondygnację, stając pośrodku długiego, oświetlanego rzędem świec korytarza. Był wąski, zwieńczony spiczastym stropem i wypełniony zapachem stęchlizny. Po obu stronach znajdowały się wypukłe szyby wentylacyjne i wypustki przewodów kominowych. Musiały się znaleźć na najwyższym piętrze budynku, pod samym dachem.

– Boże, w którą stronę!

Nim ucichło echo słów brunetki, z prawej strony dobiegł je odgłos ciężkich kroków. Po chwili na końcu korytarza zamajaczyła upiorna postać. Wysoka, okryta czarną szatą, niespiesznym ruchem zbliżała się w ich stronę.

Marta Wolska rzuciła się do ucieczki w przeciwnym kierunku. Instynkt przetrwania przez chwilę wziął górę nad udręczeniem ciała. Wszystkie mięśnie paliły, ale puściła się drugiej kobiecie i własnymi siłami pędziła w stronę końca korytarza pomiędzy wysokimi kandelabrami, których srebrne trzony pulsowały w rytmie mrugających płomieni. Byle dalej od niego. Byle szybciej. Z nadzieją, że za załomem muru nie będzie ślepego zaułka.

Brunetka gnała tuż za nią, po chwili zrównały się i ramię w ramię zbliżały do załamania korytarza. Były tuż-tuż. Jeszcze tylko kilka metrów. Nagle kątem oka dostrzegła, że Marta się zatrzymuje. Jej nogi dosłownie odmówiły posłuszeństwa i stanęła jak wryta w miejscu. Nie zważając na to, dopadła do końca korytarza. Za załomem ściany znajdowała się klatka schodowa, bez jakichkolwiek okien i tonąca w ciemności.

W ułamku sekundy przez głowę kobiety przebiegły miliony myśli. Powinna się wrócić. Powinna spróbować pomóc Marcie. Ich prześladowca musiał być jeszcze daleko w tyle. Zaczerpnęła powietrza i błyskawicznym ruchem cofnęła się na korytarz.

Marta stała o kilka kroków od niej, starając się wykonać jakiś nieokreślony ruch. Jej półprzymknięte oczy ukazywały zaczerwienione białka, a z ust ciekła wartka strużka krwi. Zadrżała spazmatycznie i wydała z siebie bulgoczące charczenie. Przypominało odgłos wrzątku kipiącego na zbyt mocnym gazie. Ułamek sekundy później runęła na ziemię. Z jej karku sterczał długi metalowy bełt zakończony kolorową, pierzastą lotką. Grot rozharatał skórę, wydobywając na zewnątrz pokrytą krwią biel rozłupanych kręgów.

Brunetka z odrazą przeniosła wzrok w głąb korytarza. W jej stronę powolnym krokiem zbliżała się upiorna postać. Podniesiona na wysokość piersi, gotowa do strzału kusza jednoznacznie odradzała podjęcie próby dalszej ucieczki.

Kobieta znieruchomiała, głośno sapiąc. Nie miała żadnych szans. Kłębiące się myśli, szok i przerażenie sparaliżowały ją. Stała, bezwiednie czekając, aż postać znalazła się tuż obok.

– Zginęła przez ciebie – odezwał się głęboki, powstrzymujący wściekłość głos. – Gdybyś nie pomogła jej uciec, jutro byłybyście wolne.

Ten sam grubawy policjant siedział przy drzwiach. Tym razem na oddziale Robert Wolski nie spotkał sympatycznego pielęgniara. W ogóle na korytarzach nie było prawie nikogo. Obwieszona kolorowymi światełkami choinka przypominała o świątach, a w Wigilię nikt nie chce przecież dyżurować. No, chyba że od rodzinnej atmosfery woli święty spokój dyżuru.

– Znowu jakieś badania? – zachrypiał policjant.

– Cholerne obowiązki.

– Że też akurat dzisiaj... Pan możesz się chociaż pójść wysrać, a ja, jeśli się stąd ruszę, to jakbym zdezerterował.

– Ano. Współczuję.

Nie zatrzymując się na pogawędkę, Wolski wszedł na salę. Funkcjonariusz nie zamierzał go nawet legitymować. Wygodnie rozsiadł się na krześle i wrócił do czytania gazety.

Wolski powoli podszedł do łóżka. W radiu usłyszał, że podejrzany wybudził się z samego rana i został już wstępnie przesłuchany. Teraz jednak spał. Monitory wydawały z siebie miarowe odgłosy, a wszelkie wskaźniki potwierdzały, że ma się całkiem nieźle. Na lewym oku miał założony bandaż. Lekarze pewnie mieli zagadkę, dlaczego w nocy zalała je krew. Na inne rany być może nie zwrócili nawet uwagi.

Wolski przesunął parawan, tak aby ktoś wchodzący nie mógł go od razu zobaczyć. Zaciśnął palce na nosie leżącego, a spodem dłoni zakrył mu usta. Wystarczył ułamek sekundy, by ten otworzył oczy i zacharczał, starając się złapać powietrze.

– Jeżeli krzykniesz, natychmiast cię zabiję – wyszeptał Wolski. – Rozumiesz?

Leżący wybałuszył oczy.

– Rozumiesz?

Pokiwał głową.

Wolski z odrazą oderwał dłoń od ostrego zarostu.

– Gdzie jest moja żona?

Aparatura ożyła, wydając z siebie przyspieszone piszczenie.

– Gdzie jest moja żona? – Wolski ponownie wysyczał pytanie.

– O czym pan mówi? – leżący bełkotał powoli i cicho. – Kim pan jest?

– Dalej chcesz swoich gierek?

– Nie rozumiem...

Wolski wyszarpnął z mankietu nóż. Ostrze błysnęło w intensywnym świetle jarzeniówek.

– Zasady się zmieniły. Masz trzy sekundy albo zostaniesz w szpitalu na znacznie dłużej, niż myślisz.

– Nie rozumiem...

– Raz.

– O kim...

– Dwa.

– ...pan mówi.

– Trzy.

Wolski zerwał prześcieradło z nóg leżącego i jeszcze raz spojrzał na jego bladą twarz. Wspaniale udawał dezorientację. Jego oddech był przyspieszony, a usta rozwarte w pół słowa. Łypał na niego jednym, rozwartym w panicznym strachu okiem.

– Sprawdźmy, co znaczy paraliż.

Wolski błyskawicznym ruchem przytknął nóż do stopy mężczyzny. Chwycił jego duży palec i wbił szpic ostrza pod paznokieć. Natychmiast pociekła krew, ale kończyła ani drgnęła. Leżący nie widział, jak sprawne cięcie podważa płytkę i odrywając od skóry i mięsa, stawia ją na sztorc. Wolski obszedł łóżko i podniósł mu głowę.

– Mam nadzieję, że masz czucie w rękach. Bo wyrwę ci je wszystkie.

Mężczyzna wydał z siebie stłumiony krzyk. Jego tułów zadrżał, ale ciało od pasa w dół pozostało bezwładne.

– Gdzie jest moja żona?

Pytanie wypowiedziane po raz kolejny nie zawierało już w sobie groźby. Brzmiało jak pytanie kata o ostatnie życzenie skazańca.

Leżący chciał krzyknąć, ale jedynie zacharczał. Prawą ręką chwycił się krawędzi łóżka, lecz osłabione mięśnie nie udźwignęły tułowia i dłoń opadła na pościel. Mężczyzna spotkał się spojrzeniem z Wolskim. Natychmiast zacisnął pięści i podwijając dłonie pod kołdrę, starał się je upchnąć pod ciało.

Wolski szarpnął za pościel. Chwycił rękę leżącego i pchnął nożem w jego przedramię. Ciemna krew obficie popłynęła z rany. Wtedy bez większego wysiłku rozwarł mu dłoń. Niemalże nie napotykając oporu, ścisnął palec wskazujący i z chrupnięciem wyłamał go ze stawu.

Dźwięk aparatury medycznej wszedł na jeszcze wyższe tony.

– Chcesz, żebym ci połamał je wszystkie?

Wolski pluł, mówiąc. Był wściekły. Dyszał, nie wiedząc, jak zmusić mężczyznę na łóżku do odpowiedzi na pytania. Najchętniej obdarłby go żywcem ze skóry i polał spirytusem. Puścił drżącą z bólu dłoń i nachylił się nad nim. Rozpruł nożem prześcieradło, myśląc o tym, że zaraz to samo zrobi z brzuchem leżącego. Ten jednak nagłym zrywem szarpnął się i obrócił na bok. Kabel kroplówki naprężył się, ciągnąc za sobą stojak, który przeważył i z głośnym brzęknięciem upadł na podłogę.

– Sukinsynu!

Nim Wolski zdążył podnieść metalowe urządzenie, drzwi sali się rozsunęły.

– Wszystko w porządku, doktorze? – usłyszał głos policjanta.

Nie odpowiedział. Lewą dłonią chwycił leżącego za włosy i przytknął do jego czoła nóż. Ostrze rozcięło skórę, ale mimo mocnego szarpnięcia skalp pozostał na swoim miejscu. Wolski puścił kępkę włosów i z nienawiścią pchnął łóżko.

– Co jest?

Policjant musiał obieć parawan i zatrzymał się po jego drugiej stronie. Kiedy zobaczył zakrwawione prześcieradło, zdarte z leżącego okrycie i jego pokryte świeżymi ranami ciało, natychmiast wyszarpnął pistolet. Zrobił to ze zdumiewającą sprawnością.

– Stój! Rzuć nóż!

Wolski nie posłuchał. Zamachnął się i z całej siły wbił ostrze w klatkę piersiową leżącego. Rozległ się odgłos roztrzaskiwanych żeber i głośne plaśnięcie oznaczające przebicie serca lub płuca. W tej samej chwili policjant wystrzelił. Rewolwer, jeszcze większy niż magnum Brudnego Harrego, wyrzucił z siebie jedną za drugą kulę ognia. Mknęły wprost w jego pierś i wiedział, że nie zdoła przed nimi uskoczyć...

Otworzył oczy.

W pokoju panował półmrok, a śnieżna mgła wciskała się w okno. Na stoliku przy łóżku stała niemalże opróżniona butelka whisky i pełna petów popielniczka. Wokół poniewierały się bryłki popiołu.

Ciężko westchnął i podniósł się do pionu. Kręciło mu się w głowie. To dziwne, że w snach nawet po ciężkiej libacji nigdy się nie zataczał, nie rzygał ani nie miał helikoptera. Dopiero kiedy sen się kończył, wypity alkohol przypominał o sobie ze zdwojoną siłą. Chociaż to nie była kwestia kaca. Głęboko w sobie czuł, że coś się stało. Niepokój ściskający żołądek, przyspieszone bicie serca, zagarniające wszelkie myśli zdenerwowanie. Przeczucie tak samo nieuchwytnie i abstrakcyjne jak *déjà vu*.

Coś się stało.

Rozpacz wstrząsnęła ramionami Roberta Wolskiego i wydobyła się z jego gardła. Rozplakał się.

– Pamiętasz tę sprawę z parafii na Choinach?

Deryło wpadł do gabinetu, w którym siedzieli Brzeski i jeszcze jeden policjant.

– Tego niefartownego księdza?

– Muszę mieć zaraz akta. Postępowanie zostało umorzone?

– Wydaje mi się, że tak. – Brzeski otworzył kilka folderów na ekranie komputera. – Wszystko będzie w systemie.

– Niewykrycie sprawcy? Czy brak śladów przestępstwa?

– Chwila, chwila, komisarzu.

– On doskonale wpasowałby się w tę historię.

– To było przecież kilka miesięcy temu.

– Jeżeli się nie mylę, to w marcu.

– Niech spojrzę...

– To musiał być marzec – odezwał się policjant, którego nazwiska komisarz nie pamiętał. – Przenieśli mnie tu dosłownie kilka tygodni wcześniej.

– Aha.

Zwykle „aha” mogło brzmieć niegrzecznie, ale Deryło w pełni skupił się na otwartym dokumencie. Protokół przesłuchania świadka był krótki, umieszczony na zwyczajowo używanym formularzu. Wydawało się, że nie ma w nim żadnych istotnych informacji. Tak sądzili za pierwszym razem, kiedy śledztwo zostało umorzone. Ale teraz... Wskazał na datę.

– Dwudziesty marca. To przesilenie wiosenne, prawda?

Brzeski przytaknął, a drugi policjant się nie odezwał.

Komisarz przypomniał sobie słowa Karla ze stowarzyszenia LaVeya. „W czasie wiosennej równonocy wkraczamy w fazę doskonalenia się”. Jakoś tak albo bardzo podobnie. W każdym razie taki był sens.

– To coś jak satanistyczne Boże Narodzenie. – Głośno pstryknął palcami. – Symboliczna data obchodzona przez tych świrów na całym świecie.

– Doskonały początek czegoś, co ma mieć finał dzisiejszej nocy...

Brzeski szybko przewijał kolejne dokumenty. Protokół przesłuchania następnego świadka, opinia techników, wyniki sekcji zwłok, raport z oględzin miejsca zdarzenia, folder ze zdjęciami.

– Otwórz go. – Deryło prawie nie mrugał. – Chcę to obejrzeć.

– To tylko fotografie załączane do akt.

Mimo wątpliwości co do sensu ich przeglądania aspirant posłusznie wykonał polecenie. Na ekranie wyświetliły się zdjęcia z autopsji. Ciało księdza było właściwie w idealnym stanie. Był to niespełna czterdziestoletni mężczyzna o wysportowanej sylwetce i zdrowym organizmie. Poza objawami pośmiertnymi na zgon wskazywała jedynie nienaturalnie odgięta głowa. Wskutek upadku z balkonu nad nawą złamał sobie kark. Uderzył w samą krawędź konfesjonału.

Kolejne zdjęcia pokazywały rzeczy osobiste znalezione przy zmarłym, następnie wydrukowaną kartkę z szeregiem wyników analiz chemicznych, wreszcie niewykończony fragment kościelnej balustrady i wykonane z góry ujęcie nawy. Brzeski kliknął i wyświetliła się fotografia zrobiona z poziomu parteru. Zwłoki leżały pomiędzy ławami a konfesjonałem. Ktoś musiał prowadzić bezsensowną reanimację, bo pod głowę księdza podłożona była kurtka, a jego sutanna została nienaturalnie rozciągnięta.

– Spójrz!

Deryło zastukał palcem w ekran. Wskazał na przewieszoną przez balustradę konfesjonału fioletową stulę. Była skrzyżowana z drugą, znacznie jaśniejszą.

Dokładnie w kształcie litery iks.

– Myśli pan, komisarzu, że zakpił z nas tyle miesięcy temu? – Brzeski przybliżył fragment zdjęcia. – Zostawił nam znak, który możemy dostrzec dopiero teraz?

Deryło wyprostował się i podszedł do okna. Śnieżycą rozpętała się w najlepsze. Mimo że było wczesne popołudnie, zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Wiatr wciskał w szybę płatki śniegu i z jękiem próbował wdrzeć się do środka.

– Myślę, że kończy się nam czas.

– Zabije dzisiaj?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Dziś lub jutro.

– Tracz mówił o mordercach, którzy przechodzą w stan uśpienia.

– Właśnie tego się obawiam. Że jeśli nie dorwiemy go właśnie teraz, przepadnie na wiele lat.

W tym momencie rozległo się brzęczenie telefonu Deryły.

– Halo?

– Panie komisarzu, jest pan na komisariacie?

Posterunkowa Nowak najwyraźniej bezskutecznie go poszukiwała. Przejawiała zastanawiającą skłonność do osobistego zdawania raportów. Deryło nie miał zamiaru tłumaczyć jej, w którym jest gabinecie, i czekać, aż go odnajdzie. Dla nordyckiego umysłu komenda musiała mieć zbyt chaotyczny rozkład.

– Proszę mówić przez telefon.

– Przejrzałam nagrania z monitoringu.

– Autobusowego?

– I miejskiego. Urząd miasta udostępnił nam taśmy z centrum.

Nie mógł po jej surowym, bezuczuciowym tonie wywnioskować rezultatu godzin poświęconych na odtwarzanie filmów.

– Mamy coś?

– No właśnie, panie komisarzu. – Tym razem jej głos nieco się ożywił. – Ta zakonnica wysiadła na przystanku na Królewskiej. Na nagraniu z kamery umieszczonej przy Bramie Trynitarńskiej widać, że z kimś idzie. Dalej tracimy ślad.

– Z kimś?

– Było już ciemno i jakość jest znacznie gorsza. Za godzinę, może dwie mamy mieć wyostrzone nagranie.

– Wiemy chociaż, czy to mężczyzna, czy kobieta? Wiek? Cokolwiek?

– Mężczyzna. Ubrany w kurtkę narzuconą na bluzę z kapturem. Ale przez krótką chwilę widać twarz. W tym momencie to kilka niewyraźnych pikseli, ale ponoć da radę coś z tym zrobić.

– Coś jeszcze?

– To wszystko, panie komisarzu.

– Dziękuję, posterunkowa.

Deryło rozłączył się i poczuł satysfakcję. Może wreszcie coś się udało? Chciał osobiście obejrzeć nagrania, ale jeżeli ich jakość była tak słaba, jak mu to przedstawiono, straciliby tylko czas. A właśnie teraz musieli wszyscy pracować pełną parą. Nie stracić nawet sekundy. Postęp w śledztwie zawsze działał na niego mobilizująco, jakby wypił cały dzbanek cholernie mocnej kawy. Wewnętrzna motywacja nie przekuwała się jednak na dobry nastrój, ale wręcz przeciwnie, na ostrość i apodyktyczność, którą jego podwładni nazywali „syndromem szefa w amoku”.

Nie zważając na pytające spojrzenie Brzeskiego, wybrał zapamiętany numer telefonu. Połączenie odebrano już po dwóch sygnałach.

– Deryło – rzucił w słuchawkę. – Ile mam jeszcze czekać na wyniki?

Odpowiedziało mu pełne niezadowolenia młaśnięcie.

– Nie wiem, nad czym teraz pracujecie, ale czekam już prawie dobę.

Wiedział, że to nieprawda, a od zebrania śladów ostatniego zabójstwa minęło niewiele ponad dwanaście godzin. Do tego przez pół nocy męczył ich Gawiński.

- Chce pan mieć, komisarzu, wyniki czy hipotezy? – odparł mu równie szorstki głos.
- Chcę wiedzieć, że cokolwiek ustaliliście.
- A i owszem, ale ciągle czekam na ostatnie analizy.
- Odpuśćmy je.
- Z góry mówię, że nie zajęliśmy się jeszcze próbkami z mieszkania.

Deryło nerwowo zastukał palcami w parapet. Doktor Matczuk był przykładem nadgorliwego badacza. Nawet gdyby miał przed sobą psa, zastanawiałby się, czy to nie kot w przebraniu. Musiał wykonać badania, następnie dokonać wykładni ich wyników, a dopiero wtedy, opierając się na prawdopodobieństwie graniczącym z pewnością, wydawał osąd. Nienawidził być pospieszany. Typ jeszcze gorszy od Gawińskiego.

– Proszę mi zdradzić, co macie teraz – naciskał komisarz. – Musimy w tej sprawie działać w ciemno, a nie tracić czas.

– To nieprofesjonalne.

Miał ochotę walnąć pięścią w okno, ale jedynie sięgnął po swoją monetę. Potarł ją opuszkami palców.

– Nieprofesjonalne jest zwlekanie – warknął, wymieniając spojrzenie z Brzeskim. – Nieprofesjonalne jest to, że w tym momencie użeram się z panem, zamiast robić coś pożytecznego. Zamykacie się w tych swoich laboratoriach i zachowujecie jak opętani. Gdyby nauka rozwijała się w waszym tempie, pisałbym raporty na glinianych tabliczkach!

Wiedział, że metafora była niezbyt udana, ale w nadzwyczajny sposób rozluźniła rozmowę.

– No dobrze, niech będzie – z ociąganiem zgodził się Matczuk. – Jeżeli mam słuchać tego trucia... Po pierwsze, to nie była jej krew.

– To, co ściekało z jej ciała?

– Jeżeli mam mówić, niech mi pan nie przerywa.

Deryło powstrzymał się od komentarza, że Gawiński wiedział to bez przeprowadzania analiz. Skoro doktorzyna mówił, niech mówi dalej.

– Sprawca musiał ją ułożyć, przygotować i dopiero wtedy wstrzyknąć lub wlać do rany tę substancję, która została następnie wypłukana przez deszcz. Ta kobieta została zamordowana znacznie wcześniej i wykrwawiła się gdzie indziej. Co ciekawe, wszystko wskazuje na to, że użyta ciecz to krew zwierzęca. Przeprowadziliśmy testy precypitacyjne. Nie wchodząc w szczegóły, mogę panu powiedzieć, że to na pewno nie krew psa. U tych występuje aż osiem grup antygenowych krwi, a trzy z nich są silnie immunogenne. Mogliśmy więc je wykluczyć.

Komisarz odsunął na chwilę słuchawkę od ucha. Doktor potrafił tak gadać w nieskończoność, ale gdyby mu przerwał, nie uzyskałby żadnych informacji. Musiał dać mu możliwość wykazania się znajomością fachowych terminów, chociaż akurat teraz miał je głęboko w dupie.

– ...co najbardziej pana zainteresuje. – W tym momencie Deryło znów skupił się na relacji. – Dostaliśmy

od doktora Gawińskiego osobliwy przedmiot. W trzewiach ofiary upchnięta została brzytwa. Wiedział pan o tym?

Wiedział. Na swoje nieszczęście usłyszał o tym nad ranem.

– Proszę mówić dalej.

– Udało nam się wyeksponować ślady daktyloskopijne.

– I?

– Mówiłem, żeby pan nie przerywał. Nieoficjalnie wiem już, że mamy je w bazie, i to wcale nie przez przypadek. Należą do zaginionej Marty Wolskiej.

Deryło zastygł w bezruchu. Był co najmniej skonsternowany. Jakim cudem linie papilarne zaginionej znalazły się na brzytwie, którą wyciągnęli z brzucha ofiary?

Myśl o tym, że to Marta Wolska mogła być poszukiwanym sprawcą mordów, wydała mu się całkowicie abstrakcyjna. Chociaż życie często pisało niedorzeczne scenariusze. Upozorowanie własnego uprowadzenia i przez to mylenie tropów byłoby dobre na materiał do filmu sensacyjnego. W rzeczywistości jednak raczej niewykonalne.

Streścił Brzeskiemu odbyłą rozmowę i postanowił wrócić do swojego gabinetu. Musiał się zastanowić. Musiał zanurzyć się w wygodnej skórze fotela i postarać się zebrać myśli. Spoglądanie za okno, na gęstniejącą śnieżycę, było przyjemne, ale rozpraszało. Do skupienia potrzebował swoich rytuałów.

Wyszedł na korytarz. Po przejściu kilku kroków usłyszał za sobą głos Brzeskiego.

– A gdyby ten iks oznaczał właśnie mnogość? – Aspirant dogonił go. – Może chodzi właśnie o to, że jest wielu sprawców?

Deryło odwrócił się w jego stronę.

– Mów dalej.

– Może to są ci gówniarze bawiący się w satanistów, a może jeszcze ktoś. Jakaś cholerna sekta, o której nie mamy pojęcia. Może porywają te kobiety i potem robią im cholerne igrzyska śmierci albo scenariusz jak w *Pile*? Dają wybór: zabij lub zabiją ciebie. *Let's start the game*. Tik-tak.

– W tym chodzi o coś zupełnie innego.

– Skąd ta pewność?

– Najważniejsze są symbole.

– O tym mówił Tracz.

– Nie powiedział o jednym. Sprawcę interesuje odbiór jego działania. Tylko tak można rozumieć napełnienie zwłok imitacją krwi.

– To proste. Chce szokować. Może też zdobyć sławę i zostać polskim Kubą Rozpruwaczem lub Hannibalem Lecterem. Media już mają pożywkę.

Deryło zatrzymał się przed drzwiami do swojego gabinetu.

– Ale listy nie są wysyłane do gazet, tylko do rodzin ofiar. I to nie wszystkich.

– A może... – Brzeski zastanowił się, czy powinien mówić o nagłym skojarzeniu. – Oglądałem kiedyś taki film. Dokument, z serii tanich sensacji. Grupa badaczy, poszukiwanie złotego pociągu albo Bursztynowej Komnaty, kojarzy pan klimat, komisarzu. Już nie pamiętam szczegółów, ale sednem było w nim istnienie jakiejś emocjonalnej plazmy czy lichy wie czego. W skrócie, udowodniano, że każdy, u kogo wywołane zostały silne emocje, pozostawia je w danym miejscu. Odpowiednio nagromadzona ich liczba doprowadza do tego, że miejsce może się stać nawiedzone.

– Myślisz, że ktoś zostawia trupy po to, żeby te miejsca nawiedzały złe emocje tych, którzy je znajdują? Ocipiałeś? To brzmi tak bez sensu, jak scenariusz *Smoleńska*.

– Ktoś, kto morduje bezbronne kobiety, nie zachowuje się sensownie.

– Muszę to przemyśleć.

Komisarz nacisnął klamkę, dając do zrozumienia, że chce zostać sam.

– Idę do barku. – Brzeski skinął głową w stronę windy. – Coś panu przynieść?

– Dzięki. Ciągle mam nadzieję na kolację wigilijną.

Wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na zawalone raportami biurko, oblepione śniegiem okno, a wreszcie na zawieszoną na ścianie mapę Lublina. Wziął z pojemniczka pinezkę i wbił ją w miejscu, w którym znajdował się kościół parafialny na Choinach. Czwarty czerwony punkt znalazł się na tej samej wysokości co znaczący cmentarz przy Unickiej. Przeprowadzając linie przez główki pinezek, nakreśliłby iks. Tak jak właściwie przez dowolne cztery punkty. A może wcale nie?

Zanim zdążył się nad tym zastanowić, usłyszał dźwięk przychodzącego maila. Na prywatną

poczcie. Filtry antyspamowe skutecznie hamowały napływ niechcianych wiadomości, w związku z czym spodziewał się elektronicznej kartki bożonarodzeniowej albo rymowanych życzeń. Bzdury.

Podszedł do komputera i ruchem myszki przywołał pulpit. Skrzynka odbiorcza wskazywała, że znajduje się w niej jeden nieodczytany dotąd mail. Kliknął dwa razy i otworzyło się pole z krótką wiadomością.

Załącznik.

Zaskoczony zerknął na linijkę z nazwą nadawcy. Wtedy jego serce zabiło szybciej, gardło się zacisnęło, a mrowienie karku rozlało się na bezwiednie napięte mięśnie barków.

X XXX

Zaklął w myślach i wbił wzrok w ekran. To mógł być głupi żart. Nie zastanawiając się, kliknął na dodany do krótkiej wiadomości plik. Kilka sekund, podczas których ściągał się na dysk, wydało mu się wiecznością. Tępo wpatrując się w kreski postępu, nie czuł, że z całych sił przygryza wargę, aż do krwi.

Pobieranie zakończyło się sukcesem.

Format dźwiękowy. Dziwne. Myszka ślizgała mu się w drżącej, spoconej dłoni.

Włączył głośniki i uruchomił plik. Rozległ się szum, nieprzyjemne trzaski, wreszcie usłyszał dobrze mu znany głos.

Tak, tak, ze względu na śnieżycę wylatujemy dopiero jutro rano. O dziesiątej...

Jezus Maria! Nie był w stanie się ruszyć. Jak sparaliżowany wpatrywał się w ekran, na którym wyświetlało się jedynie okienko z włączonym programem. To musiało być jakieś złudzenie, jakiś senny koszmar na jawie, który nie pozwalał mu się obudzić. Niczym w transie wsłuchiwał się w dźwięk wydobywający się z głośników.

Znowu cisza, chwila szumów, a po chwili szorstki, najwyraźniej zmodyfikowany przez jakieś urządzenie głos.

Tak, tak, mój drogi komisarzu – słowa kipiały ironią. – Będzie dopiero o dziesiątej. W dziesięciu kawaleczkach. – Śmiech. Głośny, gardłowy śmiech.

Deryło wstrzymał powietrze. Niczym zahipnotyzowany patrzył w ekran, jakby oczekiwał, że zobaczy na nim twarz sprawcy. Rozwarł nieco usta, wypuszczając wargę z objęć zębów. Pojawiła się na niej cienka linia krwi.

Gratuluję profesjonalizmu, komisarzu. Wielu innych nie słuchałoby już tego nagrania, tylko wpadło w bezmyślną furję, wydzwanając do żony, córki i jej znajomych. My dzisiaj skończymy naszą przygodę. Być może uda się nam wszystkim uwierzyć.

Bo pan nie wierzy, komisarzu, prawda?

Ja wierzyłem zbyt mocno i całkowicie zagubiłem w tym swój rozsądek. Jeżeli dostajemy dowody na istnienie tego, co niematerialne, to czemu chcieć czegoś więcej?

Sam doskonale wiem, że nie jestem chory psychicznie.

Czas kończyć. Spotkamy się w samym centrum wiary. W arcywierze. Nie będziemy przynajmniej osamotnieni.

Nastąpiło kliknięcie i nagranie się skończyło.

Deryło jeszcze przez chwilę tępo wpatrywał się w ekran. Nagle drgnął i jak oparzony zerwał się z fotela. Odurzony, nie kontrolując emocji, z całej siły uderzył pięścią w klawiaturę. Kilka klawiszy wystrzeliło w powietrze, po czym opadło z trzaskiem na biurko.

Milion myśli kotłowało mu się w głowie, nie układając w żadną logiczną całość. Każdy mięsień jego ciała drżał, serce dudniło, a powietrze z trudem przeciskało się przez ściśnięte gardło. Wyszarpnął z kieszeni komórkę i wybrał numer. Ewa odebrała po kilku sygnałach.

– Wiki dzwoniła? – zapytał bez ogródek. – Masz od niej jakieś wieści?

– Nie. Właśnie zaczynałam się niepokoić, ale...

– Oglądałaś wczoraj wiadomości? – przerwał jej w pół zdania.

– Jak zawsze. Co się stało?

– Mówili coś o tych opóźnieniach lotów?

– Nic.

– Widziałaś coś w internecie?

– Też nie, ale to pojedyncze loty...

Nim zdążyła dokończyć, rozłączył się. Parskając wściekle, przeszedł po gabinecie. Czuł się jak zwierzę tkwiące w klatce, której kraty obija metalowymi prętami wycieczka bachorów. Krew buzowała mu w skroniach, a zaciśnięte zęby zgrzytały.

Poczuł wibrację telefonu. Nie zamierzał niczego tłumaczyć żonie. Nie mógł jej niczego obiecać, a nawet niczego wyjaśnić.

Bezmyślnie skupił wzrok na mapie. Cztery czerwone punkty wytworzyły jakiś nieokreślony obraz, który przemknął mu, wyparty panicznymi myślami. Ramiona potencjalnej litery iks przecinałyby się gdzieś w okolicach placu Po Farze. Intuicja podpowiadała mu, że to

nie ma znaczenia. Tłumił ją narastający ból głowy, ale obraz sprzed kilku sekund powrócił.

Rzucił się do biurka i chwycił czarny marker. Szybkimi kreskami narysował na mapie znak, który mógł być jedynie wytworem jego umysłu albo rzeczywistą wizją szaleńca. W tym pierwszym przypadku ryzykował co najwyżej reputację, ale teraz nie miała ona dla niego żadnego znaczenia.

W tym momencie rozległo się pukanie i drzwi gabinetu się otworzyły. Nie czekając na zaproszenie, do środka wkroczyła posterunkowa Nowak. Komisarz obrzucił ją dzikim spojrzeniem.

– Natychmiast zbież dwa oddziały ludzi – rozkazał, nim zdążyła się odezwać. – Jeden musi jechać w okolice Klubu Jeździeckiego przy Bystrzycy. Niech biorą latarki, światła i przeczesują tamten teren. Nie mam pojęcia, czego mają szukać, ale muszą zajrzeć do każdej pieprzonej dziury.

Nowak skinęła głową na znak, że rozumie. Swoim zwyczajem nie pokazała przy tym żadnych

emocji, jakby komisarz prosił ją o przyniesienie kubka kawy.

– A drugi? – zapytała rzeczowo.

Deryło zastukał markerem w mapę.

– Jedziemy do katedry. Mają stamtąd natychmiast usunąć wszystkich wiernych.

Czarne linie kreśliły odwróconą pięcioramienną gwiazdę.

Kolumna wozów policyjnych przebijała się przez zakorkowane ulice. Lubelskie pługi i piaskarki przegrywały bitwę ze śnieżycą, więc jadący na święta skutecznie utrudniali przejazd. Sierżant Banach pomimo swoich wad był zaskakująco sprawnym kierowcą. Opanowany i skoncentrowany, wciskał się pomiędzy rozjeżdżające się na boki samochody i na milimetry omijał przeszkody.

– Chcę mieć kilka karetek – Deryło krzyczał w stronę nadajnika. – Tyle ile się da! Pirotechników, saperów, straż pożarną, wszystkich!

– Szef się wścieknie – zachrypiał głośnik.

– Ja jestem szefem tej akcji.

– Malczewski już wie?

– Gówno. Pewnie chce mieć spokój przy rozpakowywaniu prezentów.

Chwila szmerów, rozmowa w tle, wreszcie nadajnik znowu zabrzączał.

– Panie komisarzu, wyostrzyli to zdjęcie z monitoringu.

Prawie o nim zapomniał.

– Widać coś?

– Jeżeli miałbym oceniać, to na sto procent poszukiwany Daniel Kos.

Cholera. Czyli rozwiązanie mieli na wyciągnięcie ręki, a gówniarz potrafił się ukrywać przez tyle dni. Pokręcony typ, który zamiast na stałe do czubków trafił pod egzorcyzmy księdza. Pokręcony typ, którego pragnął rozszarpać.

Wszystko postawił na jedną kartę. Samo centrum wiary, „arcywiara”, wspomniane na nagraniu wydawało się pasować do archikatedry. Poza tym mieściła się ona dokładnie w środku nakreślonego pentagramu. To nie mógł być przypadek. Wyznaczony geometrycznie piąty wierzchołek znajdował się na opustoszałym terenie klubu jeździeckiego. Zimą tamta okolica musiała być praktycznie bezludna. Modlił się, żeby nie znaleźli tam kolejnego ciała, ale miał fatalne przecucie. W ogóle miał czarne myśli.

Kolumna aut minęła plac przed ratuszem, na którym tysiącami światełek skrzyła się choinka. Samochody tkwiące w korku nie miały miejsca, żeby zjechać im z drogi, a metalowe łańcuchy blokowały wjazd na chodnik.

Deryło otworzył drzwi i wyskoczył z auta. Od placu katedralnego dzieliło go mniej niż sto metrów. Ślizgając się na skrzypiącym śniegu, przebiegł przez ulicę i pognął wzdłuż kamienic. Pojedynczy przechodnie, omotani szalikami, z czapkami głęboko nasuniętymi na uszy, wpatrywali się w stronę policyjnych samochodów.

Kiedy znalazł się na parkingu przy katedrze, z ulgą zauważył, że jest prawie pusty. Do pasterki zostało jeszcze dobrych kilka godzin, więc w środku spodziewał się przede wszystkim przypadkowych odwiedzających i zagorzałych dewotów. Pchnął ciężkie drzwi, wpuszczając przy tym powiew mrozu.

Wyciągnął legitymację i trzymając ją w wyciągniętej dłoni, ruszył nawą główną.

– Proszę opuścić budynek! – krzyknął onieśmielony echem swoich słów. – Policja, proszę, aby wszyscy opuścili budynek!

W drewnianych ławach siedziało kilkanaście osób. Kolejnych kilka ze spojrzeniami utkwionymi w górze podziwiałoby zdobienia świątyni. Na jego polecenie zareagowały niemym zdziwieniem, ale posłusznie skierowały się w stronę wyjścia. Gdyby nie epoka terroryzmu, zapewne zostałby całkowicie zlekceważony. Po chwili katedrę wypełnił szmer rozmów i komentarzy. Ludzie, którzy przed kilkoma sekundami byli oddani modlitwie, obrzucali go gniewnym spojrzeniem. Zupełnie jakby zrobił im krzywdę.

– Proszę natychmiast wyjść – ponaglał opornych, wciąż machając legitymacją.

Dopiero teraz do katedry wbiegli następni policjanci. Zgodnie z rozkazem wyprowadzili ostatnich odwiedzających i rozproszyli się, przetrząsając boczne kaplice i zakamarki. Komisarz przeszedł w stronę ołtarza, przy którym pojawił się ksiądz. Nawet nie spodziewał się, żeby duchowny wykonał polecenia skierowane do jego owieczek. Z zatroskaną miną strażnika świątyni spoglądał na

Deryło.

– Co się dzieje? – zapytał, wychodząc naprzeciw. – Co się stało?

Komisarz kątem oka dostrzegł, że w bocznej nawie siedzi opatulona chustami, zgarbiona postać. Jakiś starowina najwyraźniej nie zauważył, co się dzieje, i pochylał głowę, skupiony w modlitwie. Sierżant Banach również go zauważył i ruszył w jego stronę.

– Wie pan, że za kilka godzin będzie tu tłum wiernych? – ksiądz powiedział to tonem nagany.

– Między innymi dlatego są tu ci wszyscy policjanci.

– Czego szukają? To Dom Boży, a nie fabryka narkotyków.

Deryło wzruszył ramionami. Z zadowoleniem patrzył na zorganizowane działania swoich ludzi, systematycznie przetrząsających każdy centymetr katedry.

– Nie wiem – odparł szczerze. – Proszę jednak opuścić budynek, tak jak zrobili to wszyscy inni.

Ksiądz obrzucił go niechętnym spojrzeniem. Nim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Deryło zobaczył, że sierżant Banach potrząsa za ramię starca. W tym momencie wąła sylwetka osunęła się i z głuchym stukotem opadła na marmurową posadzkę. Komisarz bez chwili zastanowienia zerwał się w jej kierunku. Przelawiał pomiędzy ławami, obiegł potężną kolumnę i dopadł do ciała. Razem z Banachem nachylił się nad zwiniętą postacią. Podniósł zaskakująco lekką głowę i odwinął okrywający ją szal. Z trudem powstrzymał się przed krzyknieniem. Spoglądał na białą, porcelanową twarz z listem przybitym gwoździem do czoła.

* * *

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że trzyma w dłoniach przerażająco realistycznego manekina. Wymalowane zielone oczy, nakreślone linie brwi i lekko rozchylone pełne usta sprawiały wrażenie przed chwilą oblanym woskiem. Dokładnie jakby jeszcze przed momentem były pełne życia. Jedynie brak krwi i pęknięcie materiału w miejscu przebiccia gwoździem zdradzały prawdziwą naturę przedmiotu.

– Jasna cholera. – Banach z ulgą wypuścił powietrze. – Jasna cholera...

Deryło przyjrzał się niewielkiemu kawałkowi papieru. Był niemal całkowicie zapisany drobnym, zgrabnym pismem. Autor nie tracił już czasu na wycinanie pojedynczych liter z gazet i sklepanie ich w całość. Kończył swoje dzieło. Był pewny, że policja nie zdoła go już powstrzymać.

List był dwustronny, a sposób przybicia nie pozwalał na jego odczytanie bez odrywania. Komisarz nie miał czasu, żeby zwlekać, czekać na techników i zabezpieczać ślady. Musiał działać, choćby miał za to zapłacić karierą, a nawet więzieniem. Musiał działać, bo wciąż mógł uratować kilka osób. A wśród nich własną córkę.

Przez rękawiczkę chwycił główkę gwoździa i ostrożnie wyciągnął go z głowy manekina. Następnie, uważając, aby nie porwać kartki, zsunął ją ze stalowego trzpienia. Czując napięcie każdego mięśnia, podniósł się i odwrócił w stronę padającego z żyrandola światła. Adrenalina rozpieła mu żyły, wypełniała każdą tkankę, każdy atom ciała, zmuszając do nerwowego chodzenia.

Tak jak niegdyś ja, źle pan, Komisarzu, pojął istotę wiary. Spodziewałem się tego. Nie umniejsza to pańskiej inteligencji, po prostu tacy są ludzie. Szukamy na siłę dobra, wciąż widząc zło. Tymczasem może się okazać, że świat zbudowany jest całkowicie na odwrót, niż tego chcemy. Ja wyzbyłem się kurtyny tradycji, nadziei i wiary. Teraz czas na pana, drogi Komisarzu.

X XXX

Przeszedł kilka kroków wzdłuż drewnianych ław. Kartka drżała mu w dłoniach i niektóre wyrazy musiał czytać po dwa razy. Wreszcie gwałtownie przekręcił ją na drugą stronę.

PS

Mam nadzieję, że wściekłość nie pozwoliła panu stać w miejscu. W martwym ciele często kryje się wybuchowa natura.

Jego mózg w ułamku sekundy zrozumiał znaczenie nakreślonych zdań, ale było już za późno. Nim zdążył wydobyć z siebie choćby głoskę, eksplozja rozerwała plastikowego manekina. Siła wybuchu połamała pobliską ławę i pchnęła komisarza wprost na kolumnę. Ponad otumanienie umysłu przebił się przeszywający ból lewego łokcia. Gryzący dym wnikał mu w nozdrza, pobudzając gardło do kaszlu.

Leżał bezwładnie.

Miłosz Tracz lustrował fotografie z sekcji pierwszej ofiary. Przynajmniej pierwszej odnalezionej. W pierwotnym zamiśle planował je wszystkie wywołać. Czuł, że sprawca postąpiłby właśnie w ten sposób. Że czerpałby przyjemność z oglądania swojego dzieła. A może właśnie tak zrobił? Patrząc na ekran laptopa, miał jednak o wiele więcej możliwości, niż przeglądając makabryczny album. Dowolnie przybliżał i wyostrzał wybrane fragmenty. Zaznaczał interesujące szczegóły, a swoje przemyślenia spisywał od razu do notatnika.

Nurtowało go, dlaczego pentagram został wycięty dwoma wierzchołkami skierowanymi w stronę piersi kobiety. Historię i znaczenie tego symbolu znał doskonale. Do tego komisarz streścił mu rozmowę z księdzem egzorcystą. Nie omieszkął przy tym dodać swojej opinii o perspektywie patrzenia ofiary. Miał w tym na pewno dużo racji, ale odpowiadał na źle postawione pytanie. Chodziło nie o to, jak kto postrzega pentagram. Sednem było, dlaczego tak robi.

Profiler przewinął zdjęcie. Na ekranie wyświetliło się zbliżenie wyciętej rany. Jej nierówne krawędzie obrazowały kolejne nacięcia prowadzone przez sprawcę. Nad tym zastanawiał się już wiele razy. Wielokrotnie wyobrażał sobie przebieg tych wydarzeń. Z posiadanych informacji mógł odtworzyć dość mało, ale wystarczająco, aby osiągnąć umysłu sprawcy. Nie potrafił jednak w niego wniknąć. Jakiś pierwiastek jego osobowości uciekał mu, wykraczał poza przyjęte schematy, komplikując całą analizę.

Jego rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu.

– Szlag by to – zaklął cicho.

Zerknął na wyświetlacz. Anna Bar. Imię niewiele mu mówiło. Druga część przypominała, że to któraś z dziewczyn poznawanych podczas nocnych eskapad. Przez chwilę zastanawiał się, czy odebrać.

– Nadal mam twoje rękawiczki – zaświergotał wesoły głos. – Nie chcesz ich chyba odzyskać?

No tak, wszystko było jasne. Przed kilkoma dniami zawędrował do tej nimfomanki i później zbierał się w takim popłochu, że zapomniał rękawiczek. Rzeczywiście nie chciał ich odzyskać.

– Tęsknię za nimi – wycedził, udając flirtujący ton.

– A za mną?

– Jeszcze bardziej.

– W takim razie kiedy się zobaczymy? Trzeba nadrobić zaległości z ostatnich dni.

Usłyszał tępy, pusty chichot. Dlaczego dał jej swój numer telefonu?

– Jestem na razie bardzo zajęty – zaczął wymijająco.

– Również nocami?

– Mam kilka pilnych rzeczy na głowie. Nie wyrabiam się.

– To może jutro?

– To zależy, czy... – przyszło mu coś do głowy. – Wyładowuje mi się bateria, zaraz nas pewnie rozłączy. Jakby co, to...

Szybko odsunął telefon od ucha i nacisnął przycisk wyłączenia. Ekran natychmiast się zaciemnił.

Musiał na powrót zebrać myśli i się uspokoić. Wziął kilka głębokich oddechów. Rozejrzał się po biurku, czy nie ma niczego, co mogłoby go znowu rozproszyć. Wyciszył głośnik laptopa i odsunął od siebie popielniczkę. Teraz mógł pracować. Zamknął oczy.

Pochylał się nad zwłokami pozbawionymi rąk i nóg. Kończyny leżały gdzieś obok, gotowe do przeniesienia. Miały służyć jedynie jako rekwizyt. Najważniejsza była głowa. Spoglądające na niego półprzymknięte oczy, zakrwawione usta i zmierzwiłone włosy. Przyjrzał się złotym kolczykom, ale nie zainteresowały go. Przeciągnął spojrzeniem po czole, brwiach i nosie. Ciągle czuł na sobie wzrok martwych, nieruchomych oczu. O tak, lubił to uczucie. Połączenie dwóch światów oddzielonych od siebie granicą żrenic. Obraz pustki, którym zwodziło się tłumy.

– Proszę mi wybaczyć – wyszeptał do siebie. – Tak bardzo chcę, żeby przy mnie została.

Powtórzył to kilkakrotnie. Za każdym razem zastanawiając się nad właściwą intonacją i szybkością mówienia. Kiedy był wreszcie zadowolony z efektu, wrócił myślami do rozczłonkowanych

zwłok. Cieszył się, że podłoga wokół lepi się od krwi. Ta wsiąknie w podłogę i stanie się jego częścią na zawsze.

Podniósł głowę kobiety i wykręcił ją. Usłyszał trzask kręgów, ale napierał nadal, dysząc i charcząc z wysiłku. Prawie mu się udało. Dopiero kiedy pomógł sobie kolaniem, usłyszał ostatnie trzaśnięcie. Skóra na szyi się naderwała, ale osiągnął to, czego chciał. Głowa została obrócona.

Jeżeli jest życie po śmierci, ta suka będzie marzyła, aby powtórnie umrzeć.

20

W chwili kiedy ktoś sprawdzał mu puls, przedziwne obrazy w umyśle Deryły przenikały się i łączyły w spójną całość. Zamordowana zakonnica, która brała udział w egzorcyzmach, ksiądz, egzorcyzmowany chłopiec, którego uwieczniło nagranie monitoringu, a wcześniej kamera podczas religijnego rytuału. Nagle wyraźnie usłyszał słowa, które przed chwilą przeczytał. Nie wypowiedział ich jednak jego własny głos, lecz głos Daniela Kosa. *W martwym ciele kryje się zło*. Dokładnie pamiętał to wymówione bełkoczącym głosem zdanie.

Czy chory umysł chłopca mógł chcieć się zemścić na osobach, które uczestniczyły w egzorcyzmach? To mógł być motyw szaleńca. Całkiem rozsądny. A żona Wolskiego, kim była? Jego umysł w błyskawicznym tempie odtwarzał tomy akt, które w ciągu ostatnich dni zapełniła ta sprawa. Psychologiem. Był prawie pewny, że Marta Wolska była psychologiem, ale od pewnego czasu nie wykonywała zawodu. Chociaż nie. Wykonywała zawód, ale tworząc z Różyckim jakiś projekt. Cokolwiek by to znaczyło. Być może zetknęła się z przypadkiem Daniela Kosa i przez to stała się jego celem.

A zamordowana dziewczyna? Studiowała wcześniej religioznawstwo, więc i w tym przypadku związek przyczynowo-skutkowy mógł być oczywisty. Wszystkie osoby można było powiązać w całkiem logiczny sposób. Ze względu na tajemnicę zawodową i tajemnicę spowiedzi łącząca je więc mogła nigdy nie zostać potwierdzona, ale wydawała się bardzo prawdopodobna.

Natłok myśli szturmujących jego umysł przerwało czyjeś wołanie.

– Panie komisarzu. – Ktoś potrząsnął go za ramię. – Panie komisarzu Deryło!

Otworzył oczy i zamrugał. Wokół kręciło się kilkanaście osób, a młodzieniec w kitlu medyka pochylał się nad nim i świecił latarką. Odkaszlnął, czując w ustach posmak dymu i spalenizny.

– Słyszysz mnie pan?

Piszczalo mu w uszach, ale słyszał wyraźnie. Skinął głową.

Zobaczył, że na noszach rozstawionych kilka metrów obok niego dwóch sanitariuszy układa sierżanta Banacha. Jego bezwładna sylwetka była nienaturalnie wygięta. Kamizelka kuloodporna, napięta na klatce piersiowej, została nadpalona, a bok znaczyły rdzawe plamy krwi. Nogi miał lekko podkulone, a w miejscu prawej stopy rozszarpana skóra buta mieszała się z mięsem i strzępami ubrania.

Deryło pomyślał o tym, jak sierżant setki razy wyprowadzał go z równowagi, strzelając obcasami. Pomyślał o tym, że być może przez niego właśnie umierał. W przypiływie rozpacz chciał się podnieść i chociaż złapać go za rękę. Ucisnąć po męsku, prosząc o wybaczenie. Przebłysk otumanionego umysłu. Ktoś go jednak przytrzymał i nie pozwolił mu się poruszyć.

– Ostrożnie!

Sanitariusze podnieśli nosze i w asyście kilku policjantów zniknęli mu z pola widzenia. Kolejny zespół rozkładał się tuż obok niego. Ktoś dotknął jego lewej ręki, co wywołało cholerny, przenikliwy ból. Otumanienie powoli zniknęło i odzyskiwana świadomość odnotowała, że przynajmniej ma obie ręce. Poruszył stopami i z ulgą stwierdził, że z nimi także mniej lub bardziej w porządku.

Stara, solidna ława, która odgradzała go od wypełnionego materiałem wybuchowym manekina, najwyraźniej uratowała mu życie. Być może został lekko pogruhotany, ale żył. Szczęśliwie drewno nie rozerwało się na miliony drzazg, które pokieroszowałyby mu ciało.

Nagle doznał olśnienia. Majaki sprzed chwili sprecyzowały się i nabrały realnych kształtów. Odbyło się to niemalże zupełnie namacalnie i spowodowało przeszywający ból skroni. Gwałtowna migrena wywołana skojarzeniem informacji, przetrawieniem ich i oddzieleniem od domysłów przemieniła się w dreszcz spływający po karku. W ułamku sekundy zupełnie podświadomie przyszło mu na myśl, co znaczy litera iks.

Nie mógł drugi raz zawieść. Miał gdzieś zalecenia służbowe, przeszywający ból i krzyki sanitariuszy. Musiał ratować swoją córkę.

Odepchnął policjanta, który chciał go zatrzymać. Minał kilka osób i nie zważając na obolałe ciało, popędził w stronę wyjścia.

Ślizgał się na śniegu, który przykrył już warstwę niedawno wysypanego piasku. Puch spowalniał ruchy, skrzypiał i wsypywał się do butów. Przebiegnięcie kilkudziesięciu metrów katedralnego parkingu, do tego pomiędzy tłumem gapiów i funkcjonariuszy, przypominało slalom. Przytrzymując się poręczy, Deryło zbiegł schodkami w stronę Zamojskiej. Kiedy znalazł się na dole, nie zważając na ruch, rzucił się na drugą stronę ulicy. Dyszał i charczał z wysiłku. Stary mercedes wpadł w poślizg i nieomal w niego uderzył. Wokół rozległo się wycie klaksonów naciskanych przez kierowców, którzy musieli mieć go za samobójcę. Krzyki policjantów zlały się z nimi w jazgotliwy, pozostający w tyle tumult.

Komisarz jak w amoku uparcie brnął ku wejściu do zdewastowanej kamienicy. To wcale nie katedra była w centrum pentagramu, który nakreśliły ofiary. To nie ona była miejscem „arcywiary”, o którym Cztery Iks napisał w liście. Jak mógł przez tyle czasu nie skojarzyć głosu księdza z nagranych egzorcyzmów? To musiał być duchowny, którego odwiedził z Brzeskim. Ostatnie ogniwo tego, co wydarzyło się w mieszkaniu Daniela Kosa. Być może ostatni żywy z tych, którzy odprawiali rytuał.

Wpadł na klatkę schodową i pokonując ból, pędził po schodach. Kiedy zatrzymał się przed brązowymi drzwiami, ciężko odsapnął. Lewa ręka była zdrętwiała, a w klatce piersiowej czuł ucisk, jakby obłożono ją workiem gładów. Czuł, że nie dałby rady wyważyć nawet drzwi z płyty dyktowej, a te wydawały się całkiem solidne.

Położył dłoń na klamce i nacisnął ją. O dziwo, zamek ustąpił.

– Proszę księdza! – zawołał, przekraczając próg. – Jest ksiądz w mieszkaniu?

Cisza.

Wyciągnął pistolet i trzymając go w wyciągniętych dłoniach, przeszedł do salonu. Starał się poruszać całkowicie bezgłośnie, uważając, by nie stracić żadnego przedmiotu. Szybkim ruchem wyłonił się z za rogu i omiótł wzrokiem pomieszczenie. Nie było w nim nikogo.

Skierował się w stronę kuchni, kiedy nagle z góry dobiegł go pusty łoskot. Zupełnie jakby coś upadło na sufit. Ponad nim musiał być wysoki, być może dwukondygnacyjny strych. Mieszkanie znajdowało się na samej górze klatki schodowej, lecz nie było na niej żadnej drabiny ani wjazdu. Wejście musiało być gdzieś w środku. Łoskot się powtórzył.

Deryło cofnął się do salonu i rozejrzał w poszukiwaniu schodów. Dopiero po chwili zauważył, że w pokrytej tapetą ścianie są wycięte linie. Zbliżył się do niej, wypatrując śladu zamka lub zawiasów, ale niczego takiego nie było. Opukał okolice, wsłuchując się w pusty odgłos. Bez wątpienia nie miał przed sobą ceglatego muru, lecz płytę ze sklejki lub gipsu. Powinna ustąpić łatwiej od sosnowych desek.

Odsunął się i kopnął w nią z całej siły. Ciężki but przebił się na drugą stronę. Kolejnymi kopnięciami wyrąbał sobie przejście na niewielką klatkę schodową, oświetlaną przez kilka świec. U jej szczytu nie było drzwi, jedynie szerokie przejście do kolejnego pomieszczenia. Poruszając się wzdłuż ściany, wciąż z bronią ściśniętą w obu dłoniach, doszedł do załamu muru. Ostrożnie się wychylił.

Musiał się spodziewać, że ktoś usłyszał huk jego kopnięć. Musiał być gotowy na wszelkie niebezpieczeństwo.

Długie pomieszczenie było puste. Ściany zostały obite chropowatym czarnym materiałem, który prawdopodobnie miał je ocieplać. Ponad nimi uginały się drewniane więźby dachowe.

W chwili kiedy zdecydował się iść dalej, usłyszał kroki i podniesiony głos. Kilkadziesiąt metrów od siebie. Kucnął i kryjąc się w półmroku, wyrzwał z za rogu. Po sekundzie lub dwóch na końcu pomieszczenia pojawiła się dziwna, potężna sylwetka. Nie szła, lecz sunęła w jego stronę.

– Zamknij się, jeśli chcesz wyjść stąd żywa. – Wąskie pomieszczenie doskonale niosło słowa. – Zamknij się.

Dopiero teraz dostrzegł, że męska postać ugina się pod ciężarem przerzuconej przez ramię kobiety. Ta szarpała się i łkała, ale nie była w stanie uwolnić się z uchwytu. Kiedy byli w połowie długości pomieszczenia, udało się jej uderzyć mężczyznę. Ten chwilę potem zrzucił ją na podłogę i pociągnął za ramię. W blasku świecy Deryło wyraźnie zobaczył jego twarz. Widzianą wiele razy

w aktach, a wcześniej również na taśmie filmowej.

Daniel Kos był znacznie postawniejszy, niż sądził. A może było to wrażenie sprawiane przez luźną sutannę, którą miał na sobie.

Nie mógł dłużej zwlekać. Wykorzystując to, że mężczyzna pochylił się nad wierzgającą dziewczyną, wyskoczył zza muru. Dwoma susami zbliżył się w ich stronę.

– Puść ją! Na ziemię! – krzyknął, celując w stronę Kosa. – Policja!

Całkowicie zaskoczony mężczyzna natychmiast podniósł w powietrze obie dłonie. Obrzucił Deryłę dzikim spojrzeniem usidłonego zwierzęcia.

– Na ziemię!

W tym momencie powietrze przeciął świst. Komisarz kątem oka dostrzegł, jak grot bełtu wbija się w ramię Kosa. Chwilę później kolejny roztrzaskał mu bok czaszki, rozbryzgując wokół fragmenty kości i mózgu.

Deryło, niesiony instynktem, rzucił się na posadzkę, zasłaniając sobą leżącą dziewczynę. Bez jakiegokolwiek zastanowienia wystrzelił w kierunku, z którego nadleciały strzały. W błysku wypału dostrzegł stojącą kilkanaście metrów od niego postać, odzianą w długi czarny habit. Chybił.

Wystrzelił ponownie, ale sylwetka zniknęła za załomem muru.

Nie spuszczać tamtego miejsca z oka, doczołgał się do Daniela Kosa. Chłopak leżał na wznak, a wokół jego głowy tworzyła się kałuża lepkiej krwi. Bez wątplenia był martwy. Drugi bełt uderzył wprost w jego skroń, przebijając kość, wyłupując oko i penetrując mózg.

Deryło odwrócił się w stronę zastygłej w panice dziewczyny. Wydawało mu się, że rozpoznaje w jej twarzy którąś z zaginionych, ale przerażenie zniekształciło jej rysy tak bardzo, że nie mógł być pewny. Zresztą nie miało to teraz żadnego znaczenia.

Ściągnął kurtkę mundurową i okrył nią twarz martwego chłopaka. Niewiele rozumiał z tego, co się działo wokół, ale wiedział, że musi dorwać sukinsyna. Spojrzał na przerażoną dziewczynę.

– Dasz sobie radę?

Pokręciła głową.

– Za chwilę będzie tu pomoc.

Załkała, obejmując jego nogi.

– Proszę, niech pan mnie nie zostawia!

– Są tam jeszcze jacyś ludzie?

Nie odpowiedziała, patrząc na niego pustym wzrokiem.

– Tam musi być moja córka.

– Niech mnie pan nie zostawia! Błagam!

Nie była ranna i nie potrzebowała natychmiastowej pomocy. Jego ludzie musieli się tu zaraz pojawić, zabezpieczali teraz zapewne okolicę. Przynajmniej miał taką nadzieję. Tymczasem psychopatyczny świr uciekał w przeciwną stronę.

– Przepraszam. – Delikatnie wywinął się z objęć dziewczyny. – Musisz mi zaufać.

Nie zważając na rozpaczliwy szloch, pobiegł w kierunku, w którym zniknęła postać w czarnej szacie.

Przebiegł przez pomieszczenie, w którym do podłogi przymocowane były potężne łańcuchy i sznury. Obok nich wydało mu się, że dostrzega ślady krwi, ale nie miał czasu się na tym skupiać. Siatka korytarzy i wnęk wypełniała najwidoczniej całe poddasze zabytkowej kamienicy. Kilkaset metrów kwadratowych przystosowanych do przetrzymywania ofiar, ich torturowania i zabijania. Kilkaset metrów kwadratowych kaźni i cierpienia. Całość oświetlona rzędami świec i lamp naftowych. Na szczęście nie było żadnych rozgałęzień ani ślepych zaułków.

Niskie przejście pod drewnianym stropem kończyło się dwoma stopniami. Zszedł po nich i pchnął ciężkie, metalowe drzwi. Skrzywił się, oślepiony niespodziewanym błyskiem. Dopiero po chwili zrozumiał, że pomieszczenie przed nim wypełnione jest dziesiątkami lusterek ustawionych w chaotycznych szeregach, powyginanych pod różnymi kątami. Wszystkie były ogromne i powielaly w nieskończoność wzajemne odbicia. Wystarczyło kilka świec, by wewnątrz wypełniał oszałamiający blask.

Kiedy Deryło przekroczył próg, dobiegł go chrapliwy, monotony głos.

– Pańska córka znajduje się w jednym z rogów pomieszczenia. W niewidocznych miejscach umieściłem czujniki, do których podłączone są kable. Jeżeli przetnie pan sygnał, napięcie dwóch tysięcy volt porazi Wiktorię.

Deryło natychmiast przystanął. Nie wiedział, czy ten psychol mówi prawdę, ale nie mógł ryzykować.

– Lustra są jak zwierciadło duszy. Nawet najszlachetniejsze z nich zawierają skazę. Czy ma pan odwagę się w nich przejrzeć?

Starł się rozpoznać, skąd dobiega głos. Miał wrażenie, że emitują go ustawione w kilku miejscach głośniki. Mogło to być również echo wywołane odbiciem dźwięku od stojących wokół przedmiotów i wygłuszającego materiału wyłożonego na ścianach.

– W rogach pomieszczenia są spryskiwacze przeciwpożarowe. – Mówiący odchrząknął. – Zasobniki nie są jednak podłączone do instalacji wodnej, ale do zbiorników z naftą.

– Ty sukinsynu! – komisarz wrzasnął wściekle, spoglądając na swoje niezliczone odbicia. – Gdzie się chowasz, skurwielu?!

Nie zamierzał czekać. Z całej siły uderzył kolbą pistoletu w taflę pobliskiego lustra, które rozpadło się na tysiące kawałeczków. W tej samej chwili usłyszał narastający szum, a zaraz po nim odgłos przypominający rozpalane ognisko.

– Nie robiłbym tego, komisarzu – odezwał się głos. – Każde lustro połączone jest z jednym z rozpylaczy. Zaraz podpali pan całą kamienicę.

Deryło rozejrzał się wokół. Pomieszczenie zaczął wypełniać dym. Nie mógł zwlekać, ale najdrobniejszy ruch mógł mieć tragiczne konsekwencje.

– Zabiję cię! – krzyknął, dysząc. – Rozumiesz, gnoju?!

– Podobają mi się pańskie emocje. Z natury przecież wszyscy jesteśmy źli, a tylko staramy się udawać świętych. – Głos zamienił się w ironiczny wybuch śmiechu. – W co pan wierzy, komisarzu? Jeżeli pójdzie pan w złą stronę, pańska córka skończy jak więzień na krześle elektrycznym. Jeżeli powstrzyma się pan od decyzji, i tak zginie.

– Ty jesteś zły. Nie ja. – Postanowił grać na zwłokę. – Wyeliminowanie wrzodu z ludzkiego społeczeństwa nie jest złem.

Mówiąc, ukradkiem dotknął lustra po swojej prawej stronie. Odbicie było prawidłowe. Następnie przytknął palec do zwierciadła ustawionego naprzeciwko i lekko pod kątem. Tym razem pomiędzy nim a jego odbiciem pojawiła się pusta przestrzeń. Bingo!

Lustro weneckie! Serce zadudniło mu jeszcze szybciej. Ewentualna czujka musiała kryć się właśnie za nim. Wstrzymując oddech, poruszył się tak, aby nie znaleźć się prostopadle do jego zwierciadła. Nic się nie wydarzyło.

– Czy wie pan, komisarzu, że podczas trzydziestu lat swojej posługi nigdy nie doświadczyłem

swojego Pana?

Niezrozumiałe bzdury wypowiedane przez szaleńca.

Nie odpowiadając, dotknął kolejnego lustra. Znowu weneckie. Wiedział, że musi kierować się tak, aby nie znaleźć się w linii prostej właśnie do niego. Następne dwa były normalne, więc przemknął, dotykając plecami ich tafli. Znalazł się w kolejnym lustrzanym zaułku, tym razem dostrzegając z tyłu ścianę.

– Doświadczyłem Szatana, tysiący demonów i prawdziwego zła, ale nigdy przejawów Boga. Dlaczego Lucyfer potrafi przemówić ustami opętanego, a Bóg nigdy nie raczył się do mnie odezwać? Może po prostu nie istnieje?

Deryło, milcząc, przeszedł wzdłuż lustra. Tym razem żadne z ustawionych w pobliżu zwierciadeł nie było weneckie. Nie miał czasu zastanawiać się nad słowami szaleńca.

– Gdzie pan jest, komisarzu? Jeżeli pan oszukuje, będę musiał zmienić zasady tej próby. A wtedy pańska córka zginie.

Komisarz otarł pot z czoła i zrobił kolejne dwa kroki. Wreszcie stanął za ostatnim z luster i dostrzegł długi szereg kandelabrow. Po prawej stronie płomienie ogarniały ścianę i sięgały prawie sufitu. Zakaszłał. Przytknął do nosa rękaw koszuli.

Nieświadomie modląc się w myślach, odwrócił się. Na samym końcu pomieszczenia zobaczył zwinięte, spętane ciało. Nie zważając na nic, rzucił się w jego stronę.

Wiedział, że to Wiktoria. Czuł to, chociaż w wypełniającym się dymem półmroku widział jedynie zarys sylwetki. Kiedy dostrzegł kręcone, długie włosy, był już pewny. Łzy wyciśnięte przez emocje i gryzący odór ciekły mu po policzkach, zbierając się na dwudniowym zaroście.

– Gdzie pan jest?

Deryło padł przy dziewczynie na kolana i chwycił kłębiące się przy niej kable. Błyskawicznie ocenił sytuację. Wszystkie łączyły się w jedną wiązkę podłączoną do skórzanej maski na jej twarzy.

– Zmusił mnie pan do tego, komisarzu. Właśnie zabił pan swoją córkę.

Deryło rzucił na ziemię pistolet i chwycił za grube pasy. Rozpiął dwie metalowe klamry i mokrymi od potu dłońmi zniszczył gumową powłokę kabla. Klnąc, szarpał za metalową płytkę przytkniętą do czoła dziewczyny, ale ta mu się wyślizgiwała. Wreszcie, ciężko dysząc, zdołał ją wywinąć spod maski i odrzucić na bok.

Dokładnie w tej chwili rozległo się elektryczne bzyczenie, a wiązka kabli zaskwierczała.

Komisarz zerwał z głowy dziewczyny resztę więzów. Dotykał skóry i włosów córki, płacząc ze szczęścia, że czuje jej oddech. Była zamroczona, ale z całą pewnością żywa.

W tym momencie zza luster wyłoniła się postać w ciemnych szatach. W mgnieniu oka Deryło dostrzegł wymierzoną w siebie wielką kuszę i palec zaciskający się na spuście. Natychmiast zdał sobie sprawę, że nie zdąży sięgnąć po leżący obok pistolet i wystrzelić.

Jako ojciec i jako mężczyzna mógł zachować się tylko w jeden sposób. Jego mózg podjął błyskawiczną decyzję. Po raz drugi w ciągu kilku minut rzucił się, zasłaniając swoim ciałem leżącą obok kobietę. Zacisnął oczy, gotowy na najgorszy ból.

Wtedy rozległ się strzał.

Jeden, drugi, trzeci.

Deryło czuł świdrujący ból łokcia i barku, ale wciąż miał siłę zaczerpnąć tchu. Zamrugał i zobaczył, że postać w szatach chwieje się i upada na ziemię. Odwrócił się. Spomiędzy luster, ciężko dysząc, wybiegł aspirant Brzeski.

– Tutaj są! – wrzasnął. – Szybciej, do cholery!

Deryło obrócił się na plecy i dotknął dłoni córki. Czując, że odwzajemnia dotyk, stracił przytomność.

26 GRUDNIA

Otworzył oczy i zamrugał. Płyn nawilżający kleił mu powieki, powodując nieprzyjemne uczucie napięcia skóry. Rozejrzał się dokoła, spojrzał najpierw na metalową szafkę, potem na dwa puste łóżka obok, wreszcie zatrzymał wzrok na sylwetce pochylonego nad nim lekarza. Po chwili napłynęły pierwsze chaotyczne wspomnienia.

– Co z moją córką? – zapytał, chwytając kitel.

Lekarz uśmiechnął się do niego.

– Proszę się nie martwić – powiedział, uważnie go obserwując. – Poza kilkoma obtarciami i przeżytym szokiem wszystko z nią w porządku.

– Co ten sukinsyn jej zrobił?

– Niech mi pan uwierzy, komisarzu. Przeprowadziliśmy szczegółowe badania, a do tego jest pod opieką psychologa. Poza niezbyt inwazyjnym skrępowaniem nie została nawet tknięta.

– Chcę ją zobaczyć.

Komisarz podniósł się gwałtownie, przytrzymując krawędzi łóżka. Doktor spojrzał na niego surowo i wskazał na stojak z kroplówkami.

– Niedługo pana odwiedzi – powiedział stanowczo. – Do tego czasu proszę cierpliwie leżeć.

– Czuję się wystarczająco dobrze...

– Stracił pan sporo krwi. – Lekarz wycelował palcem w jego bok. – Na szczęście żaden organ wewnętrzny nie został uszkodzony. Potrzebna była operacja i oczywiście trochę zszywania. Prawie przez godzinę wyciągaliśmy z pana resztki drewna. Do tego ma pan zwichnięty staw łokciowy i sporo stłuczeń. Dlatego pozwoli pan, że nie uwierzę.

Dopiero teraz Deryło poczuł ból i napięcie skóry pomiędzy prawym biodrem i żebrami. Dotknął bandaża. Wspomnienia zaczęły napływać, układając się w logiczną, przerażającą całość. Pod wpływem adrenaliny nie czuł szkód, jakie mu wyrządziła eksplozja manekina. Myślał, że miał więcej szczęścia.

– Pamiętam, że zostałem ranny policjant. Jeszcze w katedrze...

– Konieczna była amputacja kończyny – lekarz stwierdził fachowym tonem. – Pozostaje ciągle w śpiączce, ale jego stan jest stabilny.

Deryło zacisnął zęby. To była jego wina i to tylko on miał być ofiarą wybuchu. Naraził swojego podwładnego na bezsensowne niebezpieczeństwo. Tak rodziła się dożywotnia skaza charakteru, a do tego pewnie sprawa dyscyplinarna. Być może koniec ze służbą. Tym jednak na razie się nie przejmował. Mogło skończyć się o wiele gorzej. Mogły zginąć kolejne kobiety, eksplozja mogła rozerwać w trakcie pasterki katedrę pełną ludzi, a pożar strawić kilka kamienic. Przede wszystkim mogła zginąć jego córka. Wszelkie inne nieszczęścia traciły przy tym na znaczeniu i dzięki temu czuł ulgę. Reszta musiała się ułożyć. Czas szybciej zaciera wyrzuty sumienia, niż goi rany po utracie najbliższych. Jakkolwiek cynicznie by to brzmiało.

Skołowane rozmyślenia przerwał odgłos zbliżających się kroków. Po chwili przy łóżku stanął aspirant Brzeski. Skinął głową, nie pytając od progu, jak się czuje, czy zaraz wychodzi, i nie gratulując mu powrotu do świata przytomnych. Po prostu obrzucił go radosnym, serdecznym spojrzeniem.

Lekarz wskazał na zegar wiszący naprzeciwko łóżka.

– Proszę nie męczyć go zbyt długo – mruknął, wychodząc z sali.

Kiedy tylko zamknęły się drzwi, Brzeski przyciągnął sobie stołek i usiadł obok.

– Niech się pan niczym nie martwi, komisarzu – powiedział tonem otuchy. – Wszystko jest pod kontrolą.

Deryło się nie odezwał.

– Malczewski już ochłonął i robi szopkę medialną, pańska córka ma się dobrze, a sierżant Banach też się wylize.

– A inni?

– Kto?

– W tej kamienicy.

– Oprócz pana córki znaleźliśmy tam jeszcze jedną żywą dziewczynę.

– Jedną żywą?

– I zwłoki dwóch kolejnych, a oprócz tego fragmenty powycinanej skóry, organów wewnętrznych i mnóstwo krwi. Nie wspominając o trupie w szatach liturgicznych...

No tak, ukatrupiony ksiądz. Deryło oblizał suche wargi. Spóźnili się. Nie chciał wiedzieć, jak bardzo i czy gdyby wcześniej połączył oczywiste fakty, udałoby się uratować niewinne osoby. Zastanawianie się nad tym nie miało teraz sensu.

Brzeski podsunął mu pod usta butelkę wody. Przechylił smoczek i pozwolił pociągnąć kilka łyków.

– Iks, tak jak używany kiedyś skrót tytułu księdza? – zapytał, kiedy komisarz skończył pić. – To o to chodziło, prawda?

– Tak. Nie wiem, dlaczego pomyślałem o tym tak późno, ale Tracz miał rację, że ten podpis to klucz do sprawy.

– Albo sprawców.

– Nic nie zostało jeszcze ustalone?

Zdał sobie sprawę, że nie wie, jaki jest dzień tygodnia. Zegar wskazywał godzinę drugą, za oknem było dość jasno, więc musiała to być czternasta. Przeleżał w szpitalu dzień, dwa, a może tydzień?

– Który dzisiaj jest? – zapytał, nim Brzeski zdążył odpowiedzieć na poprzednie pytanie.

– Dwudziesty szósty grudnia. Już wczoraj wybudził się pan po operacji, komisarzu, ale dopiero dzisiaj miał być w pełni przytomny. Zadzwoniłem już do pańskiej żony, będzie za parę minut.

– Nie pamiętam, co było wczoraj.

Myśli Deryły krążyły nadal wokół sprawy. Ich logiczny ciąg stawał się coraz bardziej przejrzysty i coraz szybciej się uzupełniał. Potrzebował faktów. Mechanicznie sięgnął w stronę kieszeni, ale miał na sobie tylko luźne spodnie. Być może po czterdziestu latach zgubił swoją szczęśliwą monetę. Chociaż powinna być w płaszczu lub spodniach. Będzie musiał zapytać Ewę.

– Wróćmy do tego, co mamy – wyszeptał.

– Co najpierw chce pan wiedzieć?

– Dlaczego ślady przy stacji benzynowej wskazywały na kilka osób?

Brzeski zmienił pozycję, jakby stół nagle zrobił się bardzo niewygodny.

– Rzeczywiście sprawca nie był tam sam. Najprawdopodobniej oprócz niego była również jedna z jego ofiar. Ta uratowana dziewczyna powiedziała, że na jej oczach przygotowywał jedno z ciał i zmuszał ją do pomocy. Wmawiał jej, że jest winna, i nakłaniał do popełnienia samobójstwa.

Deryło przytknął dłoń do skroni.

– Po co?

– Tracz, pomimo świąt, zrobił już całkiem solidną analizę. Twierdzi, że ten świr do kompletu cierpień chciał jeszcze grzechu śmiertelnego.

– Chyba nie rozumiem.

– Nie wiemy, dlaczego to robił. Ale najwyraźniej zależało mu na wywoływaniu jak najmocniejszych emocji u swoich ofiar.

Deryło wskazał na butelkę wody, pozwolił się znowu napić i odkaslnął.

– Co jeszcze jest w tej analizie?

– Obraz skrajnego psychopaty, który manipulował praktycznie wszystkimi osobami ze swojego otoczenia. Zrobił pranie mózgu egzorcyzmowanemu chłopakowi, równie sprawnie omotał sobie jego przyjaciela, a do tego doskonale odgrywał rolę miłosiernego księdza. Włącznie z tym, że od kilku lat widywano go przygarbionego, choć w rzeczywistości wydaje się, że trzymał się idealnie prosto. Ponowne interpretowanie listów w kontekście skierowanej do pana wiadomości głosowej i pisma z katedry pozwoliło Traczowi na naprawdę ciekawe konkluzje. Do tego potwierdzono, że głos należał do naszego księdza egzorcyzisty, a list sporządził jego pismem. W mieszkaniu tego sukinsyna trafiliśmy też na opakowanie oxycortolu. Musimy ustalić, w jaki sposób go zdobył.

– A kim jest ten drań, który rozwalił ci łeb?

Brzeski bezradnie rozłożył dłonie.

– Nie wiemy. Najprawdopodobniej był zupełnie przypadkową osobą, która nie chciała mieć nic wspólnego z policją.

– Był?

Aspirant znowu poprawił się na stołku i założył ręce na brzuchu.

– Został zamordowany.

– Co?

– Wczoraj w nocy.

– W szpitalu?

– Przez Roberta Wolskiego. Jego złapaliśmy na miejscu.

– Jezus Maria...

– Panie komisarzu, coś jeszcze. – Brzeskiemu plątał się język, postanowił wszystko wydukać za jednym razem. – Bo w tych szatach to wcale nie był ksiądz.

Deryle zakręciło się w głowie. Jak w kalejdoskopie przed jego oczami przewinęły się urywki wspomnień. Nakreślonego na mapie pentagramu, listów, które otrzymywały rodziny ofiar, wreszcie tego, co usłyszał na strychu kamienicy.

Dlaczego Lucyfer potrafi przemówić ustami opętanego, a Bóg nigdy nie raczył się do mnie odezwać?

Egzorcyzmy były tylko przykrywką. Dzięki nim upadły ksiądz uczynił z Daniela Kosa swoją bezwolną pacynkę. Wyprał mu mózg i bezwzględnie go podporządkował. Chciał, żeby to w niego wcielił się demon. Pragnął jeszcze raz usłyszeć diabelskie głosy.

Deryło był pewny, że jeżeli jakimś cudem ten psychopata przeżył, to zrobi wszystko, aby dopiąć swego. Aby zepchnąć swój mózg na samo dno piekielnego szaleństwa. A do tego, bez wątplenia będą mu potrzebne kolejne ofiary...

Lublin, 2016 r.

KOMISARZ DERYŁO
powróci w drugim tomie serii:

Max Czornyj OFIARA

Premiera już
na początku 2018 roku!



mrocznastrona.pl